





W



WALKA 0 BYT.



# WALKA O BYT.



POWIEŚĆ.



POZNAŃ.

NAKŁADEM I CZCIONKAMI Drukarni Kuryera Poznańskiego.

1892.



101402



## Księga pierwsza.

### I.

#### *Niespodziewana zdobycz.*

Ostry i mroźny wichur dał wśród pokrytych śniegiem szczytów Pirenejów; krzewy i odarte do połowy z liści drzewa, pokrywała biała opona, która krajobrazowi nadawała półzimową powierzchowność, jakkolwiek jesień co dopiero rozpoczęła panowanie swoje. W tych ciasnych dolinach, gdzie zaledwie przez sześć miesięcy w roku cieplejszy promień słońca ma wolny przystęp, zaczyna się już zima wtenczas, kiedy mieszkańcy równiny jeszcze długo cieszą się piękną jesienią.

Tam, gdzie Francya łączy się z Hiszpanią, niedaleko od Ax, między Merens a małą miejscowością Hospitalet, w nieznaczném niemal zagłębieniu gór, stała mała chatka, jak gniazdo orła do skały przytulona. Wyżej była stroma płaszczyna, porośła lasem, u stóp której piętrzą się rozrzucone odłamy skał i mało dla wzrostu roślin pozostawiają miejsca. Grunt jest szorstki i kamienisty, lecz praca ludzka, podtrzymywana koniecznością zdobywania chleba i twardą wytrwałością mieszkańców, pokonała w części trudności stawiane przez niewdzięczną przyrodę;

miejsca pomiędzy skałami wypełniono nanoszoną ziemią i tu i owdzie utworzono małe pola, z których biednego plonu mieszkańcy gór życie swoje utrzymują.

Na progu chaty stoi młodzieniec około lat ośmnastu, silnie zbudowany, z świeżemi rysami twarzy, prawdziwe dziecko gór. Bystry wzrok jego śledzi badawczo niebo, widocznie aby zbadać, jakie powietrze utrzyma się przez dzień. Wedle zwyczaju swych okolic, ma na sobie podwinięte pantaloney i wełniany kaftan, czerwony pas, rodzaj baretu i skórzane kamasze, wszystko to z grubego materiału; niejedna zręcznie wprawiona łatka świadczy o długiem noszeniu tych rzeczy.

Młodzieniec mimo swój młodości ma powierzchowność meżką, silna jego postać dowodzi, iż przywykł do dźwigania ciężarów życia, a szerokie barki noszą dumną głowę o energicznych rysach, czarne oczy wyrażają odwagę i dobroć zarazem, w wyrazistych raczój, niż regularnych rysach jest coś, co budzi zajęcie.

— Matko — odezwał się — będzie dziś prześliczny dzień; powietrze jest zimne i suche, polowanie zapowiada się pomyślnie. Nie musiałbym już chyba mieć szczęścia wcale, gdybym dziś wieczorem nie przyniósł kozicy.

Staruszka, schylona przy ognisku usiłowała rozniecić ogień z chróstu, przyczem dym ją ogarnął zupełnie.

— Lepiejbyś zrobił, gdybyś poszedł nazbierać mi drzewa, zimne dni pochłonęły moje zapasy.

— Które i tak nie były zbyt wielkie, matko — dodał młodzieniec z uśmiechem; smętnie zaś odezwał się potem:

— Jesteśmy tak biedni!

— Każdy powinien być zadowolony ze swego losu — odpowiedziała kobieta. My tutaj w okolicy nie jesteśmy wybrani przez szczęście, mój synu!

— O! matko, czy jest piękniejszy kraj nad ten szmat ziemi, na którym mieszkamy? Kiedy na wiosnę góry zrzucają swą śnieżną zasłonę, kiedy lasy przywdziewają szatę zieloną, łany stroją się w kwiecie, jakże szybko zapomina się o przykrych dniach zimowych wraz z ich niedostatkiem!

— Kochasz ziemię, na której się urodziłeś, mój synu?

— Tak jest, matko i zdaje mi się, że nie mógłbym żyć gdzieindziej.

— Tem lepiej, Piotrze, to i mnie nie opuścisz, aby pójść w daleki świat, jak to czyni wielu młodych z naszego kraju.

— Nie pomyślałem jeszcze nigdy o tem a przecieź słyszałem. że gdzieindziej zarobiłbym więcej.

— Nie mówmy o tem, synu. Cóżby się ze mną stało, gdybyś ty mnie opuścił? Bez wątpienia jesteśmy bardzo biedni, ale nasza mała rola dostarcza nam perek i trochę ziarna; drzewa nie braknie nam nigdy, aby się ogrzać, a z twój zdobyczy na polowaniu i twój pracy zaspokajamy inne tak drobne potrzeby życia naszego.

Aby inną rozpocząć rozmowę, mówiła matka dalej:

— Masz słuszność, Piotrze, dzień zdaje się pomyslny na polowanie; idź i szczęść ci Boże!

Młodzieniec przerzucił strzelbę przez ramię i opuścił chatę. Lekko zbiegł ścieżką ku zarośłom. W lesie temperatura była łagodniejsza, wiatr utracił nieco z swój ostrości, ale gdyby nawet był silniejszym, nie byłby zważał na niego przywykły do wichrów i niepogody góral.

Nie braknie zwierzyny w tych okolicach, wiele tam mianowicie kozic pewnego gatunku, wysoko cenionych na stole smakosza. Mimo to Piotr chodził blisko godzinę a żadnego jeszcze nie wydał strzału. Wtem usłyszał szelest wśród gęstej krzewiny, lekkie zwierzątko z jasno-brunatnym włosem ukazało się,

by na widok strzelca pierzchnąć trwożliwie i zniknąć znowu w gąszczu.

Piotr wziął broń do ręki i poskoczył za zwierzęciem. Był szybki w biegu i przyzwyczajony do tego rodzaju polowania; ale wystraszone zwierzątko, ukazawszy się jego oczom, zniknęło równie prędko. Jedna chwila zdawała się sposobną do strzału; Piotr odwiódł kurek, ale zwierzę uskoczyło na bok i strzał ugodził w stare drzewo. Znowu rozpoczęła się pogoń. Piotr znał okolicę i wiedział, że kierunek, w którym pobiegła kozica, prowadził ku ścianie skały; tam musiał ją pochwycić. Obrął krótszą drogę i napotkał znowu swoją ofiarę. Rozległ się strzał, zwierzę wydało bolesny jęk a równocześnie rozszedł się krzyk.

— Zwierzę padło, pomyślał Piotr, ale co znaczy ten krzyk? To był głos ludzki. Czy zraniłem kogo? To niepodobna; któżby mógł tutaj przebywać?

Postąpił naprzód i niebawem ujrzał w oddaleniu kilku kroków dziwny widok. Ugodzona kozica leżała skrwawiona na ziemi; dziecko w podartej sukience, z długimi, rozpuszczonymi włosami pobiegło do niej i upadło obok niej z płaczem.

Piotr stanął zdumiony.

Dziecko, dziewczynka mała, blada, wychudła, wyglądała nędznie. Zkąd przyszła? Jak się znalazła w lesie sama? Twarzyczka i suknia świadczyły o wielkiej nędzy.

Mała podniosła główkę i wyciągnęła jakby prosząc obiedwie ręce do Piotra.

Ten zbliżył się do niej, ale ona wstała szybko, objęła zranione zwierzę ramionami i chciała uciekać. Ciężar jednakże był za wielki; potknęła się i upadła z rozdzierającym krzykiem.

Piotr podniósł dziecko łagodnie i rzekł do brotliwie:

— Nie lękaj się, moje dziecię, nic ci złego nie uczynię.

Dziewczynka spojrzała na mówiącego wielkimi błękitnymi oczami i odezwała się z nieufnością:

— Zabiłeś moje biedne zwierzątko! Mówiąc to, głaskała kozicę z płaczem.

— Nie wiedziałem, że do ciebie należy — rzekł Piotr — któremu serce miękło na widok boleści małej nieznajomój. Kto jesteś?

— Nie wiem.

— Zkąd przybywasz?

— Nie wiem.

— Gdzie są twoi rodzice?

— Nie mam ich już.

— Kto cię tutaj przyprowadził?

— Nikt.

— Gdzie mieszkałaś przedtem?

— Nigdzie.

Młodzieniec uśmiechnął się; dziwaczne odpowiedzi dziewczynki budziły w nim zajęcie.

— U kogo mieszkałaś zanim, tu przyszłaś?

— U bardzo niedobrych ludzi — odpowiedziało dziecko, widocznie przełęcznione na samo wspomnienie o nich.

— Czy oni cię opuścili?

— Uciekłam.

Piotr milczał przez chwilę.

— O! — prosiła dziewczynka lekliwie — nie odprowadzaj mię już do nich, nie powiadaj im, że tutaj jestem, nie chcę wracać do nich, tutaj nieraz głód cierpię, ale tam cierpiałam go częściej; bili mię, zmuszali do pokazywania sztuk przed ludźmi, wykręcali mi ręce i nogi, a kiedy płakałam, potracali mię i bili.

— A więc byłaś u wędrownych linoskoków?

— Tak.

— To nie byli twoi rodzice?

— Nie.

— Czy oni ciebie porwali?

— Już sama nie wiem.

— Z jakiego kraju pochodzisz, moja mała?

— Nie wiem; ale zdaje mi się, że to daleko.

Tam, gdzie stał nasz dam, było wiele ładniej, aniżeli tutaj. Bawiliśmy się w ślicznym ogrodzie, a ja miałam wielką lalkę, która umiała mówić.

Te odpowiedzi nie objaśniły go bardzo.

— Pójdiesz ze mną? — zapytał Piotr.

— Nie, nie chcę, będą mnie bić znowu — zawołało dziecko, broniąc się.

— Ależ, dziecko, nikt ci nie uczyni nic złego. Tutaj zostać nie możesz. Jak ci imię?

— Marta.

— A więc, Marto, pójdiesz ze mną. Zaprowadzę cię do mojej matki; ona nie ma córki i bardzo cię będzie kochała. Nie lękaj się, nie zaprowadzę cię do złych ludzi, od których uciekłaś.

Mała dziewczynka wahała się; obawa przed dręczycielami powstrzymywała ją.

— Marto — odezwał się Piotr — podnosząc ją delikatnie i odgarniając jasne włosy z twarzy, chcesz być moją siostrzyczką?

Dziecko spojrzało na niego zdziwione: ten uprzejmy ton przejął ją, jak dobroczynne wspomnienie z najpierwszej młodości i napełnił ją ufnością. Dobrotliwe spojrzenie Piotra uspokoiło ją całkiem. Jak gdyby szukając pomocy, przytuliła się do niego i rzekła cicho:

— Chciałabym...

— To chodź ze mną!

— Czy zabierzemy także to biedne zwierzątko ze sobą? Tutaj umarłoby.

— Tak jest i zobaczymy, czyby go nie można uleczyć.

Niebawem wyruszyli oboje w stronę chaty Piotra. Młodzieniec szedł, milcząc; z niepokojem myślał o tém, co matka jego powie, jak przyjmie opuszczone biedactwo. Kiedy spotkał tę dziewczynkę samotną w lesie, otoczoną niebezpieczeństwami, tak nędznie wyglądającą, kiedy ujrzał wielkie, myślące oczy zwrócone ku sobie prosząco i lękliwie, wtenczas głos wewnętrzny szepnął mu, aby się nią zajął i bez wahania posłuchał tego popędu. Teraz przyszła rozważa a wraz z nią rozpoznanie trudności. Był biedny, z pracy rąk musiał utrzymywać małe gospodarstwo; zima nadchodziła a z nią niedola różnego rodzaju. Nie miał tyle pieniędzy, aby matkę zaopatrzyć w ciepłe suknie przeciw zimnu, jakże będzie mógł ubrać to biedne dziecko, które dosłownie pokryte było zaledwie łachmanami?

Myśli te usposobiły Piotra bardzo poważnie, a serce jego uderzyło silniej, kiedy ujrzał szczyt swój chaty. Matka czekała na niego na progu.

— Przychodzisz późno, synu, byłam już prawie niespokojna, — powitała go temi słowy.

— Matko, nie powinnaś się o mnie lękać, znam las, jak naszą chatę.

— Przynosisz ładną zdobycz, — mówiła poczciwa kobieta dalej, wskazując ręką kozicę.

— Nie róbcie jój nic złego, — zawołała dziewczynka, przyciskając do siebie zranione zwierzątko.

— O! co to znaczy? Myślę, że zwierzyna jest na to, by ją zjeść.

— Nie, nie, — zaprotestowała Marta.

— Tego nie rozumiem, — rzekła kobieta zdziwiona. — Piotrze, co znaczy ta mała żebraczka?

Biedny chłopiec nie wiedział jak rozpocząć, aby matce wyjaśnić swą przygodę. Widział już naprzód jój opór i wszystkie piękne słówka, które układał po drodze, zniknęły tak zupełnie, iż nie umiał nic odpowiedzieć.



— Czemu tak nagle stałeś się milczący? Czy powiesz mi wreszcie, co znaczy to dziecko?

Piotr opowiedział wzruszony, w jakich okolicznościach znalazł Martę i czego się dowiedział o jej losach.

— Dobrze postąpiłeś, Piotrze — pochwaliła go matka. — Biednego opuszczonego dziecka nie mogłeś zostawić w lesie, by zmiarniało. Chodź, mała, usiądź przy ogniu, twoje członki są na wpół zmarzłe; przyniosę ci zupy, jakiej dawno nie jadłaś.

Młodzieńcowi lżej się zrobiło na sercu.

— Wiedziałem dobrze, matko, że przyjmiesz sierotę. Jesteś taka dobra....

— Dobrze czynić jest obowiązkiem, moje dziecko, — przerwała matka Magdalena. — Bogu wiadomo, iż nie wzbraniałam się nigdy dzielić chleba z nieszczęśliwym. Uczynię dla téj małej, co w méj mocy, a jutro pójdę do burmistrza w Merens.

— Dla czego, matko? — zapytał Piotr.

— Zaprowadzę mu dziecko, aby wyszukał dla niego odpowiednie schronienie.

— Ale, matko, czy nie możemy jej zatrzymać?

— Zatrzymać dziecko? Co ci na myśl przychodzi, chłopcze! zatrzymać je? Czémże ją żywić i przyodziewać będziemy? Mamy zaledwie co najniezbędniejsze dla siebie, a jeszcze ten ciężar mamy brać na siebie? Nie, Piotrze, nie namyśliłeś się nad tém, co mówisz.

Młodzieniec zasmucił się.

— Matko, to sierota, którą nam Bóg zesłał; nie powinniśmy jej znowu odpychać.

— Drogi synu, taki podarunek może być pożądanym dla bogatego, ale nie dla nas.

— Miłosierdzie przynosi szczęście, mateczko; będę pracował tem usilniej.



— Taka wspaniałomyślność przystoi twemu wiekowi, mój synu, ale ja nie mogę brać na siebie takiego ciężaru. A jakąż przyszłość możemy dziecku zapewnić? Nie, we własnym swym interesie powinna być oddana do domu sierót.

— Do domu sierót? — zawołała Marta, która przysłuchiwała się rozmowie. Zerwawszy się prędko z miejsca, pobiegła ku drzwiom.

— Dokąd idziesz? — zapytał Piotr, zastępując jej drogę.

— Puść mię — prosiło dziecko, płacząc. Ona mię chce oddać do domu sierot; wrócę lepiej do lasu.

— Uspokój się, Marto, nie puszczę cię ani do lasu, ani do domu sierót. Moja matka nie jest tak nielitościwa, jak ci się zdaje.

— Dosyć, dosyć! — odezwała się w bardziej szorstkim tonie, aniżeli zwykle u niej słyszano. — Jutro rozważymy sobie tę sprawę.

Następnie zaczęła przyprawiać zupę, mrużąc sama do siebie:

— Zły to dzień dla nas, oj zły!

Tymczasem Piotr zawiesił strzelbę i torbę myśliwską na kołku i zasiadł również przy ogniu. Najtrudniejsze już było pokonane; nie wątpił, że matka jutro zechce zatrzymać sierotę.

Stara Magdalena przypatrzyła się téj ostatniej nieco bliżej. Marta zdawała się mieć dziesięć do dwunastu lat, lecz rozwój ciała w skutek złego traktowania i niedostatku był cofnięty, chorobliwa bladeść pokrywała jej twarzyczkę, wielkie błękitne oczy patrzyły nieśmiało, a w koło ładnych, małych usteczek, leżał wyraz boleści i gorczy. Widocznie to dziecko przeżyło bardzo smutne chwile, które na jej fizjonomii wycisnęły niezatarte piętno zawstydzonego ubóstwa. Strój jej od pierwszego rzutu oka zdradzał otoczenie, w jakim żyła; krótka, czerwona spódniczka, cała postrzępiona i brudna, baskijska czape-

czka z wypłowiałego aksamitu z odartym szychem, na szyi sznur szklanych pereł — tak widocznie uciekła linoskokom.

Nóżki były bose i pociemniały wskutek nateżeń i powietrza. Pomimo téj smutnej powierzchowności trudno było nie zauważyć, że to dziecko nie w tych na świat przyszło stósunkach; w jéj całej istocie leżało coś, czego widzieć nie było można u innych dzieci z okolicy i co przyczyniało się do podniesienia interesu dla niéj.

Magdalena uczuła głęboką litość dla biednej istotki; chętnie byłaby spełniła życzenie Piotra i zatrzymała dziewczynkę, ale przekonanie, iż nie byłaby zdolną zadosyćuczynić jéj potrzebom, dać jéj przyzwoite wychowanie, kazało jéj myśl tę porzucić.

Wieczereżę zastawiono. Piotr przyniósł znakomity apetyt z polowania. Marta przeciwnie nie jadła; przykro jéj było, że las opuściła, gdyż zawsze jeszcze lękała się, iż matka Piotra zaprowadzi ją do miasta, gdzie może zażądają jéj powrotu owi okropni ludzie, u których tyle cierpiała. Z głową opartą na rękę, siedziała przy kominku i patrzyła w ogień.

— Nie będziesz z nami jadła, Marto? — zagadnął ją Piotr uprzejmie. — Chodź, dziecko, nie płacz, nie będzie ci źle z nami.

Dziecko potrząsnęło główką, nie odpowiadając.

— Zdaje się, że jest bardzo roztropna, będziesz ją, matko, mogła prędko nauczyć wszystkiego.

— Chcesz zatem koniecznie, abyśmy ją zatrzymali? — zapytała matka na w pół gniewnie.

— Tak, przynajmniej tak długo, dopóki sama na siebie nie będzie zdolna zapracować. Jestem już w tym wieku, że mogę poszukać zajęcia, któreby więcej przynosiło; Marta mogłaby ci dopomagać latem w uprawianiu naszej małej roli a zimą będzie

razem z tobą zajmować się igliczkową robotą dla kupców we Foix, którzy przychodzą na targi do Ax.

Matka Magdalena wprawdzie raz jeszcze wątpliwie wstrząsnęła głową, lecz już nie próbowała sprzeciwić się. Piotr zwyciężył; na twarzy jego malowało się wewnętrzne zadowolenie. Dziecko, które uważnie przysłuchiwało się rozmowie, zrozumiało, iż sprawa jej wygrana i kiedy Piotr raz jeszcze zachęcił ją do jedzenia, przyszła bez obawy podziękować swemu obrońcy z uśmiechem, wyrażającym takie szczęście, że Piotr tem mniej teraz byłby jej pozwolił odejść z swego domu.

Kiedy wszyscy zadosyóuczynili wymaganiom apetytu, młodzieniec raz jeszcze starał się rozbudzić pamięć dziecka, aby cośkolwiek więcej dowiedzieć się o jego pochodzeniu. Że należałoby zawezwać pomocy władz, by odszukać rodziców dziewczynki, o tem nie pomyśleli ani na chwilę poczciwi ludzie, którzy mało znali życie i jego praktyki światowe. Dziecko w ich oczach było sierotą, Opatrzność zesłała im je, a zatem czuli się zobowiązani zaopiekować się niem.

O ileż wyższą jest owa prosta, niesztuczna pobożność i miłość chrześcijańska od nowoczesnej filantropii i głośniejszej dobroczynności, która sądzi, iż dokonuje cudów, jeśli dla złagodzenia nędzy ludzkiej zaszczyca swą obecnością koncert na cele dobroczynne lub inną tego rodzaju zabawę!

Marta nie wiele umiała zaspokoić ciekawość Piotra i jego matki. Pamiętała jeszcze niejasno, że mieszkała niegdyś w pięknym domu i bawiła się w obszernym ogrodzie. Przypominała sobie także, iż chodziła na przechadzkę ze służącą, którą nazywano Anną, dalej, że miała babcię, która zawsze była dla niej dobra, która jednakże razu pewnego nie obudziła się więcej; Marta dostała nowe, czarne

sukienki i poszła na cmentarz, gdzie babcię złożono do brzydkiego, głębokiego dołu. Ojca i matki nie pamiętała wcale; prawdopodobnie straciła ich wcześniej. Później wyszła pewnego wieczora sama, aby zobaczyć obcych ludzi, którzy pięknie byli ubrani i wesoło skakali; ale wtenczas człowiek ze złą twarzą nagle ją porwał i odtąd pozostała u tych ludzi, którzy ją uczyli skakać na linie i pokazywać sztuki.

Z tego opowiadania Piotr wywnioskował, że Marta musiała być córką zamożnych ludzi. To, co jęj mógł ofiarować, nie mogło jęj zastąpić domu rodzicielskiego, lecz zawsze było lepszem, aniżeli smutny żywot, jaki pędziła w ostatnich latach. Marta przywykła do nędzy i nie mogło jęj się wydawać przykrem dzielić ubóstwo wraz z nowymi opiekunami.

W istocie okazała się swym dobroczyńcom wdzięczną i niebawem powróciła jęj wrodzona, dziecienna wesołość. Kilka dobroczynnych osób dało znoszone rzeczy, z których matka Magdalena dla swęj wychowanki uszyła przyzwoite odzienie; proboszcz, do którego parafii należała chata, słyszał o wspaniałomyślności biednych ludzi i przyrzekł im pomoc, gdyby była potrzebną i w ten sposób pokonano trudności, tak iż matka ostatecznie czuła się szczęśliwą, że wysłuchała prośby syna. Ponieważ szkoła zbyt była oddaloną, przeto Piotr podjął się sam udzielać Marcie potrzebnych wiadomości. Przebywał on przez parę lat w domu krewnego w Ax i uczęszczał do szkoły Braciszków Miłosiernych, umiał przeto więcj od wielu rówieśników w okolicy i nie szczędził starań, aby wykształcić swą siostrzyczkę, jak nazywał Martę.

Jakkolwiek Piotr i matka jego byli pracowitymi ludźmi, musieli bezustannie jednakże walczyć z niedolą życia. Młodzieniec odczuwał to tém do-

tkliwiej, ponieważ swoim blizkim byłby chciał urządzić życie bez troski. Skoro więc Marta podrosła, pomyślał o tém, by większy zdobyć zarobek; matka nie była już samotną, mógł zatem dłuższy czas spędzać zdala od domu. Idąc za przykładem wielu mieszkańców górskich okolic, zajął się handlem wędrownym i chodził schylony pod ciężarem towarów wełnianych od domu do domu. Ten rodzaj przemysłu jest korzystny w owych okolicach, gdzie rzadkie są miasta i większe miejscowości a kolei żelaznych nie ma wcale. Piotr, który żył bardzo oszczędnie, mógł nieraz zaoszczędzić trochę grosza a kiedy zimą powracał do chaty, jako nagrodę za trudy przynosił ze sobą pewność, że matka i siostra będą zabezpieczone od zimna i głodu.

## II.

### *Sierota.*

Sześć lat minęło bez ważniejszych zmian w życiu poczciwych ludzi. Marta wyrosła na ładną dziewczynę ośmnastoletnią, zdrową i świeżą i nikt nie byłby w niej poznał biednego, opuszczonego dziecka. Na pierwszy jednakże rzut oka widać było, iż nie urodziła się w tej okolicy, podczas bowiem gdy inne dziewczęta były silne i tryskające zdrowiem i życiem, ona delikatnej była budowy ciała, małe ręce i nogi, jasne włosy, rozmarzone nieco oczy nadawały jój postaci całej jakiś obcy wyraz, co nieraz wywoływało uszczypliwe uwagi ze strony jój rówieśniczek.

Przytém nie umiała wyrzec się przyzwyczajień, które przyswoiła sobie u linoskoków. Lubiła oryginalny, barwny ubiór i nie można jój było skłonić do tego, by piękne swe włosy, wedle zwyczaju miejscowego, zakryła małym, białym czepeczkiem.

Mimo to była bardzo miłym zjawiskiem, a skwapliwość, z jaką młode dziewczęta starały się niekiedy ośmieszyć „linoskoczkę,” jak ją nazywały, świadczyła dostatecznie, iż w niej widziały współzawodniczkę, odbierającą im względy młodzieży.

Marta była szczęśliwa; byłaby się uważała za niewdzięczną w obec Opatrzności i swych dobroczyńców, gdyby nie czuła się zadowoloną z warunków swego życia. A jednakże bywały chwile, kiedy zdejmowała ją tęsknota, mianowicie w miesiącach, w których Piotr był nieobecny. Lubiła góry z stromemi skałami i szumiącemi potokami, lasy, w których stuletnie drzewa sięgały ku niebu, ale dolina, w której stała Piotrowa chata, często zdawała jej się ciasną. Przypominała sobie wesołe błonie, miłe wioski i wspaniałe miasta i wtenczas ogarniała ją tęsknota za wolnością, tak, iż z trudnością zdołała jej się oprzeć. Nikt ani nie domyślał się tego, co się działo w duszy sieroty w tych ponurych godzinach; nie zwierzała się nikomu, nikt bowiem nie byłby jej zrozumiał. Tylko wtenczas, kiedy Piotr był w domu, Marta nie nudziła się; on był tak dobry, tak uprzejmy dla niej i tyle pięknych ze swój wędrówki przynosił opowieści, że długie wieczory zimowe mijały dla niej nad wyraz szybko.

Znowu nadszedł czas, w którym Piotr musiał pomyśleć o podjęciu swego handlu; łagodne tchnienie wiosny rozproszyło śniegi, drzewa były pokryte pąkówkami i zwolna powracali skrzydlaci śpiewacy leśni.

Matka Magdalena nie mogła przywyknąć do nieobecności syna.

— Piotrze — mówiła do niego — starzeję się; wiesz, jak byłoby mi przyjemnie, gdybyś tu pozostał. Czy nie mógłbyś znaleźć zajęcia w pobliżu? Tak mało mamy potrzeb życia, Marta jest praco-

wita i znaleźlibyśmy utrzymanie, chociażbyś nawet zaniechał wędrowki od kraju do kraju.

— Pozwól, matko, jeszcze tylko lat kilka, myślę, że niebawem zaoszczędzę tyle, iż będziemy mogli powiększyć naszą posiadłość, a wtenczas chętnie pozostanę z wami — prosił Piotr.

— Tego pewnie nie doczekam.

— Nie mów tak, matko, mam nadzieję, że długo jeszcze pozostaniesz wśród nas.

— Mój synu! praca i ubóstwo wyczerpują nas więcej, niż lata; byłabym bardzo szczęśliwą, gdybyś pozostał.

— To niepodobna, matko!

— Owszem, Piotrze.

— Jakim sposobem?

— Mógłbyś się ożenić!

— Ożenić się? — zapytał Piotr zdumiony.

— Tak; przecież kończysz już dwudziesty czwarty rok.

— O tem nie pomyślałem nigdy. Najprzód muszę zebrać posag dla Marty a potem dopiero pomyślę o sobie.

— Piotrze — zaczęła matka znowu — co myślisz o Sydonii Avat?

— O Sydonii? Bez wątpienia jest ona jedną z najładniejszych dziewczyn w okolicy.

— A przytém jest szacunku godna i pracowita.

— Istotnie wiele o niej mówią dobrego.

— A potém — mówiła matka poważnie — ona ma majątek; ojciec jój posiada wiele ziemi w dolinie, oprócz tego odziedziczyła ładny spadek.

— Sydonia jest dla mnie za bogata — śmiał się Piotr.

— Nie wiele myślisz o sobie; Sydonia jest rozsądném dziewczęciem, które więcej zważa na uczciwy charakter, aniżeli na pieniądze.



— No — może ma prawo wybierać, lecz dotąd nie zauważyłem, aby mnie wyróżniała — odparł młodzieniec.

— Jakże jesteś skromny! Czego ty nie widzisz, to spostrzegli inni już od dawna.

Piotr szanował Sydonię bardzo, tak, jak na to istotnie zasługiwała; pochlebiało mu, gdy słyszał, że go wyszczególnia, lecz mimo to nie czuł ochoty do ożenienia się z nią.

— Później pomówimy może jeszcze o tém; tymczasem zarobię jeszcze trochę pieniędzy.

— Ależ nie będziesz ich wcale potrzebował.

— Owszem, postanowiłem sobie bowiem zabezpieczyć przyszłość siosiry, przyjętej przez nas.

— Ach! — westchnęła matka — przyjąłeś wówczas wielką odpowiedzialność na siebie.

— Nie żałuj, matko, tego! Czyż Marta nie była zawsze kochającą i posłuszną córką?

— Bez wątpienia i bynajmniej na nią się nie skarzę, ale gdybyśmy nie byli przyjmowali tego zobowiązania na siebie, nie potrzebowałbyś teraz mię opuszczać.

— To jest następstwem naszego ubóstwa; co do Marty, to dzisiaj jeszcze cieszę się serdecznie, że mi niebo dało tak kochaną siostrę.

— I ja równie serdecznie kocham Martę jak ty, ale niekiedy gniewam się na nią, ponieważ z jej powodu musisz po za domem szukać zarobku.

Młodzieniec spuścił głowę, zasmucony tem, iż życzenia matki tak mało zgadzają się z istniejącymi stosunkami.

— Gdybyś zechciał — zaczęła matka znowu — możnaby wszystko inaczej ułożyć.

— W jaki sposób?

— Masz ładne oszczędności złożone u notaryusza. Gdybyś dał Marcie znacznieszą połowę, mogliśmy ją może wydać za mąż. Wtenczas pozbył-



byś się troski o nią, ożeniłbyś się z Sydonią i mogłabym u was spędzić stare lata.

— Do małżeństwa potrzeba, jak wiadomo, dwóch osób; czy Marta już uczyniła wybór? — zapytał młodzieniec.

— Nie sędzę, ale wiem, że Aleksy Boyer jest nią bardzo zajęty.

— Aleksy, huzar! O czem myślisz matko! Taki nicpoń, któryby Martę na pewno uczynił nieszczęśliwą a przytem zabrałby ją od nas daleko! — zawołał Piotr z żywością.

— Nie powinniśmy zapominać o tem, że Marta nie tak łatwo znajdzie męża. Jest za delikatna i wåtła dla naszych wieśniaków, nie nadaje się do naszych chat. Nie, zapewniam cię, że żaden młodzieniec z naszej okolicy nie pojąłby jęj za żonę i wåtpię, aby ona chciała pozostać wśród nas na zawsze.

— Często już żałowałem, że nie jest córą naszych gór, — mówił Piotr, — ale zewnątrznie nie byłaby przez to nic zyskała.

— O! Marta nie jest ładna, — zauważyła matka.

— To jest rzeczą gustu; w mieście uważanoby ją za daleko ładniejszą od Sydonii.

— Dla tego téż niezawodnie Aleksy zwrócił na nią uwagę. Ona powinna żyć w mieście, tutejsze życie nie odpowiadałoby jęj.

— Przywykłaby — odparł Piotr.

— Nie, Piotrze. Pomyśl tylko, jakby to było, gdyby Marta musiała zawsze prowadzić takie życie, jak ja. Szczerze mówiąc, nieraz lękałam się o to, że ty sam będziesz chciał pojąć ją za żonę. Byłoby to nieszczęściem dla was obojga.

— Myśl ta jeszcze nie powstała w méj głowie — rzekł Piotr zdziwiony. — Uważałem Martę zawsze jako siostrę, lecz nie pomyślałem nigdy o tém,

aby ją wziąć za żonę. Nie mogę żądać, aby posuwała swoją wdzięczność tak daleko, by dzielić moje ubóstwo; to wydałoby mi się nadużyciem. Nie, pomimo niezaprzeczenie pięknych zalet nie będzie Marta moją żoną nigdy.

— Masz słuszość, Piotrze — odpowiedziała matka uspokojona. — Marta nudzi się w naszym ustroniu; będzie jej miło, gdy pójdzie do miasta. Aleksy kończy służbę wojskową i osiedzi we Foix, gdzie jego ciotki mają handel korzenny.

— A czy Marta przyjmie oświadczyzny Aleksiego?

— Dla czegoż nie?

— A mnie się zdaje, że niechętnie opuściłaby nas.

— Foix jest niedaleko, mogliby nas często odwiedzać.

— To są rzeczy poważne — odezwał się Piotr po kilku chwilach zamyślenia, pomówimy jeszcze o tém. Czy już może wspominałaś, matko, o tém Marcie?

— Tak jest.

— Cóż ci odpowiedziała? — zapytał młodzieniec spiesznie.

— Zaczęła płakać i odpowiedziała, że jej wcale nie spieszo wychodzić za mąż.

— Nikt jej do tego nie zmusi — odparł Piotr poważnie — doznając pewnej ulgi.

— Jednakże — zauważyła matka — ona jest już w tym wieku, by zrozumieć, że w tak biednej chacie jest tylko ciężarem.

— To niesłusznie, matko, z twój strony; Marta obficie odplaca się za ten chleb. Nie mów tego do niej nigdy; poczciwe dziecko jest bardzo delikatne i opuściłoby nas natychmiast, gdyby wiedziało, iż jest zbytecznem.

Matka Magdalena należała do tego rodzaju kobiet z ludu, które od dzieciństwa schylone pod jarzmem pracy, nie mają wyrozumienia dla delikatniejszych uczuć. Jak większa część matek, troszczyła się tylko o syna i wbrew woli swojej tak długo opiekowała się sierotą.

Piotr smutnie usposobiony tą rozmową, opuścił chatę i usiadł zamyślony na skale. Powiedział sobie sam, iż czas jest pomyśleć o przyszłości swojej i Marty; matka nie chce go puścić już więcej a lękał się, że dziewczę będzie musiało odczuwać jej niechęć. Piotr obawiał się także, aby siostra jego nie zdecydowała się na krok, któregooby nie chciał, aby uczyniła. Po długim, dojrzałym namyśle postanowił usłuchać rady matki: wydać Martę za mąż i samemu w domu osiaść. Ta myśl wzburzyła go do pewnego stopnia, ale nie chciał matki zasmucać a potem i jemu samemu Sydonia przedstawiała się jako ponętna partya.

Była siódma godzina wieczorem, kiedy Marta powróciła z krówką, z pastwiska; zobaczyła Piotra i wesoły uśmiech rozjaśnił jej usta. Młodzieniec przypatrywał jej się zdumiony, wzruszony do głębi, jakby jej nie był jeszcze nigdy widział. Wydała mu się nagle wiele piękniejszą, niż kiedykolwiek i pytał sam siebie, z kąd pochodzi, że mu to dopiero dzisiaj podpadło. Ciągłe wspólne pożycie z nią i wiejskie upodobanie w kwitnących, pełnych twarzach nie pozwoliły mu dotąd wytworzyć sobie sądu o Marty zewnętrznej postaci.

— Dobry wieczór, braciszku, — pozdrowiła go Marta, która zwykle w ten sposób do niego przemawiała.

— Dobry wieczór, Marto, późno wracasz, — odpowiedział, rękę jej podając.

— Ależ nie, braciszku, opuściłam łąkę, skoro

tylko słońce zniknęło między szczytami gór; w ten sposób obliczam zawsze czas.

■ ■ — Kiedy powrócę z następnej podróży, dostaniesz, Marto, odemnie zegarek.

— Czy istotnie powędrujesz jeszcze? — pytało dziewczę z trwogą.

— Czy cię to smuci, Marto?

— Chata jest taka smutna, gdy ciebie nie ma.

— To prawda, że nie wesołe życie pędzisz w twoim wieku; matka moja jest stara, a ty pracujesz ciężko.

— Nie skarżę się wcale.

— Jesteś dzielną córką i kochaną siostrą, — rzekł Piotr z uśmiechem, — ale moja droga, czy nie sądzisz, iż byłby czas pomyśleć o sobie samém?

— O sobie?

— Tak jest; czy nie pomyślałaś nigdy o tem, aby — wyjść za mąż? — zapytał, patrząc jój badawczo w oczy.

— Ja? wyjść za mąż? — powtórzyła mieniając się na twarzy.

— Marto, jestem dla ciebie więcéj, niż bratem, jestem twoim jedynym przyjacielem i opiekunem; moim obowiązkiem jest pomyśleć o twój przyszłości, tak jak gdybyś była własną moją siostrą. U notariusza złożyłem dla ciebie sumkę na posag; mówię ci o tem dzisiaj, abyś nie była krąpowaną w wyborze.

— Ależ, Piotrze, ja tego nie przyjmę, — protestowała. — Pieniądzy, które tak ciężko zapracowałeś, użyj na starość twój matki i na zabezpieczenie własnej przyszłości.

— Tego nie potrzebuję.

■ ■ — Bez wątpienia. Wiem, że bogata Sydonia weźmie cię i bez majątku, — odparło dziewczę nie bez goryczy.

Piotr zaramienił się i zdawał się zmieszany.

— Kto ci to powiedział, Marto?

— O! o tém wie każdy!

— Z wyjątkiem méj maluczkiéj osoby — zaśmiał się Piotr.

— Istotnie?

Głos dziewczęcia brzmiał nieco weseléj.

— Matka bardzo pragnie tego związku, już często wypowiadała mi swoje nadzieje.

— A ty, Marto, co myślisz o tém?

— Sydonia jest znakomitą gospodynią; uważają ją za ładną a potem — dodała z westchnieniem — ma pieniądze!

— Chciałabyś być bogatą?

— Z pewnością!

— A co uczyniłabyś, gdybyś była bogatą? Poszłabyś do miasta i żyłabyś tam jako pani.

— Czy rzeczywiście tak sądzisz? — zapytało dziewczę smutno, podnosząc ku niemu załzawione, błękitne oczy.

— Czy tak nie jest? Lękam się niekiedy, że ci się znudziło twoje biedne stanowisko, do którego się nie urodziłaś.

— O! z mojej przeszłości jeden tylko dzień pamiętam, kiedy znalazłeś biedne dziecko w lesie i wspaniałomyślnie uczyniłeś je swoją siostrą.

— Dla czegoż więc chciałabyś być bogatą?

— Nie wiem — odparła Marta z zakłopotaniem.

— Marto, kryjesz przedemną twoje myśli; odpowiedz mi otwarcie — nalegał Piotr.

— Nie chciałabym ci robić zmartwienia, Piotrze, lecz smutno być sierotą a do tego biedną.

— Czy kiedykolwiek cierpiałas u nas?

— Nie, Piotrze, a nigdy z twego powodu.

— Moja matka również cię kocha.

— Jestem jej nieskończenie wdzięczną za

wszystko dobre, które mi wyświadczyła, lecz teraz czuję, iż jestem wam zbyt ciężką i to mię zasmuca.

— O Marto! — zawołał młodzieniec, ujmując obie jej ręce — z kąd ci przychodzą takie smutne myśli do głowy? Zapewniam cię, iż obawa twoja jest bezpodstawną.

Młode dziewczę wstrząsnęło smutno główką.

— Widzisz, Piotrze, jestem już w tym wieku, że mogę rozumieć, co się w koło mnie dzieje. Gdyby mię tu nie było, ożeniłbyś się z Sydonią. Twoja matka mogłaby u was mieszkać. Jestem jedyną przeszkodą do twego szczęścia.

— A czy nie mogłabyś także pozostać u nas, dopóki sama nie wyjdiesz za mąż?

Marta broniła się.

— Nie, Piotrze, to byłoby niepodobnym. Myślałam już o tém, aby przyjąć jakie miejsce. Ofiarowano mi posadę w magazynie sukna we Foix.

— Na to nie pozwolę nigdy! — zawołał Piotr z gwałtownością, która Martę zadziwiła. — Tę propozycyą zrobił ci ten huzar, Aleksy.

— Z polecenia swych ciotek.

— Co mnie obchodzą jego ciotki? Nie chcę cię oddawać pod opiekę Aleksego. Ani na dzień jeden przed ślubem nie opuścisz domu mojej matki. Nie mów już więcej o tym zamiarze, będę mu się stanowczo sprzeciwiał.

— Czy cię rozgniewałam? — zapytało dziewczę, widząc chmurę na czole przyjaciela.

— Nie, Marto, nie; ale nie myśl o tém, aby nas opuścić.

Słowa te wypowiedział znowu zwykłym, serdecznym tonem i Marta doznała wielkiej ulgi.

Matka Magdalena ukazała się w progu chaty.

— Dalój dzieci! — zawołała — będziecie mieli dosyć czasu do gawędki później. Marto, za-

prowadź krowę do obórki, a ja tymczasem przysposobię kolacyą.

Dziewczę usłuchało rozkazu w milczeniu.

Piotr udał się za matką do chaty.

— Marto — odezwał się, kiedy w kilka chwil później wszyscy siedzieli przy stole — w przyszłą niedzielę jest *fenestra* (zabawa wiejska w uroczystość poświęcenia kościoła) we wsi Trzy Topole; czy pójdziesz na nią?

— Nie dbam o nią wcale.

— Będzie to dla ciebie miłą rozrywką; spotkasz tam wszystkie twoje przyjaciółki.

— Oprócz Sydonii, która zawsze była dla mnie uprzejmą, nie mam prawdziwej przyjaciółki. Pozostałam tutaj cudzoziemką — linoskoczka — dodała ze smutkiem.

— Nikt się nie odważy powiedzieć ci coś przykrego; pójde z tobą.

— To trochę twoja wina, moje dziecko -- zauważyła matka Magdalena — twoim podpadającym ubiorem wywołujesz szyderstwo u innych dziewcząt. Lepiejbyś uczyniła, gdybyś się ubierała, jak tutaj jest zwyczajem, wtenczas i nasza młodzież więcejby na ciebie zwróciła uwagi.

— Nie dbam o wiejskich chłopców — odparła Marta — nie chętnie z nimi przebywam.

Matka rzuciła na Piotra spojrzenie, które mu przypomniało to, co mu powiedziała o Marcie przed kilku godzinami.

— Pójde na *fenestrę* — oświadczył Piotr stanowczo — i mam nadzieję, Marto, że mi będziesz towarzyszyła.

— Jeśli sobie tego życzysz, Piotrze, to naturalnie pójde — odpowiedziała z prostotą.

Umówiono się zatem, że oboje pójda na zabawę i dziewczę nazajutrz przygotowywało starannie ubranie dla siebie.



## III.

*Fenestra.*

W następną niedzielę, za ledwie słońce weszło, Piotr i Marta udali się w drogę do wsi Trzy Topole. Dziewczę wsiadło na małego osiołka, tak cenionego w owych stronach, Piotr szedł obok niej i w trudnych przejściach prowadził zwierzę za uzdę. Był to wspaniały poranek, podwójnie piękny na tych górskich ścieżkach, gdzie nic nie odrywa uwagi człowieka od podziwiania potężnych dzieł stworzenia. Marta pogrążona była w dumaniu; mniej zajmowała się otoczeniem, aniżeli myślami własnymi. Często zapominała o swym rumaku i gdyby Piotra nie było, z pewnością tak osiołek, jak i jego pani, byłiby doznali uszkodzenia.

Młoda dziewczyna zdecydowawszy się ostatecznie na wzięcie udziału w uroczystości, postanowiła być piękną i była nią też istotnie. Miała na sobie jasno niebieską suknię, obszytą czarnym aksamitem, ze staniczkim, przybranym koronką. Pozłocany krzyżyk, dar brata, wisiał na szyi na szerokiej wstążce aksamitnej; gładko uplecione włosy tworzyły koronę nad czołem; w nich połyskiwały pozłocane szpilki; biała wełniana chustka chroniła ją od chłodu porannego.

Wieś Trzy Topole przybrała szatę świąteczną. Mała kapliczka, w której miało się odprawić nabożeństwo, niknęła prawie wśród lasu gałęzi sosnowych i wieńców; na wolnem miejscu przed nią wszystko było przygotowane do zabaw ludowych a w końcu wsi, na wielkiej łące stał namiot strzelecki; strzelanie bowiem do tarczy jest dla mieszkańców gór ulubioną przyjemnością. Łąka ta służyła zarazem za salę do tańca. Z całej okolicy napływali wieśniacy na tę uroczystość, nawet



z doliny Andorry, która na granicy Hiszpanii i Francji leży jakby zapomniana, i dziewiętnastemu wiekowi na przekorę zachowała dawne obyczaje, usposobienie religijne i urok, niestarty przez nowoczesną cywilizacją.

Po wielkiem nabożeństwie, odprawionem z szczególną okazałością, tłumy zaległy miejsce zabaw, cisnąc się do bud sprzedawczy odpustowych, tłocząc się, by otrzymać bilet do loteryi lub przyrzec się sztukom wyowiczonych psów i ptaków.

Młodzież, zwabiona dźwiękami muzyki, w jednej chwili zaległa łękę, aby nie opuścić pierwszego tańca.

Tam też Piotr i Marta znaleźli swoich znajomych z Merens i z Ax. Sydonia wyróżniała się wśród towarzyszek swoich wspaniałym ubiorem i świeżością całej postaci; była wystrojona, jak żądna z rówiennic a twarz jej promieniała, jak gdyby cała uroczystość dla niej tylko była urządzona. Nic dziwnego, że młodzież tłumnie garnęła się do niej.

— Patrz tylko, — odezwała się szesnastoletnia zaledwie wieśniaczka, — oto Marta, linoskoczka! Co za strój! Mój Boże, jakże może porządna dziewczyna ubierać się w ten sposób!

— Doprawdy! — odpowiedział gruby chłopak z wyzywającą twarzą, — widać, że ta panna urosła wśród wędrujących kuglarzy.

— Nie pozwolę nic mówić na Martę! — odezwała się gniewnie Sydonia, która przybraną siostrę Piotra zawsze brała w opiekę — patrzcie tylko jak ona lekko tańczy, nikt z nią nie może iść w zawody.

— Myśmy też w dzieciństwie nie tańczyły na linie — zauważyło złośliwie dziewczę, które poprzednio krytykowało ubranie Marty i spoglądało na nią zazdrosnem okiem.

— Pfe! Joanno, jak możesz się odzywać w ten sposób — odparła Sydonia — czyż to wina Marty,

że ją porwano rodzicom, czy to już nie dość smutne, że jest sierotą?

— Jesteś zawsze dobrą dziewczyną — wtrącił Piotr, który właśnie się zbliżył i słyszał ostatnie wyrazy.

Młoda dziewczyna odwróciła się żywo i powitała młodego górala z uśmiechem.

— Już się za tobą oglądałam — rzekła z prostotą.

— Będiesz ze mną tańczyć, Sydonio?

— Bardzo chętnie — odpowiedziała, widocznie ucieszona.

Piotr zrozumiał, że matka miała słuszość. Sydonia była mu widocznie życzliwą i gdyby jej był oświadczył się dzisiaj na seryo, nie byłby otrzymał kosza z pewnością. Piotr tańczył z nią wiele i niebawem szeptało sobie wśród gromadek, że niedługo odbędzie się wesele w Merens.

Wśród malowniczych postaci górskich widzieć było można pewną liczbę młodzieńców ubranych modnie, po których nie trudno było poznać, że przybyli z miasta. Byli to dawniejsi wiesniacy, którzy woleli opuścić ciężką pracę przy pługu i szukać szczęścia w mieście, jako posługacze w handlach, pisarze i t. d. Z blademi twarzami i rękami w rękawiczkach, nie odgrywali oni pierwszorzędnej roli wśród dumnych i pewnych siebie wieśniaków; odwdzięczali się im oni za to tem, iż z wyrażeniem uczucia miłości własnej spoglądali na tamtych, jak na nieoświeconą rasę ludzi i starali się zawracać głowy dziewcząt uprzejmymi manierami i wyszukanemi słówkami. Dla tego niechętnie widywano ich na *fene-strze*, lecz ponieważ większa część z nich miała krewnych lub znajomych wśród wieśniaków, przeto musiano znosić ich obecność i wymokłe ich postacie.

Do nich przyłączył się wesoły huzar, Aleksy Boyer. Wysoka jego figura uwydatniała się korzystnie w krótkim, niebieskim, białemi lampasami przy-

branym mundurze, kepi osiadło fantastycznie na gestych, ciemnych włosach, uczesanych dzisiaj z szczególną starannością; zuchwale spoglądające ciemne oczy i podkręcony wąsik zdawały się usprawiedliwiać twierdzenie, że huzar więcej czynów bohaterских dokonywał w szynkach, aniżeli na polu bitwy i że z powodu braku karności był już kilkakrotnie degradowany. Ponieważ jednakże nie był zdolny do czegoś lepszego, przeto rozpoczynał swoją karierę na nowo i znowu dzisiaj był już sierżantem. Mówiono o nim gorsze jeszcze rzeczy, lecz tylko na ucho, gdyż niebezpieczną było rzeczą drażnić go; w każdym razie byłby z obrażającym go załatwił się krótko. Słowem, był on niebezpiecznym stworzeniem, istotny niepoń, co jednak nie przeszkadzało temu, iż spojrzenia wszystkich dziewcząt zwracały się na pięknego huzara, jak go nazywano ogólnie, ku wielkiemu utrapieniu chłopców wiejskich.

Aleksy pilnie nadskakiwał Marcie; uważał, iż jest inteligentniejszą i ładniejszą od innych dziewcząt z okolicy; mieszczanie przyznawali mu słuszość i namawiali go, aby rozpoczął konkury, gdy tymczasem młodzi wieśniacy wszyscy widzieli w Sydonii swój ideał.

Marta pomimo powodzenia nie była wcale uszczęśliwioną; łączyła się niechętnie z wesołym tłumem. Wzrok jój śledził Piotra, który nie opuszczał Sydonii ani na chwilę. Powiedziała sobie, że dzień ten będzie rozstrzygającym dla obojga; życzyła swemu przybranemu bratu szczęścia z całego serca, gdyż Sydonia wydawała jój się godną jego. Lecz cóż się stanie z nią, biedną sierotą?

Na tę myśl serce jój ścisnęło się boleśnie, przejęte gwałtownym bólem. W tej chwili Piotr ofiarował Sydonii bukiet, który jemu przypadł przy zabawie w udziale; ona odebrała go z wzruszeniem pełnym prostoty. Młodzieniec zachwycony chciał

właśnie powiedzieć kilka słów uprzejmych swój tancerce, gdy wtém wzrok jego padł na Martę; ujrzał ją bladą, chwiejącą się i zapominając o wszystkiém w koło siebie, pobiegł do niéj.

— Siostrzyczko, co ci się stało? — czyś ty chora?

— To nic, Piotrze, lekkie zmęczenie; bądź spokojny, to już minęło.

Zostawiła go stojącego w miejscu i podążyła z Aleksym do tańca.

Zajście to widocznie rozdrażniło Piotra. Pytał sam siebie, dla czego Marta może być tak smutna, czemu tak zbladła, kiedy podawał Sydonii kwiaty; zdawało mu się, iż ją rozumie i nie śmiał sam pytać własnego serca, w którém od kilku dni nowe, niejasne jeszcze budziło się uczucie, występujące na jaw z każdą chwilą coraz żywiej. Młodzieniec nie odzyskał swój wesołości i Sydonia spostrzegła niebawem, iż jój tancerz popadł w zwykłą obojętność. Uroczystość cała od téj chwili wiele dla niéj straciła uroku.

Najbardziej zajmującą część *fenestry* stanowiło strzelanie; najlepsi strzelcy z dalekich okolic stawili się, aby zdobyć nagrodę honorową: złotą broszkę. Zanim jednakże rozpoczęło się współubieganie, nastąpiła pauza; gromadki rozproszyły się, strzelcy potrzebowali odpoczynku, aby uspokoić krew wzburzoną tańcem i wzmocnić się; dziewczętom przypomniało się, iż miały zakupna do zrobienia, reszta cisnęła się do namiotów z napojami.

Huzar zaprosił Piotra i niebawem obydwaj znaleźli się w wesołym towarzystwie. Aleksy częstował a podniecony wybornem winem południowem, umiał znakomicie bawić gości.

— Słuchajcie, kumie — odezwał się jeden z nich, słysząc, jak Aleksy zamawia likier dla niego — pewnie odziedzyczyłeś jaki spadek?

— Tak sądzisz? Moje ciotki o niczem mniej nie myślą, jak o tem, by mię uczynić szczęśliwym spadkobiercą; mimo to po trochu zjadam spadek naprzód.

— Powiadano mi, że podobno nie są bardzo hojne.

— Jesteś poinformowany zupełnie dobrze, nie oddałyby ani szeląga.

— W takim razie zapewne robisz długi?

— Czemuż nie! Taki młodzieniec jak ja, wszędzie znajdzie kredyt.

Stawiając próżny kieliszek z hałasem na stole, zawołał głośno:

— Jeszcze jedną butelkę, gospodarzu!

Gospodarz przyniósł żadaną butelkę i rzekł złośliwym tonem:

— Przepraszam, mój panie, ale u mnie nie ma kredytu, nawet chociaż pan jesteś już sierżantem; znam pułk wasz i nie robię też różnicy między moimi gośćmi.

— Słusznie, dzielny człowieku! nie jesteś tak niemądry, jak się zdajesz. Oto zapłata!

Mówiąc to, Aleksy rzucił sztukę złota na stół.

— Założyłbym się, że wyszukałeś starą pończochę jednej z ciotek — odezwał się jeden z towarzyszów.

— Wiesz, że znam sam siebie i znam się na wszystkim. Mam dobre wiadomości szkolne i w wolnych chwilach używam ich na rzecz moich ciotek. W ten sposób wypełniam czas i jestem na dobrej stopie z ciotkami. Doszedłem już do prowadzenia ich ksiąg obrachunkowych.

— Teraz rozumiem, przyjacielu; przytem zawsze coś wpadnie do twój kieszeni.

— Przecież mi wolno zaciągnąć pożyczkę na majątek, który i tak mnie się dostanie. Przez to nie szkodzę nikomu, prócz sobie samemu.

— Ale to nie jest uczciwie, — zauważył Piotr.

Huzar posunął w tył kepi i patrzył na górala w sposób wyzywający.

— Tak jeszcze jesteś zacofany mój chłopcze?

— Mam nadzieję, iż nigdy podobnych postępów nie zrobię.

— Sądziłem, że w twoich podróżach straciłeś trochę twój wiejskię głupoty.

— Można, chwała Bogu, iść w świat, nie przestając być uczciwym człowiekiem.

— I ja mam pretensją do nazwy uczciwego człowieka i chciałbym widzieć tego, który twierdzi przeciwnie! Ale wiesz, że postęp zmienił nieco znaczenie tego słowa, chodzi tylko o to, aby się porozumieć. Nasi ustawodawcy niebawem zrozumieją, że kiedy idee i zwyczaje się zmieniały, to i ustawy także zmienić się muszą. Gdyby dawniej ktoś był wziął sąsiadowi krowę, byłiby go wszyscy uważali za złodzieja, nieprawdaż?

— Naturalnie — zapewnił Piotr.

— Widzisz, dzisiaj jest inaczej; dzisiaj właściciel jest złodziejem.

— Oho!

— Nie oho! jest tak, jak mówię. Proudhon ogłosił, że posiadanie własności jest złodziejstwem.

— Takiego człowieka należałoby się powiesić — nadmienił Piotr.

— Przeciwnie, człowieka tego sławiono, gdyż wynalazł naukę, która głosi równość między ludźmi. Dla czego jeden ma posiadać więcej, niż drugi? Ziemia wraz z swemi bogactwami należy do wszystkich ludzi w równej części.

— Ale — odpowiedział Piotr — czy nie ma się już prawa do tego, co się nabyło, lub odziedziczyło po rodzicach? Czy pilny ma pracować za leniwego? Na cóż wszelkie trudy, jeżeli i tak do niczego nie mają doprowadzić?

— Wszystko powinno być wspólne; posiadający powinien dzielić się z tym, który nie ma nic, a ten ma zupełne prawo brać to, czego mu odmawiają — tłumaczył dalej apostoł socjalizmu.

— Ależ to znaczy świąt do góry nogami przewrócić! — zawołał Piotr. — Ludzie, którzy stósują się do tych zasad, nie są lepszymi od rabusiów i złodziei. W mych podróżach nieraz o tém słyszałem, ale wiem też, że religia nasza powiada: Nie kradnij!

— Eh! co tam religia! — przerwał Aleksy szyderczo — ta jest dziś tylko dla głupich.

— Nie zauważyłem jeszcze, aby ci, którzy się od niej uwalniali, byli esencją mądrości, — szybko odparł Piotr.

— Jakto! Wierzysz jeszcze w te wszystkie bajki, któremi cię żywią księża, te pasożyty, żyjące kosztem głupich? Dla mnie są oni zerem; nie znam innego światła nad mój rozsądek, innego prawa nad to, które mi pozwala urządzić życie jak najwygodniej.

— Ten mówi dobrze! — potakiwali mieszczanie.

— Piękne zasady! — mówił Piotr z widoczném oburzeniem. — Jak daleko z tém dojdziemy? Jeżeli złodziejstwo już nie jest złém, jeżeli Bóg i przykazania nie mają już znaczenia, to człowiek przestaje być pewnym życia i własności; ludzie będą rzucali się na siebie nawzajem, jak dzikie zwierzęta i pomimo twego podziału równego ziemia stanie się piekłem.

Huzar zaśmiał się szyderczo.

— Myślałem, nie idąc do kościoła, iż oszczędzę sobie wysłuchania nudnego kazania a teraz sprawia nam Piotr tę przyjemność. Na zdrowie tego pobożnisia! — zawołał huzar.

— Bravo! odpowiedziano chórem.



Piotr uderzył kieliszkiem o stół, że kawałki szkła rozprysnęły się i krzyknął, wstając:

— Kto mię chce znieważać, niech się zgłosi; nie boję się nikogo.

— No, no, Piotrze, nie tak gwałtownie! Nikt nie myśli o tém, aby cię obrażać, a ja najmniej — łagodził Aleksy. — Wyrządzają mi krzywdę, przedstawiając mię jako niezgodnego; jestem spokojnym towarzyszem, jeżeli mi nikt nie wejdzie w drogę.

— Pod tym warunkiem może każdy być dobrym towarzyszem — zaśmiał się błydy pisarek.

— Przeszkód nie znoszę — dodał huzar — we walce o byt nie znam względów. Co staje na méj drodze, to prędko usuwam.

— Bardzo wygodnie! — odezwał się Piotr.

— Jestem już takim, przyjacielu Piotrze, wiesz, że nie samym z siebie jest się tém, czem i jakim się jest, inaczej bowiem nie byłbym prostym sierżantem w pułku. Zresztą jestem sobie poczciwym chłopcem, lepszym, aniżeli moja opinia.

— Mam nadzieję, lecz mógłbym prawie wątpić po tém, co tu słyszałem co dopiéro.

— Czy może mam złe imię w okolicy? Przykro byłoby mi, gdyby mię obmawiano. Prawda, że życie w koszarach nie bardzo mi odpowiada; pokusa jest zbyt silna dla słabości ludzkiej, jakby powiedzieli księża, — słowem, zawieszę wkrótce pałasz na kołku, osiedlę się jako kupiec, ożenię się z ładną i rozsądną dziewczyną i będę wzorem małżonka.

— Amen! — odpowiedział chór szyderczo.

— Dobrze, zobaczycie i doczekacie się innych jeszcze rzeczy! Aby zamiar mój doprowadzić do skutku, przybyłem tutaj na *fenestrę*, gdzie sobie zdobędę złotą broszkę i najpiękniejszą dziewczę. Żołnierz powinien zawsze zwycięzać, chodzi o honor jego sztandaru!



Podnosząc kieliszek, trącał w około na cześć królowej uroczystości. Towarzystwo poparło go silnie, tylko Piotr, trzeźwy, jak zwykle, zaledwie dotknął płynu ustami.

— Oj! Piotrze! takiś milczący — odezwał się Aleksy, a przecież i dla ciebie dzisiaj pora wypić na zdrowie twój przyszłej. Nie lękaj się, nie wejdę ci w drogę i jeśli zdobędę broszkę, nie ofiaruję jej w każdym razie pięknej Sydonii. Nie byłaby ona wprawdzie złą partya, ale nie odpowiada na stanowisko żony kupca.

Czoło Piotra ściągnęło się we fałdy.

— Każdy wedle swego gustu, — mówił Aleksy dalej. — Byłoby źle, gdybyśmy obydwaj mieli jedną myśl, tem więcój, że nie jestem tym, co chętnie ustępuje.

Huzar przy całej swój bezczelności posiadał jeszcze tyle taktu, iż nie nazwał imienia Marty.

Aleksy był dobrym strzelcem; liczył na to, że zdobędzie nagrodę, będzie mógł ofiarować ją Marcie i uczynić ją królową zabawy, co, zdaniem jego, musiało mu zdobyć serce młodego dziewczęcia. Jeden był tylko, którego zręczność w strzelaniu była równą: był nim Piotr; ale huzar nie lękał go się dzisiaj; posiadał on środek, by go uczynić niezdolnym do walki. Wprawdzie nie udało mu się wzburzyć go za pomocą picia, Piotr opuścił namiot z trunkami **tak** spokojny, jak tylko wyobrazić sobie można, lecz Aleksy zachował sobie główne atu w rezerwie, które chciał zagrać dopiero w ostatniej chwili.

#### IV.

##### *Złota broszka.*

Chwila stanowcza nadeszła. Liczni strzelcy przygotowywali się do walki, gęsta ciżba otoczyła miejsce, aby być obecną na uwieńczeniu uroczystości.

Dwudziestu kilku współzawodników stanęło do strzału, ale centrum jeszcze nie dotknięto.

— Będę strzelał ostatni — powiedział Aleksy.

— Niechaj los rozstrzygnie — zdecydował Piotr.

Aby uniknąć walki, otaczający popierali Piotra, ale los rozstrzygnął na korzyść huzara.

Pozostał tylko jeszcze Piotr i Aleksy, a widzowie przeczuwali, że walka będzie gorąca. Robiono zakłady; jedni stawiali na strzał Piotra, inni na Aleksę. N gle ostatni odezwał się:

— To wszystko jedno, przyjacielu, pomimo całej pewności zostania zwycięzcą, czuję się bardziej wzruszonym, niż zwykle. Mam przed sobą dzielnego współzawodnika — dodał z uprzejmym uśmiechem, zwracając się do Piotra.

Piotr słuchał zaledwie, wydawał się rozmarzony; brakło mu ochoty, jaka go ożywiała zwykle przy podobnych okolicznościach. Nie chciał ustąpić huzarowi i pytał sam siebie w duchu, co ma począć z nagrodą, jeżeli się jemu dostanie.

— Zaczynajcie! — wołali obecni.

— Jeszcze chwilę — rzekł Aleksy — nie czuję się całkiem pewny. Każcie mi przynieść kieliszek rumu, to mnie orzeźwi. Piotr napije się ze mną.

— Dziękuję, — bronił się tenże.

Huzar udał, że nagle owładnęło go osłabienie.

— Muszę się trochę odurzyć — zaczął znowu zwolna; — przyszła mi właśnie na myśl igraszka losu, której wspomnienie muszę odpędzić.

— Cóż ci się stało? — pytał Piotr, podczas kiedy huzar napełniał kieliszki.

— Niestety, mój drogi. Wiesz, że notaryusz T., ten łotr, zniknął przed dwoma dniami, zabrawszy pieniądze swoich klientów. Mój spadek zmniejszy się przez to.

— Co! notaryusz T.? — zapytał Piotr, blednąc.

— Dla czego cię to tak wzrusza? Czy może i ty mu co powierzyłeś? Byłoby mi to więcej przykro, aniżeli gdyby moje skape ciotki poniosły stratę.

— Miałem u niego wszystkie moje oszczędności.

— Biedny chłopiec! — zawołał Aleksy z udanem współczuciem; gdybym to był mógł przeczuć, nie byłbym ci tego mówił w tej chwili właśnie; myślałem, że sam jeden tylko jestem poszkodowany. Ale, przyjacielu, nie trać zaraz głowy z tego powodu; może będzie można jeszcze coś ocalić, ludzie nieraz przesadzają. Wypij trochę rumu, to cię wzmocni.

Piotr wychylił kieliszek duszkiem, nie wiedząc dobrze, co robił. W tejże samej chwili podał mu huzar strzelbę z podstępnyim uśmiechem.

— Nie strzelam; jestem zanadto wzburzony — oświadczył Piotr.

Towarzysze nalegali na niego; nie chcieli, aby obcy dostąpił zaszczytu.

— Odwagi, Piotrze! — odezwała się Sydonia, która chętnie byłaby została królową.

Młodzieniec rzucił jój wdzięczne spojrzenie.

Marta podchwyciła to spojrzenie; zbladła i podniosła rękę ku sercu, jak gdyby chciała uśmierzyć ból jakiś, potem nagle prostując się z godnością zawołała do huzara:

— Odwagi, Aleksy!

Huzar uklonił się Marcie z szacunkiem, potem skłaniając broń, odpowiedział:

— Dla ciebie Marto!

Piotr odwrócił się; ciemne jego oczy błyszczały, gorzki uśmiech wykrzywił mu usta, troska, miłość własna i zazdrość nurtowały w nim; wziął strzelbę w drżącą rękę i wystrzelił; kula dosięgnęła tarczy,

lecz środek pozostał nienaruszony. Zaraz potem rozległ się drugi strzał; zabrzmiały oklaski — pewna ręka huzara nie chybiła.

Tryumfująco odebrał zwycięzca ofiarowaną mu broszkę, zbliżył się do Marty, podał jej skromny klejnot i otrzymał od niej nie bez oporu uświęcony zwyczajem pocałunek. Podając jej następnie ramię stanął na czele orszaku, a muzyka zagrała wesołą melodyą.

Marta była mocno wzruszona; uczuła ona pewne zadowolenie w téj chwili, która jej wynagrodziła niejedno szyderstwo ze strony rówieśniczek, z drugiejj strony atoli doznawała pewnego niepokoju, odbierając hołdy właśnie u boku Aleksego. Czemu nie mógł być kto inny w jego miejscu?

Piotr zawsze jeszcze przykuty do miejsca, patrzył na widowisko, odgrywające się przed jego oczami, nie zdając sobie jasno z niego sprawy; był upokorzony, wściekły z gniewu i zwolna dopiero pojmować zaczął, jak obłudnie huzar z nim postąpił.

— Słuchaj, chłopcze — zagadnął go pewien stary człowiek — nie matrw się. Wszyscy wiedzą, że jesteś najlepszym strzelcem w górach; innym razem będziesz miał więcej szczęścia.

— Z pewnością — potwierdził inny — zresztą dzisiaj najpiękniejsze powodzenie ma Marta. Patrz tylko, jak ta mała dumnie idzie obok ukochanego! Aleksey jest dobrą partya i niejedna zazdrości jej dziś szczęścia. Widzę z przyjemnością, że niebawem będziemy mieli wesele.

— Nie — krzyknął Piotr — nigdy!

W téj chwili nadszedł uroczysty pochód. Aleksey rzucił swemu współzawodnikowi spojrzenie pełne szyderczej litości.

Piotr przyskoczył, straciwszy panowanie nad sobą, jednym skokiem do niego. Zrywając broszkę

z stanika Marty, rzucił ją na ziemię i zgniótł ją obcasem.

— Piotrze! — zawołało dziewczę przerażone. Huzar zbladł na tę zniewagę.

— Jesteś tchórzem, łotrem! — krzyknął góral. Zabraniam ci powiedzieć jeszcze choćby słowa do Marty. Patrz, pod memi nogami depcę nagrodę, którą zdobyłeś zdradliwie. Tak — mówił głośniej jeszcze, zwracając się do obecnych — najprzód starał się spoić mię, a kiedy mu się to nie powiodło, wystąpił w ostatniej chwili z fałszywą prawdopodobnie wiadomością, że notaryusz, któremu powierzyłem moje pieniądze, uciekł; chciał mię doprowadzić do rozpacz, aby ręka mi zadrżała. To mu się powiodło. Aleksy Boyer, jesteś podłym, łotrem, którego traktuję jako takiego!

I zanim huzar spostrzegł się, otrzymał głośny policzek, od którego o mało się nie przewrócił. Ale w następnej zaraz chwili rzucił się z wściekłą dzikością na swego przeciwnika, byłby go rozdarł w kawały, gdyby tylko był mógł.

— Zostawcie nas! — wołał, kiedy najbliżej stojący chcieli się rzucić między nich — żołnierz nie może pozwolić traktować się w ten sposób bezkarnie. Broń się, Piotrze, ty albo ja, jeden z nas musi zostać na miejscu!

Piotr czekał na niego, tak samo żądny walki, jak on i obydwaj przeciwnicy rozpoczęli zapasy. Widzowie utworzyli koło, widać było, że uważali całą tę sprawę za rozrywkę, której nie chcieli sobie odmówić.

W zaciekłości i gniewie obydwaj szermierze byli do siebie podobni, ale nie z siły, a jeśli huzar liczył na sztywność i niezręczność wieśniaka, to wkrótce doznał rozczarowania. Po kilku chwilach leżał na ziemi.

Piotr przygniótł mu piersi kolanem i spoglądał tryumfująco w koło siebie.

— Nieuczciwy zwycięzco! Jesteś w mojej mocy. Jestem pomszczony!

— Aleksy zgrzytał zębami z wściekłości.

— Zabij mnie, Piotrze, bo ci nigdy nie przebaczę!

— Twoje życie nie do mnie należy, odparł Piotr z pogardą. Nie jestem katem!

Mówiąc to, uwolnił Aleksego.

— Dzielnie — Piotrze — wołali mężczyźni, pozwól mu iść!

Aleksy podniósł się z posinoną twarzą, z oczami płonącymi nienawiścią.

— Piotrze! — rzekł — powiedziałem ci poprzednio, abyś mi nie wchodził w drogę, jeszcze mnie poznasz. We mnie płynie krew hiszpańska a ogień mściwości płonie w moich żyłach; będę mego nieprzyjaciela ścigał do śmierci, w pieklebym go nawet odszukał!

Piotr wzruszył ramionami lekceważąco i odwrócił się.

Przebieg uroczystości doznał przerwy wskutek tego zajścia. Rozpoczęto tańce na nowo, ale nie było już zapału wśród młodzieży. Sydonia gniewała się na Piotra, lecz on zdawał się nie widzieć tego, Marta obawiała się o przybranego brata z powodu groźby huzara i martwiła się, że to ona była wszystkiego przyczyną; Piotr, widząc ją smutną i zgnębianą, sądził, iż przykrą jej była porażka huzara i uczuwał gniew, co go jeszcze więcej rozdrażniało; Aleksy starał się głębokie upokorzenie i wewnętrzną wściekłość pokryć maską obojętności.

Kiedy taniec się skończył, zbliżył się do Marty, która go widocznie unikała, aby nie wzbudzić gniewu Piotra.

— Uciekasz przedemną — rzekł huzar — czy się lękasz tego wieśniaka?

— Nie znoszę, aby się w ten sposób wyrażano o moim bracie — odpowiedziało dziewczę.

— Marto, powiedz mi jedno: czy ci się nie podobam? Kocham cię i przysięgam sobie, że zostaniesz moją żoną. Nie wiesz oszczerstwom, które na mnie rzucają. Jestem uczciwym człowiekiem pomimo młodzieńczej lekkomyślności, która mną czasem owładnie. Uczynię cię szczęśliwą. Piotr jest zrujnowany; pieniądze jego stracone, rozpocznie się znowu dla was nędza. Ja zaś ci mogę ofiarować stanowisko pozazdroszczenia godne.

— Jeśli moi dobroczyńcy są biedni, to będę się czuła szczęśliwą dzieląc ich dołę — odpowiedziało dziewczę stanowczo.

— Ta wspaniałomyślność odpowiada twemu dobremu sercu, Marto, ale pomyśl, że twoją obecnością nie złagodzisz ich niedostatku, lecz owszem powiększysz go tylko. Pewnego pięknego poranku dadzą ci do zrozumienia, iż stałaś się ciężarem.

— Niestety, może masz słuszość — westchnęła Marta.

Aleksy uderzył w jej czułą strunę i pospieszył wybić dla siebie kapitał z tej delikatności dziewczęcia.

— Nie chciałem ci sprawiać przykrości temi słowami — mówił dalej — ale w twoim własnym interesie muszę ci wyjaśnić twoje położenie, którego może nie znasz dostatecznie. Wiesz równie dobrze, jak ja, że Piotr kocha Sydonię; wzgląd na ciebie skłania go może do odrzucenia nasuwającego mu się szczęścia, a jednak to małżeństwo jest jedynym środkiem, aby matkę na starość uchronić od nędzy i sobie także dopomódz. Zgódź się, Marto, zostań moją żoną; przez to wyświadczysz twoim opiekunom

wielką przysługę, a mnie uczynisz najszcześliwszym z ludzi.

Marta żadnej nie dała mu odpowiedzi. Było to okrucieństwem ze strony Aleksego, że jęj przedstawił całą niedolę jęj położenia; a jednak to, co jęj dopięro powiedział, niejedną jęj zgotowało już przykrą chwilę, powtarzała to sobie codziennie. Tak, czuła to sama, że jest tylko ciężarem tym zacnym ludziom. Piotr kochał Sydonię, matka pragnęła tego związku z całego serca — czy powinna stać im w drodze? Uczucie własnej godności zakazywało jęj pozostać tam dłużej, a Piotr oświadczył jęj, że nie wolno jęj opuszczać ich domu prędzęj, dopóki za mąż nie pójdzie. Tutaj nastęrczała się tylko jedna sposobność; lecz wyjść za mąż wbrew woli brata, zaślubić jego śmiertelnego wroga, wydawało jęj się czemś niewykonalnym i serce jęj ścisnęło się boleśnie, gdy pomyślała o opuszczeniu gościnnęj chaty i pożegnaniu się z Piotrem.

— Rozważę to sobie — powiedziała wreszcie wolno. — Przyrzeknij mi jednak poprzednio, że Piotrowi przebaczysz i zapomnisz dzisiejszęj sprzeczki.

— Jeśli zostaniesz moją żoną, Marto, będę tak szczęśliwy, że o wszystkiem zapomnę, będę uważał Piotra jako brata. Jeśli przeciwnie ciebie mi odbierze, nie przebaczę mu nigdy — słyszysz? przegnidy!

Słowa te były wypowiedziane tonem, który przejął dziewczę dreszczem.

— Za miesiąc dam ci stanowczą odpowiedź.

— Miesiąc, to długi przeciąg czasu; czy mogę dzisiaj chociaż mieć jakąś nadzieję?

Marta ociągała się; jęj oczy szukały Piotra. Ten ostatni stał niedaleko od obojga i tak gniewnym wrokiem patrzył na Martę, że się przelekła.

— Odpowiedz, Marto, proszę cię o to — nalegał Aleksy.



Nie zdolna już powiedzieć ani słowa, podała mu rękę na pożegnanie.

— Dziękuję — rzekł młodzieniec ucieszony, uważając to za przyrzeczenie. Marto, licz na mnie, nie nas już nie rozłączy.

— Czy będziesz niedługo gotowa do powrotu? zawołał Piotr do przybranéj siostry.

Nigdy jeszcze nie przemawiał do niéj tak szorstko. Marta uczuła głęboki smutek, lzy zapełniły jéj oczy podczas, gdy milcząc postępowała za bratem.

— Płaczesz? — zapytał drwiąco. Tak bardzo ci przykro go opuszczać?

— O Piotrze! już mię nie kochasz, gdyż inaczej nie przemawiałbyś tak szorstko.

— Nie Kocham cię? — zawołał młodzieniec z żywością. O! Marto...

Nie dokończył zdania z obawy, by nie powiedzieć za wiele.

Powrót z uroczystości był smutny. Piękny krajobraz, który podziwiali rano bez troski i wesoło, wydawał im się szary i posepny, gdyż serca obojga tłoczyła ciężka troska. Marta odczuwała gorzko to, że miała być ciężarem Piotrowi, do którego była przywiązana całym sercem. Młody góral cierpiał nie mniej, gdyż w tym dniu poznał uczucie, którego dotąd nie pojmował, które kryło się w głębi duszy: kochał Martę. Nie ukazywała mu się ona już jako siostra, lecz jako kobieta, której losy powinien był połączyć z własnymi, jeśli nie chciał wyrzec się szczęścia. Czemuż to nieraz tak trudno dwom sercom porozumieć się z ufnością? Tutaj ubóstwo stanęło jako zaporę między dwojgiem kochających się nawzajem serc. Piotr nie mógł pojąć Marty; jeśliby bowiem odpowiadała jego miłości, to zniszczyłby nadzieje matki. A co mógł on jéj ofiarować? Ubóstwo, nic innego, jak nędzne życie! Musiał stłumić

miłość swoją i pozwolić, aby inny ją zabrał. Gdybyż to chociaż nie był ten szkaradny huzar!

W sercu Marty również wrzała burza. Nie miała innego życzenia nad to, by znajdować się w pobliżu Piotra, dzielić z nim pracę i niedostatek. Jakiego rodzaju to uczucie było, pojęła to także dopiero dnia dzisiejszego. Czy mogła pomyśleć o tem, aby zdobyć miłość Piotra? Byłaby sobie uważała za zbrodnią, gdyby ze względu na nią Piotr porzucił bogatą Sydonią. Nie, i ona powinna była zrzec się, choćby jój serce pękało!

— Marto — przerwał Piotr nagle milczenie — czy mogę się zapytać, co Aleksy Boyer mówił z tobą?

Dziewczę nie odpowiedziało nic.

— Nie z ciekawości stawiam to pytanie, Marto — mówił Piotr dalej — lecz jedynie dla tego, ponieważ pragnę dla ciebie wszystkiego najlepszego. Czy ci się oświadczył?

— Tak jest!

— Co mu powiedziałaś?

— Przyrzekłam mu, że nad propozycją jego zastanowię się i dam mu odpowiedź za miesiąc.

— Marto! Nie mam prawa rozporządzać twoją przyszłością, lecz czuję się zobowiązany służyć ci radą w tak ważnej chwili życia. Jedyném mojem pragnieniem jest widzieć cię szczęśliwą i dla tego chcę ci powiedzieć, co myślę o twoim konkurencie. Aleksy Boyer nie jest ciebie godny, ma złą opinią, nie dzieli naszych uczuć religijnych, nie zna ani szczerości, ani uczciwości, gardzi religią, klnie, jak Turek, jest skończonym urwiszem. Może być, iż żywi dla ciebie uczucie, lecz nie jest zdolnym uczynić żony szczęśliwą. Teraz wiesz, jakie jest moje zdanie, namyśl się jeszcze nad tym krokiem! Jeśli zaś pomimo to chcesz wyjść za niego, to będę milczał, gdyż nie mam ci już nic do ofiarowania; twój posag zabrał ten nędznik notaryusz.

— Wiem o tém, Piotrze. Nie troszcz się o mnie, przedewszystkiém nie mów nic matce, za- nadto by się tém martwiła, a może...

Dziewczę nie dokończyło zdania.

— Piotrze, — zaczęła znowu, nie zapomnę nigdy, coście oboje uczynili dla mnie, lecz nie chcę dłużej, niż potrzeba, nadużywać waszjej wspaniało- myślności. Aleksy nie żąda odemnie posagu, wyjdę więc za niego, abyś ty mógł zostać szczęśliwym i bogatym przy boku Sydonii.

— Nie, Marto, tego nie zniosę, abyś się dla mnie poświęcała i z tego powodu zawierała na pe- wno nieszczęśliwe małżeństwo, abym ja mógł poślubić Sydonią. Ona mię nie może uszczęśliwić, jeśli ty przez to masz stać się nieszczęśliwą.

— Aleksy może się odmienić, przyrzekł mi, iż stanie się rozsądnym.

— Kochasz go, Marto? — pytał Piotr trwożliwie.

Dziewczę zbladło; pytanie to było tak niespo- dziane! jednakże pokonała wzruszenie swoje i odpo- wiedziała półgłosem:

— Nie wiem.

Piotr skierował ku niej stanowcze spojrzenie i pojął natychmiast, że Marta nie mówiła mu całej prawdy. Uśmiech zadowolenia przebiegł mu po twarzy.

— Nie, Marto — powiedział — nie możesz mię zwieść, ty nie kochasz Aleksego.

Marta nie śmiała nic odeprzeć i resztę drogi odbyto w milczeniu. Zachodzące słońce zniknęło właśnie za górami i szczyty rzucały potężne cienie na dolinę, kiedy Piotr i Marta znowu ujrzeli nędzną chatkę, gdzie kilka lat szczęśliwych przeżyli ze sobą.

— Marto — odezwał się młodzieniec łago- dnie — czy pamiętasz jeszcze dzień, w którym cię tu pierwszy raz przywiodłem?

— Tak, Piotrze, i nie zapomnę go nigdy.

Ach! — dodała z mimowolnem westchnieniem — może byłoby stało się lepiej, gdybyś mię był wtenczas zostawił w lesie.

— O! Marto! to są najokrutniejsze słowa, jakie kiedykolwiek usłyszałem z ust twoich. Czy istotnie jesteś tak nieszczęśliwą?

Młode dziewczę spojrzało na niego smutno i wzrok jój mimo woli zdradził Piotrowi całą prawdę.

— Marto — rzekł Piotr poważnie — nie zaślubisz Aleksego nigdy, tak samo, jak ja nie pojmem nigdy Sydonii za żonę.

Zdziwiona słowami, których doniesłości nie pojmowała, Marta chciała właśnie protestować przeciw temu, aby Piotr miał się zrzekać Sydonii w tym celu, iżby tylko ona nie potrzebowała domu ich opuszczać, kiedy matka ukazała się na progu chaty.

— Jakże późno wracacie, dzieci! — zawołała — byłam już o was niespokojną.

— Niepotrzebnie, matko, wiesz, że znam każdą ścieżkę w górach, wśród najciemniejszej nocy nie zbłąkałbym się.

— Otrzymałeś nagrodę, Piotrze? — zapytała matka — która w macierzyńskiej swój dumie o niczem inném nie myślała, jak o tém, aby syna nikt inny nie przewyższył.

— Nie, matko, byłem zbyt niezręczny; Aleksy został królem uroczystości.

Matkę Magdalenę wiadomość ta zdawała się gniewać; miała jeszcze inne pytania na ustach, lecz powstrzymała je z powodu obecności Marty.

O straszliwej wieści o notaryuszu Piotr chwilowo nie wspomniał wcale, chciał się najprzód dowiedzieć, ile w niej jest prawdy. Pod pozorem pilnych interesów zatem nazajutrz wybrał się o brzasku dnia do miasta Foix. Tam dowiedział się niestety, że Aleksy go nie okłamał: notaryusz uciekł i całe miasteczko było wzburzone z powodu tego wypadku.

V.

*H u z a r.*

Aleksy Boyer był zatrudniony we Foix w biurze wojskowym; stanowisko to przypadało mu więcęj do gustu, aniżeli służba w pułku. Czas służby kończył mu się wkrótce i Aleksy zamyslał, jak już wiadomo, poświęcić się zawodowi kupieckiemu. Gdyby, wedle zdania niektórych osób, wojsko było istotnie wielką umoralniającą i kształcącą instytucją, to bohater nasz byłby musiał chyba stanowić rzadki wyjątek wraz z swojemi mrzonkami socyalistycznemi, ponieważ u niego skutek był właśnie wręcz przeciwny; fizycznie i moralnie pozostawiło koszarowe życie na nim ślady.

Wstępując do pułku, był Aleksy ładnym młodzianem dwudziestoletnim, znającym mało świat, trochę naiwnym i słabego charakteru; niebawem dostał się on w ręce owych nieponiów, którzy szukają chwały w „wychowywaniu“ młodych żołnierzy. Aleksy okazał się bardzo pojętnym i nie trwało długo a przewyższył swych mistrzów w rozprężeniu i pogardzie wszystkich uczuć, które w niego wpoila pobożna, na nieszczęście przedwcześnie zmarła matka.

Dwie rzeczy przyniósł z *fenestry*; samolubną, namiętą i wszelkiego szlachetnego uczucia pozbawioną miłość do Marty i gwałtowną nienawiść do Piotra, który nie tylko upokorzył go do głębi, ale którego nadto uważał za przeszkodę do swego połączenia się z Martą. Pomimo to nie wątpił, że otrzyma jęj przyzwolenie; pochlebiał sobie, że żadna dziewczyna oprzeć mu się nie może. Następne dni wydały mu się długimi, znacznie dłuższemi, niż zwykle i aby sobie czas skrócić, a zarazem korzystać z pozostającego mu jeszcze

czasu kawalerstwa, oddał się zwykłemu szaleństwu, z których gra w karty była najgorszem.

Pewnego wieczoru nasz huzar przegrał sto franków w karty, co było znaczną sumą na biednego huzara, jak on. W jaki sposób miał zapłacić dług swój? Stare jego ciotki, które go dobrze znały, nie były tak nierozsądne, by mu tyle pożyczać; mógł wprawdzie od czasu do czasu usunąć sztukę złota, lecz to wystarczało zaledwie na codzienne wydatki. Był on najbliższym krewnym tych starych kobiet; kochały go, pomimo całej lekko-myślności, i gdyby był może zrzęcznie wziął się do rzeczy, byłyby się dały ten raz jeden namówić. Próbę chciał zrobić w każdym razie.

Nazajutrz w południe ukazał się Aleksy u starszek. Obie siostry były właśnie zajęte usługiwaniem kupującym.

— Dzień dobry ci, Aleksy — odpowiedziały na jego powitanie. Poczekaj chwilkę.

— Nie przeszkadzajcie sobie, drogie ciotki, mogę poczekać.

— Idź przez kuchnię i powiedz Marysi, aby położyła jedno nakrycie więcej. Zostaniesz przecież u nas na obiedze, nieprawdaż?

— Jestem wolny od służby, mogę przeto zostać do wieczora.

— To doskonale — powiedziała starsza z tych pań, która załatwiwszy interesa z kupującymi, pobiegła do kuchni tak szybko, jak na to pozwalały chore jęj nogi.

— Marysiu!

— Słucham pani.

— Mój siostrzeniec będzie na obiedzie. Postaraj się, aby się znalazło coś dobrego; znasz jego gusta. Potem pójdziesz do sklepu i przyniesiesz butelkę wina Roussillon. Aby nic nie brakło, idź

do cukiernika i zapytaj się, czy nie ma czegoś odpowiedniego na wety.

— O! droga ciotko! zepsujesz mię zupełnie. Za wiele robisz sobie ambarasu z mego powodu, jakże się odwdzięczę za tyle dobroci!

— Zaniedbałeś nas trochę w ostatnim czasie, mój siostrzeńcze!

— Zaniedbałem? O nie, droga ciotko, ale nieraz jest praca nad siły.

— Na szczęście skończy się twoja służba niedługo.

— Chwała Bogu!

Obiedwie siostry lubiły Aleksego. Był on jedynym synem wcześniej zmarłego krewnego i od czasu śmierci matki wiele uczyniły dla niego. Jedna była wdową sama, druga pozostała niezamężną, aby, jak mówiła, móżdź pozostać ze siostrą. Wiodły razem życie spokojne, zadowolone, a handel ich uchodził za interes bardzo korzystny. Pani Very i jej siostra, panna Alina Boyer, ułożyły razem, że Aleksego po wyjściu z wojska zatrzymają u siebie, ożenią go odpowiednio i z młodem małżeństwem razem będą prowadziły gospodarstwo.

— Opowiedz nam teraz coś o twój podróży do Ax — prosiła ciotka Alina, kiedy zasiedli przy stole.

— Cóż mam opowiedzieć? Ax stoi na tem samym miejscu, potok górski szumi zawsze równo, a ciepłe źródła nie straciły jeszcze swój siły. Radzę ci, droga ciotko, abyś skorzystała z przyszłego sezonu kąpielowego, aby wyleczyć tam swój reumatyzm.

— Zapominasz, Aleksy, że nie mogę zostawiać handlu. Nie mogę przecież całego ciężaru pracy składać na Alinę.

— Do tego czasu będę wolny i będę pomagał ciotce Alinie.

— Dziękuję za dobre chęci, ale za mało posiadasz zmysłu kupieckiego.



— Ależ, ciotko!

— Nie chcę ci robić wyrzutów, lecz twoje roz-targnienie jest nieraz przyczyną omyłek w rachun-kach.

Młodzieniec zarumienił się mimowolnie.

— Będę się starał lepiej to robić, droga ciotko, uczyniłem silne postanowienie otrząśnięcia się z lekko-myślności i sędzę, że najlepszym środkiem ku temu będzie, jeżeli się ożenię jak najwcześniej.

— Istotnie? Czyś tę rozsądną myśl przywiózł z podróży?

— Tak jest, drogie ciotki.

— To właściwie sprzeciwia się naszym zamiarom, wyszukałyśmy ci bowiem już odpowiednią narzeczoną.

— To mi bardzo przykro; jednakże sędzę, że moja wybrana również wam się podobać będzie.

— Czy ją już kochasz?

— Do szaleństwa!

— To ożeń się z nią, jeśli jest uczciwa.

— Myślę, że i wy ją pokochacie bardzo, jest ładna, łagodnego charakteru i pod każdym względem doskonałą istotą.

— Możemy ją w takim razie przyjąć u siebie, jeżeli podziela nasze przekonania religijne — rzekła panna Alina.

— A ja nie ożeniłbym się z nią, gdyby było inaczej — zapewniał huzar skwapliwie. — Wiecie, że mam wielki szacunek dla religii; chociaż mię szaleństwa awanturniczéj młodości nieco oziębiły we wykonywaniu praktyk religijnych, nie mniej jednak pozostałem dobrym katolikiem i uznaję zupełnie, że kobieta tylko wtenczas może być dla męża wierną i przywiązaną żoną, jeśli jój cnota stoi pod strażą pobożności.

Aleksy był skończonym obłudnikiem; znając pobożne usposobienie swych ciotek, strzegł się zdra-



dzió prawdziwe swe zapatrywanie i w téj chwili, kiedy chciał skorzystać z ich ufności, nie zabrakło mu pięknych słówek.

— Gdzież poznałeś to dziewczę? — zapytała ciotka Very.

— Mieszka niedaleko Merens; widuję ją, ilekroć odwiedzam wuja Hieronima. Jest sierotą, wychowaną przez zacną rodzinę wieśniaczą, ale nie jest jednak bynajmniej wieśniaczką; przyniesie mi zaszczyt i łatwo przyuczy się w waszym interesie, tak, iż będziecie mogły więcej używać odpoczynku.

Aleksy umiał tyle dobrego opowiedzieć o Marcie, że obie siostry zapragnęły gorąco ją poznać.

— Czy już się oświadczyłeś?

— Tak, ciotko.

— A ona przyzwoliła?

— Owszem, jak najchętniej — odparł Aleksy — nie zarumieniwszy się nawet przy tém kłamstwie.

— Jak jój imię?

— Marta.

— Co myślisz, Alino, — odezwała się ciotka Very — czy nie mogłybyśmy zaprosić Marty na kilka dni do siebie, aby ją bliżej poznać?

— Wątpię, aby się na to zgodziła, droga ciotko, — odpowiedział huzar — ona jest bardzo nieśmiała. Spuście się na mnie; zaręczam wam, że ją pokochacie, ona jest aniołem cnoty i dobroci.

— Tak mówią wszyscy zakochani — zauważyła ciotka Alina z uśmiechem — a później stwierdzają, że ów anioł zamienił się w szatana domowego.

— O! tego nie obawiam się wcale; o Marcie słychać same tylko pochwały w całej okolicy.

— To zatem byłoby rozstrzygnięciem; ożenisz się, skoro tylko zwolnią cię z pułku.

— Tak jest ciotko! Tylko obecnie znajdują się w wielkim kłopotcie.

— Jakto?

— Jest to zwyczajem tamtych stron, że narzeczony swój narzeczonej ofiaruje podarunek.

— Tak też jest w istocie.

— Nie chciałbym się okazać nędzniejszym od ostatniego z tych chłopaków wiejskich, ale moja sakiewka pusta.

— Sądziś więc, że twoje ciotki mogłyby ci przyjść w pomoc?

— Tak jest, i nie wątpię wcale o waszem dobrem sercu, drogie ciotki! Jakże żałuję teraz, że na niejedno niepotrzebnie wydałem. Kiedy pomyślę o tem, że małeńki spadek po matce roztrwo- niłem, mógłbym płakać z gniewu. Jakże byłbym szczęśliwy dzisiaj, gdybym mógł go oddać Marcie, aby zadowolnić wszystkie jój życzenia! Z delikatności nie chce ona o nic prosić swych dobroczyńców, którzy sami są biedni, a z drugiej strony dotykałoby mię to znowu przykro, gdyby ona, która jest wiele ładniejszą od wieśniaczek, musiała stać niżej od nich.

— Tak też nie ma być, uspokajała go ciotka Alina, kiedy przyjdzie wesele, wszystko weźmiemy na siebie; możesz jój to powiedzieć w naszym imieniu. Tymczasem możemy ci dać dla niój mały klejnocik.

Panna Alina podniosła się i wyjęła z biurka szkatułkę, którą otworzyła kluczykiem, zawieszonym na szyi. Aleksy pochłaniał chciwym wzrokiem zawartość szkatułki; starał się zbadać, czy oprócz kosztowności zawiera ona także pieniądze, gdyż właściwie po te ostatnie przyszedł on dzisiaj.

Panna Alina wyjęła parę kolczyków wysadzanych szmaragdami i ładny pierścionek z prawdziwą perłą.

— Oto twój podarunek zaręczynowy — rzekła,

pokazując pierścioneek, — a te kolczyki ofiarujesz Marcie w naszém imieniu.

W szkatułce połyskiwał jeszcze łańcuch z medalionem, zegarek i kilka naszyjników. Ciotka i to wyjęła, podniosła dno, pod którym ukazała się osobna przegródka z dwoma banknotami i kilku rulonami złota.

— A to jest na koszta weselne — mówiła poczciwa staruszka, pokazując mu swoje oszczędności.

— Możecie mi to dać już teraz — proponował huzar.

— Nie, mój panie siostrzeńcze, ani szeląga nie dostaniesz tak długo, dopóki jesteś narażony na pokusy życia koszarowego i jaskiń gry!

— Już nie grywam teraz — zapewniał Aleksy. — Jeżeli to, co mi przeznaczycie, dacie mi dzisiaj, oddam pewną część z tego Marcie, a drugą na pewno schowam.

— Najpewniej będzie dla ciebie, jeśli je zostawisz w naszém biurku, mój kochany, — odpowiedziała ciotka z złośliwym uśmiechem.

Aleksy zmarszczył czoło, oczy mu zabłysły na widok złota, które mu się miało wysunąć z rąk.

— Jak chcecie; widzę, że nie macie do mnie zaufania.

— Owszem, ale obowiązkiem naszym jest strzedz cię od pokusy.

— Zbyt jesteście bojaźliwymi, moje drogie ciotki, — odparł gorzko.

— Alino, zamknij wszystko napowrót! — rzekła pani Very, która od kilku chwil przypatrywała mu się pilnie i zdawała się zgadywać jego myśli. Kiedy Aleksy pójdzie znowu do swój narzeczonej, damy mu podarunki dla niej. Zresztą, zanim nieznaną dziewczynę przyjmiemy jako przybraną córkę, dobrze będzie, jeśli się o niej dowiemy czegoś wię-

cój. Jutro napiszę do wuja Hieronima i do księdza proboszcza w Merens.

— Bardzo mi będzie miło, ciotko! — zapewnił Aleksy, który pozornie znowu odzyskał spokój. — Usłyszycie same, że nie przechwaliłem mój narzeczonój.

Aleksy umiał po mistrzowsku panować nad sobą i utaić plany, które snuł w głębi serca. Niebawem odzyskał wesołość i udawał w obec ciotek swobodnego i uprzejmego towarzysza. Dopiero późno wieczorem wyszedł z ich domu.

— Stare skąpice! — mruknął ze złością, znalazłszy się sam na ulicy — napróżno straciłem tyle czasu. Tymczasem potrzeba mi stu franków, jest to dług honorowy.

Wtem trącił go ktoś wcale nie delikatnie.

— Uważajcież do stu piorunów! — krzyknął, — nie następuje się przecież w ten sposób na ludzi na ulicy!

Głośny śmiech odpowiedział mu na to.

— Widocznie nie jesteś w różowym humorze, czy ci kto wszedł w drogę?

— A! to ty, Rajmundzie, nie poznałem cię.

— Widzę to, z pewnością umizgałeś się do starych ciotek, nieprawdaż?

— Na nieszczęście bez skutku, są twarde jak kamień, a do tego przegrałem sto franków wczoraj wieczorem.

— Drobnostka dla ciebie!

— Ale nie mogę ich zapłacić.

— Fortuna powróci ci je niebawem. Miałem dziś szczęście i mogłem spłacić wszystkie moje długi.

— Co za szczęśliwy człowiek! Dokąd idziesz!

— Chcę właśnie przekonać się, czy koło fortuny raz jeszcze obróci się na moją korzyść.

— Gdybym miał pieniądze, spróbowałbym także.

— Pożyczę ci dwadzieścia franków, czy jesteś zadowolony?

— Przyjmuję, może jeszcze raz mi się uda, ale potem nie wezmę kart do ręki.

— Cicho! To już powiedziałeś nieraz.

Obydwaj młodzieńcy zniknęli w ciasnej uliczce i zatrzymali się przed niskimi drzwiami szynkowni, mało obiecującej powierzchowności. W pierwszym pokoju nie było widać stolików do gry, tutaj pili wszyscy. Jako wtajemniczeni, minęli Aleksy i Rajmund ten pokój, później kuchnię i przez ciemny korytarzyk weszli do tylnego budynku. Tam znaleźli się w niskiej, pełnej dymu izbie z podłogą ceglana; lampa naftowa oświecała tę jaskinię, w której wśród zgęszczonego powietrza przeważał ostry zapach tytoniu i wina. Kilkunastu mężczyzn, którym za siedzenie służyły stare ławki lub próżne beczki, otaczali kulawy stół, na którym leżały w nieładzie karty i złoto.

Była to jedna z tych jaskiń gry najniższego rodzaju, którą odwiedzała policya od czasu do czasu, lecz która zawsze na nowo zwabiała graczy zapalonych w swoje sieci.

Przy wejściu obydwóch panował tam ogłuszający hałas.

— Va banque! — krzyczał jeden z grających.

— Przeciw komu? — wołał inny.

-- Ja pasuję!

— Dwadzieścia franków!

— Trzymam!

— Podwajam stawkę!

— Oto są.

— Teraz kolej na ciebie!

— As, król, dama, walet — wygrałem!

— Przegrałem! — jęknął przegrywający.

— Do mnie pieniądze! — wołał wygrywający.

Aleksy poznał wśród grających tego, który wygrał od niego poprzedniego wieczora sto franków.

— Dobry wieczór, sierżancie! Przynosisz mi pieniądze? — zagadnął go.

— Nie mam dziś, kolego!

— A kiedy? nie mam ochoty stracić téj sumy.

— Tak też nie będzie, ale co do mnie nigdy w ten sposób nie przykładałem nieszczęśliwemu noża do gardła.

— Dobrze, porozumiemy się. Jeśli chcesz trzymać przeciwko mnie, to możesz odegrać, coś mi winien.

— Chętnie.

Aleksy rzucił swoją sztukę złota na stół; szczęście sprzyjało mu, wygrał raz po razie. Upojony powodzeniem, chciał odzyskać to, co stracił poprzedniego wieczoru i grał „Va banque.“ Ale nagle obróciło się szczęście i z okropną klątwą rzucił karty na stół.

— Ho! ho! to mi ładnie dołożyłeś! — zawołał grający. — Uregulujmy teraz rachunek. Sto dzisiaj, sto wczoraj, to czyni razem dwieście franków-

Aleksy był zgnębiony.

— Radzę ci zastawić handelek, huzarze! — szydził partner. — A pomyśl o tem, aby mi niedługo zapłacić; potrzebuję pieniędzy.

— Nie mam nic.

— To nie moja rzecz; winien mi jesteś dwieście franków, czy mam iść po nie do twych ciotek? Aleksy wyjął zegarek.

— Czy przyjmiesz to jako zastaw?

— On nie wart tyle.

— Z łańcuszkiem kosztował więcej.

— Być może, ale tego nikt dzisiaj nie da. Ale nie będę taki, wezmę go za sto franków, pozostajesz mi zatem winien jeszcze sto.

Gracze, to prawdziwe pijawki, które się nawzajem niszczą bez litości; żądza pieniędzy czyni ich nieczułymi, rabują swoje ofiary bez względu na

rozpacz rodziny, którą pogrążają nieraz w najstraszliwszej nędzy. Smutna to namiętność, w której głębi ginie wszelkie szlachetniejsze uczucie, honor i sumienie!

Aleksy wziął kepi i przechodząc obok swego wierzyciela, rzekł:

— Resztę dostaniesz jutro!

Opuścił tę spelunkę bez rady, gdyż zkąd miał wziąć tę sumę nazajutrz? Jak zwykle każdemu graczowi zdarza się w takich chwilach, przeklinał grę i przysięgał sobie, że nie weźmie już nigdy w życiu karty do ręki, jeżeli mu się uda tym razem wy dobyć z kłopotu. Znaną jest wartość podobnych przysiąg; z graczem dzieje się tak samo, jak z pijakiem: popada on zwykle na nowo w dawny swój nałóg.

— Hola! Aleksy, nie biegnij tak prędko, jestem bez tchu zupełnie! — wołał za nim krzykliwy głos jakiś.

— Rajmund?

— Tak, to ja, pójdziemy razem. Szczęście nie dopisało ci, biedaku, miałem już nadzieję, że tego korsarza spleciesz dziś należycie. Popadłeś w ręce nielitościwego wierzyciela. Przrzekłeś zapłacić jutro; zkąd weźmiesz pieniądze?

— Sam nie wiem, doprawdy. Udałbym się do samego szatana, gdyby mi chciał skarb wyszukać!

— Kiedy o nim mowa, to znam kogoś, który mu jest dość blizkim. Czy chcesz spróbować?

— Masz na myśli lichwiarza? gdzie mieszka?

— Zaprowadzę cię do niego.

Obydwaj towarzysze skierowali kroki ku dolnej części miasta i przeszli przez ładny most na rzece Ariège. Właśnie biła jedenasta na kościele św. Wespazjana. Jasny blask księżyca oblewał światłem resztki, jakie pozostały z warowni burgrabiego Foix, w postaci trzech wysokich, sztucznie utrzymanych wieżyc.

— Już późno, — zauważył Aleksy, — będzie już spał.

— Szatan nie sypia nigdy, — odparł jego przewodnik; — zresztą jesteśmy na miejscu.

Mówiąc te słowa, zatrzymał się przed starym domem i po trzykroć spuścił młotek na dębową, żelazem okutą bramę. Pięć minut upłynęło; niecierpliwy młodzieniec chciał właśnie powtórzyć pukanie, gdy w tem skrzypnęło okno na górnem piętrze i ukazała się przykryta szlafmycą łysina pożądanego właściciela.

— Temu rzemiosło patrzy z oczu, — szepnął półgłosem Aleksy, który w nadziei znalezienia pomocy odzyskał szybko wesołość.

Ciężkie kroki dały się słyszeć w sieni, potem odsunięto zasuwkę i otworzono bramę.

— Wejdźcie, dzieci! — odezwał się siwy człowieczek w ojcowskim tonie. — Ale, mój koхany Rajmundzie, nadużywasz trochę méj dobroduszości, przecież to nie pora przyprowadzać mi wizytę, jakkolwiek, jak ci wiadomo, mam wielką przyjaźń dla młodzieży.

— O tem wie całe miasto!

— Oddaję chętnie przysługę każdemu z czystej miłości bliźniego, gdyż przytem więcej tracę, aniżeli zyskuję.

Lichwiarz zaprowadził swoich gości do małej, niskiej izdebki, w której nie było innych sprzętów prócz biurka, prostego stołu i kilku krzeseł wyplatanych trzcina.

— Siadajcie, moi panowie! W czém mogę służyć? Panie Rajmundzie, czy może żądasz dzisiaj mego kredytu? ale w takim razie lepsze musisz mi dać poręczenie, niż ten skrawek ziemi..

— O to dziś nie chodzi — przerwał Rajmund staremu lichwiarzowi — już panu powiedziałem, że przyprowadzam przyjaciela.



— Przyjaciele przyjaciół są naszymi przyjaciółmi — zadeklamował lichwiarz — zacierając ręce i rzucając Rajmundowi pytające spojrzenie. Czego ten pan sobie życzy?

— Muszę mieć dwieście franków i to na jutro.

— Musisz pan mieć! Rozumiem. Tymczasem niech się panu nie zdaje, że przychodzisz tutaj na wojskową rekwizycją, jak sędzę. Zajmujący młodzieniec — musi mieć zaraz 200 franków!

— Możesz mi pan dać te pieniądze? — zapytał Aleksy — którego krew zaczęła się burzyć.

— Dać panu? Nie! Chyba tylko pożyczyć!

— No tak, to mam właśnie na myśli.

— Posiadam tę sumę do pańskiego rozporządzenia.

— Ach, dziękuję panu!

— Nie dziękuj jeszcze, młody panie! Najprzód musimy się przekonać, jaką pewnością pan mi dajesz.

— Nasamprzód moje słowo!

— Moneta bez kursu!

— Mój panie, obrażasz mię!

— Bynajmniej; interes interesem, czułośćko-wość tu nie na miejscu.

— Wystawię panu kwit na tę sumę.

— To się rozumie; ale jakie poręczenie dajesz mi pan, że będziesz go mógł kiedykolwiek wykupić? Czy pan posiadasz kawał gruntu, dom, lub jaką własność?

— Nie.

— Czy nie przypadnie jaka scheda po rodzicach?

— Jestem sierotą, ale odziedziczę po dwóch starych ciotkach, które tutaj we Foix mają handel.

— Ich nazwisko?

— Pani Very i panna Boyer.

— Nie są bardzo majątne. Wprawdzie dom

jest ich własnością, ale nie wart wiele, oprócz tego kilka państwowych listów zastawnych, oto wszystko!

— Zawsze znacznie więcej, aniżeli potrzeba na zapłacenie pana — wybuchnął Aleksy z gniewem.

— W jakim stopniu pokrewieństwa stoisz pan do tych pań?

— Jestem ich siostrzeńcem.

— Synem brata albo siostry?

— Synem kuzynki.

— Tylko kuzynki? — powtórzył żyd przeciągle. — To zmienia postać rzeczy. Masz pan współzawodników?

— Nie; ciotki zostawiają wszystko mnie samemu.

— Hm, hm, to nigdy nie jest pewne. Czy testament już zrobiony?

— Tak!

— Możesz mi pan pokazać odpis?

— To jest, będzie zrobiony za miesiąc, skoro tylko się ożenię.

— W takim razie przyjdź pan do mnie za miesiąc.

— Ale ja potrzebuję tych pieniędzy jutro.

— To żądaj ich pan od swych ciotek.

— To niemożliwe.

— Nie mogę nic dla pana uczynić; ten rodzaj spadków nigdy nie jest pewny. Dopiero niedawno straciłem 10,000 franków w podobnym przypadku. Pewien młodzieniec pożyczył odemnie tę sumę na dziedzictwo swęj ciotki, ale po zciwa kobieta dowiedziała się o sprawkach siostrzeńca i kiedy umarła, pokazało się, że nie dostał ani fenyga; wszystko zapisała na biednych. Już teraz nie ufam więcej starym damom.

Rajmund starał się przekonać lichwiarza, że przyjacielowi jego może pożyczyć tę drobną sumkę bez poręczenia.

— To tylko drobnostka dla pana! — rzekł.

— Mylisz się, mój drogi! Dwieście franków to ogromna suma, nie jestem bogatym człowiekiem, mam wprawdzie jakiś kapitałik, którym przysługuje się temu lub owemu, ale nie mogę się przecież rujnować.

— Stary łotr! — mruknął Rajmund sam do siebie.

Stary wziął lampę i otworzył drzwi z niedwuznacznym ruchem ręki.

— Żałuję bardzo, kochany panie, ale jeśli mi przyniesiesz poręczenie, służę każdego czasu. Czy chodzi o dług przy kartach?

— Tak jest.

— Jeden powód dla mnie więcej, aby być ostrożnym. Ach ta młodzież tak często nierozsądna!

— Zachowaj żydzie kazanie dla siebie! — mruknął Aleksy i biorąc przyjaciela swego pod ramię, opuścił dom wraz z nim.

— Nic mi się dziś nie wiedzie, — odezwał się ponuro; — najlepiej byłoby rzucić się do rzeki.

— Jesteś szalony! Dla kilku nędznych sztuk złota odbierać sobie życie! Idź spać spokojnie! Nieraz rada przychodzi we śnie.

— Zkądby przyjść mogła? Cobyś ty robił w mojem położeniu?

— Najlepiej byłoby szczerze wyznać wszystko ciotkom.

— Już im kilka razy przyrzekałem nie wziąć karty do ręki, zresztą kategorycznie nie zapłaciłyby długów karcianych. Wszystko, cobym przez to uczynił, byłoby to, że wydziedziczyłyby mię.

— To już nie wiem innéj drogi. Ale oto jestem przed domem. Dobra noc ci, Aleksy, jutro pomówimy o tém więcej.

Rajmund zniknął za drzwiami domu, które się za nim zamknęły i Aleksy został sam na ulicy. Zamysłony poszedł drogą do swéj kwatery.

## VI.

### *Pierwsza zbrodnia.*

Aleksy nie myślał wcale o spaniu téj nocy.

— Jeszcze jedno szczęśliwe pociągnięcie, a byłbym uratowany, — mruknął. — Nieszczęście czepia się nóg moich. Przyrzekłem temu człowiekowi, że mu jutro zapłacę... Co robić?... Moje ciotki są ucsobionem skapstwem; nie podobna wydobyć z nich téj sumy. A jednak muszą ją mieć. Nie mogę łamać słowa i okazać się niewypłacalnym, aby mnie wszyscy unikali; lepiej wpakuję sobie kule... Umrzeć! Jestem młody i mógłbym być tak szczęśliwy! Marta kocha mię albo przynajmniej nauczy się kochać mnie; ona taka dobra, piękna i łagodna!... Mam się wyrzec jéj, mam odępchnąć od siebie tę czarę z słodkim nektarem?... Nie, nie chcę jeszcze umrzeć!

Gniewnie zamknął okno, zapalił światło i usiadł na krześle. Szatańska myśl przyszła mu do głowy; nie stłumione jeszcze sumienie walczyło przeciw niéj, odpędzało ją, nie mogło jednak przeszkodzić temu, aby myśl ta nie powracała uporeczywie.

Pierwsze promienie wschodzącego słońca oświeciły widnokrąg i na ulicy obudziło się życie. Aleksy zerwał się z miejsca z włosami w nieładzie, z oczami pałającymi gorączką.

— Która to godzina? — szepnął. — Ach! prawda, nie mam już zegarka! A to jeszcze nie wszystko, nędznik chce dzisiaj mieć pieniądze!...

W największym pośpiechu uporządkował ubranie i wyszedł z domu. Błąkawszy się przez pewien czas niepewno, stanął przed domem swych ciotek. Obie kobiety były w handlu i zdawały się mieć ręce pełne roboty. Szybko orientując się w położeniu, poszedł Aleksy bocznemi drzwiami, przebiegł kory-

tarz, wszedł na pierwsze piętro i znalazł pokój sypialny ciotek otwarty. Ośmielony tem pierwszym powodzeniem, przystąpił do biurka, otworzył je za pomocą wytrycha i oto szkatułka stała jeszcze na tem samym miejscu, co poprzedniego wieczoru. Zawahał się przez chwilę, lepsze uczucie zbudziło się w nim, ale ta walka trwała krótko; nagłym ruchem wziął rulon złota, zawierający wedle napisu pięćset franków, i schował go do kieszeni. Miał więc, aniżeli potrzebował. Czy miał zostawić dwa banknoty po pięćset franków? To było niebezpiecznie, gdyż ciotki powinny były myśleć — nie podejrzewając wcale jego, — że pospolity złodziej złożył im wizytę, a ten z pewnością nie pozostawiłby banknotów. Wziął je zatem także, gardząc kosztownościami. Zniknął tak, jak przyszedł.

W dwie godziny później, kiedy okradzione kobiety miały chwilę wolną, udały się na górę i młodsza z sióstr chciała zamknąć pieniądze, które wpłynęły. Gdy się zbliżyła do biurka, wydała okrzyk.

— Co ci jest? — zapytała pani Very, nadbiegając.

— Patrz Klaro, włamano się do naszego biurka. Starsza zajrzała do wnętrza; istotnie pieniędzy nie było, pozostawiono tylko kosztowności.

Okrzyk obydwóch sióstr sprowadził sąsiadów, lokatorowie zbiegli się, przechodnie zatrzymywali się.

— Okradziono nas. Złodziej jakiś wszedł do nas, kiedy byliśmy na dole.

— Trzeba zaraz zameldować na policji! — zauważyła jedna z sąsiadek.

— Z pewnością, zaraz też idę. Mój Boże, jak mogą istnieć tacy ludzie — jęczała starsza.

Wiadomość rozeszła się niebawem z szybkością błyskawicy.

— Czy nie widzieliście tu nikogo wchodzącego? — pytała panna Alica swych lokatorów.

— Nie — brzmiała odpowiedź.

— Ja — odezwała się służąca z drugiego piętra — piórę od rana blisko bramy i mogę zapewnić, że oprócz huzara nikt nie wszedł do domu.

Obiedwie kobiety zbladły.

— Nasz siostrzeniec? To niepodobna, byłby przecież wstąpił do składu, aby nam powiedzieć „dzień dobry“.

— Zdawał się bardzo spieszyć, gdy odchodził.

Podejrzenie zbudziło się w obydwóch siostrach. Natarczywość siostrzenca, z jaką nalegał o oddanie mu téj sumy, fakt, że wziął tylko pieniądze a nie klejnociki, wszystko to wyjaśniło im się od razu. Sąsiedzi również zaczęli podejrzewać. Alina pierwsza pojęła niebezpieczeństwo położenia; poszła do sąsiedniego pokoju, otworzyła kilka sprzętów i powróciła pozornie ucieszona.

— Co za pomyłka, moi kochani, proste zapomnienie! Włożyłam pieniądze do komody, zamiast na zwykłe miejsce. Zresztą złodziej nie byłby zostawił kosztowności.

Ten argument zdawał się przekonywać sąsiadów, a przynajmniej nie zdradzili niedowierzania i tak zakończyła się pozornie cała sprawa. Ale kiedy obie siostry znalazły się same, wybuchnęły płaczem, mówiąc:

— Nieszczęsny, podszedł nas tak niegodnie; na podziękowanie za naszą dobroć okrada nas.

— Trzeba go sprowadzić, aby się wytłomaczył.

— Będzie dość bezczelnym, aby wszystkiemu zaprzeczyć.

W istocie Aleksy zaparł się stanowczo wszystkiego i okazał wielkie oburzenie z powodu tak strasznego podejrzenia. Gdyby był przyznał się

do czynu, i zwrócił pieniądze, które nie były potrzebne na zapłacenie długu, byłyby mu pocziwe kobiety z pewnością raz jeszcze przebaczyły. W ten sposób jednakże stracił u nich wszelką łaskę. W dwa dni później wiedziały, że zapłacił znaczny dług karciany i że wiele wydał pieniędzy. Oświadczyły mu zatem, że odtąd drzwi ich domu na zawsze są dla niego zamknięte i wydziedziczyły go zupełnie.

Kiedy w dwa miesiące potem wyszedł ze służby wojskowej, znalazł się bez stanowiska i wszelkich środków do życia. Ponieważ nie wiedział, dokąd się udać, poszedł do Merens do wuja Hieronima, który krótko przedtem stracił jedyne go syna. Staremu wujowi umiał tak się przypodobać, że tenże zaproponował mu, aby u niego pozostał i doglądał mu gospodarstwa, za co go on obiecał potem zrobić swym spadkobiercą. Młody niepoon powiedział sobie, że właściwie zrobił jeszcze dobry interes, okradając ciotki, gdyż inaczej nie byłby nigdy otrzymał bogatego spadku po wuju. Oprócz tego mieszkając w Merens, znajdował się bliżej Marty; widział się z nią zaraz w pierwszych dniach, lecz ona oświadczyła, iż za mąż nie wyjdzie.

— Będę cierpliwie czekał i znajdę sposobność widywania cię częściej; gdy mię bliżej poznasz, nie odmówisz mi, odpowiedział jój na to.

Przy tem pozostało chwilowo. Piotr pomimo oporu matki rozpoczął swą doroczną wędrówkę. Aleksy skorzystał z téj sposobności, aby odwiedzać Martę częściej, co mu tem łatwiej przychodziło, że stara Magdalena widywała go chętnie w nadziei, że jój córka przybrana wreszcie zdecyduje się wyjść za niego. Dość często robiła do tego aluzye a biedna Marta cierpiała bardzo w skutek tego. Byłaby chętnie poszukała sobie służby, lecz Piotr nic o tem nie chciał wiedzieć. Nie pozostawało jój nic innego, jak wyjść za mąż i zdawało jój się, że w takim ra-

zie Aleksego woli od innych w okolicy. Ci inni zresztą nie troszczyli się o nią wcale. Tylko przeszłe życie huzara przerażało ją jeszcze, lecz po wyjściu z pułku zdawał się zmieniony, pracował pilnie, nie upijał się i wuj był z niego zadowolony. Niechęć Marty niknęła coraz bardziej. Obchodziła się z Aleksym grzeczniej, tak iż on nie wątpił o ostatecznem powodzeniu swych zabiegów. Stary wuj również pragnął tego małżeństwa i wzdychał do dnia, w którym ładne, młode dziewczę, jako jego córka przybrana, wniesie do cichego domu nowe, wesołe życie.

Zima minęła. Wbrew swemu zwyczajowi Piotr nie wrócił do domu, lecz napisał, że powróci dopiero około połowy lata. Wiadomość ta więcj jeszcze irytowała matkę; bezustannie skarżyła się na nędzę i na niewdzięczność dzieci. Marta znosiła te wymówki w milczeniu, ale jój blade rysy, zapłakane oczy zdradzały, że się martwiła. Pewnego dnia, kiedy właśnie powróciła do chaty, słyszała jak matka rozmawiała z sąsiadką.

— Nie, Joanno, nie zawsze bywają dobre uczynki wynagradzane. Dowodem tego, że Marta, która nam tyle zawdzięcza, nie może pojąć, iż ona jedynie jest przyczyną naszj niedoli.

— Nie wyrządzajcie jój krzywdy, sąsiadko — odpowiedziała jój druga — Marta was pielęgnuje jak córka, a zresztą to nie jój wina, że Piotr nie chce ożenić się z Sydonią.

— Mój syn powiedział mi, że nie ożeni się prędzej, dopóki nie zapewni przyszłości Marcie. Niechże wyjdzie za Aleksego, Piotr wtenczas wróci, ożeni się z Sydonią i wszystkim nam będzie lepiej. Widzicie, czy to nie jój wina? Mam jednak nadzieję, że ostatecznie ona to sama zrozumie, jeżeli bowiem odmówi Aleksemu, nie zatrzymam jój dłużej u siebie.



— Ten upór, z jakim oboje odrzucają małżeństwo z kim innym, budzi we mnie podejrzenie, że za tém tkwi jakaś miłość.

— Gdyby tak było istotnie — zawołała matka Piotra — przeklełabym dzień, w którym syn mój pod dach mój przyprowadził tę małą żebraczkę! Ale nie, to nie prawda, Marta jest poczciwą dziewczyną; ona wie, że Piotr jest zbyt biedny, aby się z nią ożenić. I on także o tém nie myśli; oświadczył mi, że kocha Martę, jak siostrę, ale że nie odpowiada mu wcale na żonę; uważa, że Sydonia jest wiele ładniejsza i doskonalsza, i ożeniłby się z nią, skoroby Martę powierzył w dobre ręce.

Młode dziewczę, oparte o ścianę na zewnątrz słuchało, tamując oddech, tych słów okrutnych, które jak sztylet godziły w jęj serce. A więc to było prawdą, że Piotr jęj nie kocha i gniewa się nawet na nią, że opóźnia jego szczęście! A jednak myślała, że żywi dla nięj głębsze uczucie, kiedy naza-jutrz po *fenestrze* powiedział do nięj:

— Nie wyjdiesz za Aleksego, bo i ja nie ożenię się z Sydonią.

A więc to była tylko ofiara z jego strony. O! jakże była zaslepiona, kiedy sądziła, iż widzi jakąś zmianę w jego postępowaniu. Miłość braterska jedynie wzruszała go, kiedy na pożegnanie ucałował ją z niezwykłą czułością!...

Biedna Marta! Młode serce biło jęj silnie w łonie, a łzy płynęły z oczu; pobiegła na małą łączkę, gdzie nieraz myślała o Piotrze; tam u stóp drzewa usiadła i płakała długo. Kiedy wróciła do chaty, było już późno. Matka nie widziała rysów boleśnie ściągniętych i robiła jęj wyrzuty, że zaniedbuje pracę.

— Nie gniewajcie się, matko, na mnie — odpowiedziała drżącym głosem: — spóźniłam się trochę, ale powzięłam postanowienie, które może was

i Piotra uczyni szczęśliwymi. Jeśli się Aleksy będzie chciał ze mną żenić, to go przyjmę.

— Ach! moja córko, sprawiasz mi wielką radość! Aleksy kocha cię więcej, niż kiedykolwiek; jeszcze wczoraj mnie prosił, abym przemówiła za nim słówko, również wuj Hieronim. Stary jest poczciwym człowiekiem i posiada majątek. Będzie ci dobrze i zostaniesz blisko nas. Piotr także nie będzie potrzebował pracować tak ciężko. O! jak będziemy wszyscy szczęśliwi.

W swój wielkiej radości rzuciła się staruszka Marcie na szyję, gdy tymczasem ta ostatnia wybuchnęła płaczem.

— Szczęście pobudza nas nieraz do łez — rzekła matka Magdalena, ocierając oczy — pojmuję zupełnie dobrze twoje wzruszenie, moje dziecko. Dziś wieczorem przyjdzie Aleksy, jutro napiszesz do Piotra.

Dawniejszy huzar otrzymał jeszcze tego samego wieczoru przyrzeczenie Marty. Był podwójnie uszczęśliwiony, gdyż nie spodziewał się tak szybkiej decyzji.

Dziewczę płakało ukradkiem; ciężką poniosła ona ofiarę.

Nazajutrz napisała w imieniu matki do Piotra krótki list, w którym ta ostatnia doniosła synowi o blizkiem małżeństwie Marty i prosiła go, aby przyspieszył powrót, ponieważ nie chciała bez niego obchodzić wesela. W kilka dni później przyniósł posłaniec bilet, na którym stały tylko te słowa: „Za tydzień powracam.“

## VII.

### *Powódź.*

Była szósta godzina wieczorem; drobny, przenikliwy deszcz padał od kilku dni, widnokrąg ginął

wśród mgły, góry przedstawiały niewesoły widok, noc zapadała przed czasem, wodospady szumiały w przepaściach, potok górski, wezbrany mocno w skutek deszczu i topniejącego śniegu, toczył z hałasem szumiące swe fale ku dolinie.

Wędrowiec jakiś opuścił właśnie Ax i szedł drogą ku hiszpańskiej granicy. Niebawem wstąpił w dolinę Merens z smutnie spuszczoną głową i kroczył zamyślony w stronę rodzinnej chaty. Jest to Piotr, który z śmiercią w duszy powraca, aby być obecnym na obrzędzie, który niszczy wszystkie jego nadzieje. Czy podobna, aby Marta istotnie miała przywiązanie do huzara? Czy miał prawo oprzeć się temu tak dla niej korzystnemu związkowi, nie mogąc jej ofiarować nic, krom miłości i — ubóstwa? A czy mógł gniewać matkę swoją dokonaniem takiego kroku? Nie, był skazany na nieszczęście!

Serce biednego Piotra było smutne, jak przyroda otaczająca go, ponure, jak zaćmiony mgłą horyzont, wzburzone, jak potok górski, tuż obok niego; łzy płynęły mu z oczu i szedł naprzód, nie troszcząc się o deszcz, który przenikał jego ubranie.

Kilka osób minęło go na drodze, zaledwie odpowiedział na ich pozdrowienie.

— Zie powietrze, chłopcze — zagadnął go starzec jakiś — najlepiej siedzieć za piecem.

— Tak, przechadzka to nie zbyt przyjemna.

— Czy idziesz do Merens?

— Jeszcze dalej.

— W takim razie spiesz się, noc nadchodzi szybko, a uważaj dobrze, powiedziano mi bowiem, że tam wezbrał potok, może droga znajduje się pod wodą...

Piotr zbladł. Powódź, to groźny wyraz, postrach wszystkich, którzy osiedli u stóp góry, w pobliżu rzek potoków.

— Czy Ariège wystąpiła z swego łożyska? — zapytał Piotr, zatrzymując się.

— Tak słyszałem; podobno zerwała już kilka mostów.

Młodzieniec nie słuchał już dalej, tylko zaczął biegnąć z wszystkich sił. Przy wejściu do Merens spotkał kilka gromadek, które uciekały w stronę Ax; jedni pędzili trzody przed sobą, inni prowadzili starców, lub nieśli dzieci; wszyscy zabierali, co zdołali wyrwać żywiołom.

— Dokąd? — zawołał do nich Piotr.

— Uciekamy przed wodą; napływa ze wszystkich stron. Wróć się, młodzieńcze, drogi są niedostępne, niebezpieczeństwo grozi wielkie.

— Wszystko mi jedno, tam jest matka i siostra!

Chata Piotra stała na równej wysokości z potokiem; z pewnością fale już ją dosięgnęły, z każdą minutą wzrastało niebezpieczeństwo. Z powodu ciemności, Piotr zaledwie rozpoznawał drogę. Niebawem nie mógł już iść nią dalej i musiał pójść górską ścieżką, wiodącą ku dolinie, w której mieszkali wszyscy mu drodzy. Wieszcz blady z obawy, przyszedł na miejsce; chata stała jeszcze, lecz fala już podmywała mury. Młodzieniec podniósł ręce błagalnie ku niebu, modląc się gorąco o pomoc Tego, który sam tylko ma władzę uspokoić wzburzone fale. Biorąc we wodzie, dostał się do drzwi, na których progu stała matka i siostra, wyciągając do niego dłonie z rozdzierającym krzykiem.

— Matko, siostro, jestem! Odwagi.

Był przy nich, lecz woda wzrastała, już droga, którą przyszedł, była zalana.

— Chodźcie prędko, — zawołał, — uciekajmy!

— To niepodobna, — odpowiedziała matka, — wejdziemy na dach.

— Chata nie dość jest mocna, matko!

Istotnie woda rozmoczyła mury i slychać już było złowrogie trzeszczenie.

— Co robić, mój Boże! — lamentował Piotr — nie mogę was obydwóch ratować równocześnie.

— Piotrze! — zawołała Marta, — nie myśl o mnie, ratuj matkę.

— Marto, — odparł Piotr głuchym głosem, — może umrzesz, a Aleksego tu nie ma! — Cicho zaś dodał: — O! ileż ja ciebie więcej kocham od niego!

Nawet w tej chwili, kiedy śmierć czyhała na nich ze wszech stron, napełniły te słowa Martę niewypowiedzianą radością. Cóż jej szkodziło, choćby fale ją pochłoneły? Przecież zabierałaby ze sobą przekonanie o miłości Piotra, przyjaciela i opiekuna swjej młodości, któremu oddała wszystkie uczucia swego serca.

Mury chaty runęły z trzaskiem, krowa i kozy uciekły na wzgórza.

— Spiesz się Piotrze, dopóki ratunek jest możliwy, — nalegała Marta.

— Nie pójdę bez Marty, — broniła się matka, której serce wzruszyło wreszcie poświęcenie przybranjej córki.

— Powrócę, matko, nie traćmy czasu. Marto oczekuj mię niedługo, — dodał Piotr, umieściwszy ukochaną na skale, gdzie jeszcze przez pewien czas była bezpieczną.

— Żegnam cię, Piotrze! — odpowiedziała. Głos jej zniknął wśród głośniego łkania.

Ponury szum wzburzonej fali tworzył złowrogie echo do ostatnich słów Marty i napełnił serce Piotra śmiertelną obawą. Zbierając wszystkie siły, brodził z na wpół omdlałą matką na rękę przez strumień, podczas kiedy Marta, spoglądając na groźne nurty, szeptała:

— Boże, strzeż ich, a ze mną niech się stanie wola Twoja!

Po półgodzinnéj walce udało się Piotrowi stanąć u wrót wysoko położonej chaty. Tam znajdowało się już kilku powodzian.

Starą kobietę posadzono przy ogniu a Piotr pospieszył odbyć raz jeszcze niebezpieczną drogę.

— Dokąd to Piotrze? — pytano go — nie schodź teraz do doliny, nie przejdiesz już. Bóg sam tylko może dopomódz tym, którzy nie zdołali uciec w porę.

— Słyszysz synu? — nie chodź, narazisz się nadaremnie na niebezpieczeństwo — prosiła matka.

— A Marta, matko?

— Biedne dziecko! Niech ją Bóg strzeże! Piotrze, mój synu....

Piotr nie słyszał już tego. Zwinny jak kozica, zbiegł po ścieżce. Ale jakże rozpoznać drogę wśród ciemności? A jednak coś go parło naprzód. Chciał ocalić Martę, lub téż umrzeć z nią razem. Już przybył na wysokość swéj chaty, odkrył drzewa, między któremi stała i skałę, przy której zostawił Martę; nie widział jej, lecz wiedział, że go tam oczekiwała i nadzieja pomagała mu do pokonania znużenia.

Wtém okropny łoskot zagłuszył szum żywiołów. Młodzieniec ogłuszony, odepchnięty, miał właśnie czas uchwycić się drzewa i w ten sposób uniknąć fali, które spadały z góry. Kilka chwil minęło, zanim pojął, co się stało. W końcu rozpoznał rozpaczliwe położenie swoje. Inny potok górski zerwał brzegi i rzucił się nagle w dolinę, zabierając wszystko ze sobą.

Piotr wydał okrzyk przerażenia. Ostatnie szczątki chaty zabrała woda a nad skałą, na której zostawił Martę, pienił się huczący potok. Bledszemu od widma Piotrowi zdawało się, że widzi, jak prąd porывał białą jakąś postać — może to była nieszczęśliwa Marta! Niepodobna było tam się utrzymać lub szukać Marty; Piotr podpiłynął ku jednéj ze skał,

aby zaczerpnąć oddechu. Lecz siły jego były wyczerpane, potrzebował czasu, aby przyjść do zupełnej przytomności. Wreszcie otrząsnął się z tego osłabienia.

— Marta może nie zabita! — powiedział sobie, może ją fala żywą jeszcze wyrzuciła na wyżej położone miejsce.

Kiedy pierwsza gwałtowność prądu minęła, wody przybrały bieg spokojniejszy i Piotr, który znał okolicę dokładnie, zebrał wszystkie siły, aby ukochaną może jeszcze odszukać. Przez dwie godziny szedł przy wątpliwém świetle księżyca, wyglądającego z po za chmur, wzdłuż rzeki, lecz nie znalazł ani śladu Marty.

Kiedy ukazały się pierwsze promienie nowego dnia, powrócił Piotr do matki, zasmucony do głębi duszy, że chociaż umrzeć nie mógł razem z ukochaną. Matka również bolała nad losem dziewczęcia, które się poświęciło dla niéj. Marta zresztą nie była jedyną ofiarą owéj straszliwéj nocy; całe rodziny spotkał ten sam los i liczne trupy, wyrzuczone na oba brzegi rzeki, świadczyły o srogości żywiołu. Marty atoli pomimo pilnego szukania znaleźć nie było można.

Przed południem Piotr dowiadywał się wszędzie o nią, poszedł także w stronę Merens, gdy w tém spotkał Aleksego. Dawniejszy huzar był blady i wydawał się wystraszony. Nie myśląc o nieprzyjaźni między nimi, podszedł ku Piotrowi i zapytał go szybko.

— Co się stało z Martą?

Piotr doznał uczucia zazdrości i gniewu na widok współzawodnika i na myśl, iż tenże swoją narzeczoną mógł opuścić w takiéj chwili.

— Marta utonęła, — odparł szorstko — ja nie mogłem jéj ratować, a jéj narzeczony myślał jedynie o własném bezpieczeństwie.

Aleksy zdawał się nie odczuwać tego wyrzutu; twarz jego zdradzała tylko wewnętrzną boleść, jaką mu sprawiła ta wieść żałobna.

— Umarła! O, ja nie przeżyję jęj długo!

W obec tego szczerego smutku złagodniał gniew Piotra.

Przedmiot ich zazdrości nie istniał już i obydwaj łączyli się w jednęj bolesnëj stracie.

— Gdzie byłeś wczoraj, Aleksy?

— W Tarascon. Kiedy się dowiedziałem o powodzi, udałem się natychmiast w drogę; wieczorem byłem w Ax, miasto było pod wodą, drogi nie do przebycia; próbowałem przepłynąć łodzią, ale niemożliwą było rzeczą płynąć przeciw prądowi. Okropny przestrah miotał mną przez noc całą. Skoro tylko przywrócono połączenie, pobiegłem dziś rano do waszëj chaty, lecz znalazłem tylko szczątki. Miałem nadzieję, że matka twoja i Marta ocaliły się; czy jesteś pewny, że ona nie żyje? Ja temu nie wierzę, przeszukałem wszystkie domy w okolicy; ciała jęj dotąd nie znaleziono, a zatém można mieć nadzieję. Chodźmy Piotrze.

Ten ostatni także odzyskał nadzieję w obec pewności swego towarzysza: rozpoczęli poszukiwania wspólnie, ale nikt nie umiał im nic powiedzieć. Właśnie wracali do Merens, kiedy kobieta jakaś przystąpiła do Aleksego, dowiadując się o jego wuja.

— O, ten dość szczęśliwie wydobył się z całej tęj historyi. Ale nie słyszeliście przypadkiem o Marcie, siostrze Piotra? Zniknęła i szukamy jęj od rana.

— Owszem, słyszałam o nięj.

— Żyje! — zawołali obydwaj młodzieńcy równocześnie.

— Tak, żyje, młynarz ją wydobył z wody.

— Gdzie się znajduje?

— Naturalnie u młynarza; jest chora.



Daléj nie słuchali ani Piotr, ani Aleksy, pobiegli natychmiast do młyna.

— Ach, Piotrze! Jesteś ocalony i matka także! Bogu niech będą dzięki; tak się o was kłopotalam! — Temi słowy przyjęła Marta brata.

— Marto, powróciłem znowu na miejsce, gdzie cię zostawiłem, całą noc cię szukałem; gdybyś wiedziała, ile przecierpiałem! Czy mnie nie obwiniałaś?

— Nie, Piotrze, nie mogłam wątpić o tobie!

— A ja, Marto, — wtrącił Aleksy — czy nie masz ani słówka dla swego narzeczonego?

Dziewczę drgnęło mimo woli. Trupia bladość pokryła jéj rysy, z wymuszonym uśmiechem podała mu rękę. Przypomniawszy sobie następnie nieprzyjaźń między obydwoma, rzekła:

— Proszę was, zgadzajcie się znowu; nie będę szczęśliwą, dopóki nie będę wiedziała, że macie do siebie żal nawzajem.

Były huzar podał Piotrowi rękę:

— Niebawem zostaniemy braćmi, bądźmy tymczasem przyjaciółmi; nie myślę już wcale o dawnéj waśni.

— Nigdy nie knulem przeciw tobie nic złego — odparł Piotr — dotykając zaledwie ręki swego współzawodnika.

Piotr chętnie przebaczał doznaną krzywdę, lecz widział w Aleksym narzeczonego Marty i powiedział sobie z gorzkim bólem, że odzyskał ją na to tylko, aby ją utracić na nowo.

W trosce o Martę Piotr zapominał całkiem o Sydonii. Dopiero nazajutrz, skłoniony prośbami matki, poszedł do niéj. Znalazł ich gospodarstwo nieco zniszczone, lecz cała rodzina ocalała. Sydonia przyjęła go bardzo oziębło, rozgniewana, iż tak w obec niéj postępował obojętnie i w kilka dni późniéj rozeszła się pogłoska, że wychodzi za bo-

gatego wieśniaka, który od dawna już starał się o jój względy. Piotr nie zdawał się wcale zasmucony, kiedy mu przyniesiono tę wiadomość, przeciwnie wieszował uszczęśliwionemu narzeczonemu Sydonii z całego serca, nie troszcząc się o gadanie ludzi, którzy mówili, iż był niemądry i że nie tak łatwo znajdzie sposobność do zawarcia równie korzystnego związku.

## VIII.

### *Przygoda.*

Wody ustąpiły, wiosenne słońce świeciło jasno i udzielało przyrodzie nowego życia. Jak zwykle po powoazi, odbudowywali dotknięci tą plagą znowu swoje domy w nadziei, że podobne nieszczęście nie spotka ich znowu. Piotr stracił wszystko: dom, sprzęty, ubranie, krowę, tylko zręczniejszym kozom udało się uciec na wyżyny. Na szczęście młodzieniec na wędrownie zarobił ładną sumę pieniędzy, tak iż mógł zakupić, co najpotrzebniejsze. Ale te wydatki, jako téż długotrwała choroba Marty, pochłonięły wszystkie środki i blade widmo nędzy zapukało do drzwi chaty. W świat iść nie chciał, dopóki Marta była w niebezpieństwie a w okolicy napróżno szukał zarobku. Matka zarzucała go wymówkami, nie mogła pojąć, że popsuł sobie partyą, któraby jój była zapewniła spokojną starość i gniewała się na Martę która, jój zdaniem, jedynie temu wszystkiemu była winna. Chciała chorą przenieść do szpitala w Ax, ale Piotr zaprotestował z całych sił przeciwko temu.

— Nigdy, matko, na to nie pozwolę — zawołał. — To pewna, że tam miałyby Marta lepszą opiekę, ale umarłyby ze zmartwienia, że ją opuściliśmy. A ona nie ma umierać, nie, nie chcę jój stracić — dodał młodzieniec płaczącym głosem —

ma żyć dla mnie, gdyż bez niéj nie ma dla mnie szczęścia!

— Od dawna się lękałam, że to przyjdzie — odpowiedziała matka zrozpaczona. — Przeklętym niech będzie dzień, w którym dziecko wstąpiło pod nasz dach.

— Nie mów tak, matko, nie bądź okrutną dla twoich dzieci. Ze względu na ciebie chciałem poświęcić miłość moją dla Marty, lecz Bóg nie dopuścił tego. Poddaj się temu, będziemy oboje starali się o to, abyś nie miała, matko, powodu do użalania się.

— Ależ Marta jest zaręczona z Aleksym, — zauważyła matka.

— Marta poświęciła się w milczeniu, ale ona nie kocha tego człowieka i tylko ze mną może być szczęśliwą. To małżeństwo zostało postanowione w mojej nieobecności, sprzeciwiałem mu się zawsze i nie myślę już więcej oddawać Marty na pastwę własnemu jéj losowi. Z tym Boyerem pokwituję się jeszcze, wiem ja o nim więcej, aniżeli on to przeczuwa.

— Czyń, co uważasz za dobre, — przerwała mu matka z goryczą — jesteś jeszcze młody i masz długie życie przed sobą, o mnie, starą kobietę, nie potrzebujesz się wcale troszczyć.

— Matko, nie gniewaj się, będziemy cię otaczali opieką i miłością, tak, że zaniechasz swych myśli o bogactwie. Przekładam szczęście nad bogactwo.

— Ale, jeśli można mieć jedno i drugie?...

— Nie wierzę w tak doskonałe szczęście; Opatrzność oddziela każdemu cząstkę, tém się trzeba zadowolnić i nie pragnąć więcej.

Matka Magdalena nie dzieliła zapatrywania swego syna, wstrząsnęła smutnie głową i odeszła, aby przerwać przykrą rozmowę.

Dzień za dniem mijał. Dopóki Piotr posiadał jeszcze trochę pieniędzy, chronił Martę od wszelkiego niedostatku, lecz blizkim był dzień, w którym miał wydać ostatni grosz. Aleksy ofiarował Piotrowi dość znaczną sumę na pielęgnowanie narzeczonej, lecz Piotr odrzucił propozycyę, ponieważ nie chciał, aby Marta zaciągała dług u tego człowieka.

Kiedy chora czuła się nieco lepiej, Piotr łagodnie wymawiał jej, że bez jego rady uczyniła tak ważne postanowienie co do swego losu. Zawiadomił ją o tem, co słyszał we Foix o Aleksym i jego życiu, o jego namyślności do kart i o tem, że okradł swoje ciotki.

— Nie wiedziałam nic o tem wszystkim. Aleksy mówił mi, że ciotki wydziedziczyły go z mego powodu.

— Oszukał cię, tak jak oszukuje cały świat. Marta patrzyła, milcząc, przed siebie.

— Nie mogę iść za Aleksę, nie miałam w ogóle dla niego żadnej skłonności, lecz cóż się ze mną stanie?

— Jakże możesz się jeszcze pytać, Marto? Czyż nie czujesz, że twoje miejsce jest obok mnie? Nasze życie było dotąd zbyt ściśle zespolone, abyśmy się teraz mogli rozłączać. Bez ciebie nie miałbym radości i żadnej na świecie a ty, Marto, mogłaś być szczęśliwą z kim innym?

— Ale pomyśl o naszym ubóstwie i o twojej matce. Nie mogę zostać twoją żoną, gdyż całym moim posagiem jest ubóstwo i nędza. Mógłbyś kiedyś pożałować, że się dałeś porwać dobremu sercu swemu.

— Nigdy w życiu! Cóż mi pomoże bogactwo bez ciebie? Twoja miłość będzie droższą, aniżeli wszelkie skarby; będę pracował dla siebie i matki, a Bóg nam dopomoże dalej. Moja matka zresztą już się nie opiera naszemu małżeństwu, staraj się

zatem wyzdrowieć jak najprędzej i spoglądaj w przeszłość z ufnością.

Można sobie wyobrazić, że Aleksy nie pozwolił się tak łatwo odprawić. Używał prośb, zaklęć i groźby nawet, aby złamać wolę dziewczęcia. Ale Marta okazała się niewzruszoną. Były huzar kochał dziewczę szczerze; miłość ta byłaby może naprowadziła go na dobrą drogę, kiedy jednakże widział się wzgardzonym, obudziły się w nim wszystkie złe namiętności na nowo.

— Marto — powiedział odchodząc — dałaś mi słowo, teraz mi je odbierasz dla Piotra. Przebaczyłem mu, nadużywa mój wspaniałomyślności. Ale go znajdę, poprzysięgam mu nienawiść do śmierci. Nie myśl, Marto, że zatrąwszy mi życie, będziesz u boku Piotra używała wymarzonego szczęścia w spokoju.

— Nie powinieneś na Piotra składać winy — odpowiedziała Marta. — Po wszystkiem, co się dowiedziałam z Foix, nie mogę wyjść za ciebie. Inaczej byłabym dotrzymała słowa, jakkolwiek byłoby mi to przyszło trudno.

— To jest szkaradne oszczerstwo, które Piotr tylko wymyślił. Ale zapłaci on to drogo. Słuchaj Marto, oto moje ostatnie słowo: Nie będziesz nigdy żoną Piotra, prędzej go zabiję!

Rozgniewany, opuścił dom, w którym pozostała Marta w wielkiej cbowie. Ciągły niepokój i troska wstrząsnęły na nowo słabe jej zdrowie, tak iż niebawem popadła w gwałtowną febrę nerwową. Matka mało miała nadziei, by ją ocalić, Piotr był w rozpacz, tém bardziej, że kasa jego była wyczerpana. Kilku poczciwych sąsiadów ofiarowało mu wprawdzie pomoc, ale ci biedacy mogli mu tylko dać trochę mleka i sera, pieniędzy nie mieli sami, a tych właśnie potrzebował Piotr na lekarza i aptekę. Właśnie miał ostatnią receptę lekarza

w rękę, aptekarz żądał cztery franki, sumę, którejby się może nie było zebrało w czterech chatach. Piotr, szalejąc z bólu, powiedział sobie, że Marta będzie musiała umrzeć, ponieważ on jest zanadto biedny, aby jęj kupić lekarstwo; widok cierpienia jęj rozdzierał mu serce, wyszedł, aby uniknąć tęj męczarni.

Bezradnie zesunął się pod drzewo i płacząc ukrył twarz w dłoniach. Głos pastuszka, który przechodząc obok niego, pogwizdywał piosenkę, zbudził go.

— Co ci jest, Piotrze? — zapytał chłopiec — zdajesz się nieszczęśliwy.

— Życzę ci, abyś nigdy nie doznał takiego smutku, jak ja przechodzę w tęj chwili.

— O! i ja wiem, co to ubóstwo — odparł pasterz. Było nas siedmioro, a nieraz brakło chleba w chacie, nieraz płakałem z głodu. Dzięki Bogu, mam teraz dobre miejsce, pilnuję owiec, mam jedzenia poddostatkiem i nie żądam niczego więcj. Wczoraj spotkałem w górach jakiegoś pana, który mi się pytał, czybym mu nie mógł dostarczyć bukietu z owych pięknych kwiatów — znasz je — które się znajdują nad wodą w przepaściach. Przez chwilę wahałem się, ale nie miałem ochoty za kilka sztuk złota narażać swego życia.

— Ile ci ofiarował?

— Pięć franków.

Oczy Piotra zabłysnęły żywięj.

— Czy ten cudzoziemiec jest jeszcze tu w okolicy? — zapytał.

— Tak, dziś i jutro jeszcze.

— Czy myślisz, że zapłaciłby mi, gdybym poszukał czego żąda?

— Z pewnością; odszukam go. Ale to niebezpieczna rzecz, zwłaszcza dla kogoś, który nie przywykł do tego.

— Nic nie szkodzi, spróbuję. Gdzie można je znaleźć?

— W tem właśnie cała trudność. Za miesiąc można je znaleźć w każdym rowie, lecz teraz są one bardzo rzadkie i prędko je zrywają. Wczoraj z jednym kolegą, którego nęciła zapłata, szukałem ich wszędzie, lecz nie znalazłem ani śladu.

— Ach! — pomyślał Piotr w duchu — największe niebezpieczeństwo nie odstraszyłoby mię, za tę cenę zeszedłbym pod ziemię!

— Jeśli się nie lękasz — zaczął pastuszek znowu — pokazałbym ci miejsce, gdzie znalazłbyś bogaty zbiór i gdzie ci ich posiadania nikt nie zaprzeczy, ale za drogie pieniądze nie poszedłbym ich tam szukać.

— Gdzie jest to miejsce? — zapytał Piotr skwapliwie.

— Na spodzie przepaści, którą nazywają „czeluścią szalonych“, znajduje się strumień, nad którego brzegiem rośnie ich wielka obfitość. Powiadają jednakże, że kto tam zajdzie, nie powraca już ztamtąd nigdy.

Piotr zamyślił się przez chwilę. O wspomnianej przepaści krążyło złowrogie podanie. Opowiadano, co następuje:

Młoda pasterka, imieniem Eleonora, pasła tam w zamierzchłych czasach swoje owieczki. Jój piękność zwabiła wielu młodzieńców i niejeden oświadczył się o jój rękę. Aby się uwolnić od téj natarczywości, rzuciło dziewczę swą laskę pasterską w przepaść, oświadczając, że wyjdzie za tego, który jój laskę przyniesie.

Najodważniejsi cofnęli się, tylko jeden, Manuel, biedny pastuszek, który nie śmiał oświadczyć jój swój miłości, zbliżył się do przepaści, owiązał się sznurem i udał się w drogę, pomimo prośby Eleonory, która usiłowała go powstrzymać. Napróżno

wzruszenie dziewczęcia objawiło mu, czego się może spodziewać i pragnął zdobyć ją jako narzeczoną.

— Eleonoro — szepnął — jeśli powrócę, pamiętaj o przyrzeczeniu.

— Niebo moim świadkiem, Manuelu, że do nikogo innego, tylko do ciebie chcę należeć, — odpowiedziała Eleonora, łkając.

Jeden z wielbicieli pięknej pasterki słyszał te słowa i poprzysiął zgubić swego współzawodnika.

Manuel przybył szczęśliwie na dno przepaści, ale laska pastuszki zniknęła; nad brzegiem strumienia rosły kwiaty, podobne do wełnianych kędziorków owiec. Młodzieniec zerwał najpiękniejszą grządkę, aby pasterce przynieść w miejsce laski zgubionej i wdrapał się na stromą pochyłość. Już był prawie u celu, już Eleonora wyciągała uszczęśliwiona swe dłonie ku niemu, by go przyjąć, gdy wtém zazdrosny współzawodnik Manuela wydobył nóż i przeciął sznur przywiązany do drzewa.

Z straszliwym krzykiem upadła Eleonora zemdlona, podczas kiedy Manuel spadał i okropny w nagłym upadku znalazł koniec.

Od owego czasu przychodziła Eleonora codziennie, w czasie pogody i niepogody nad brzeg przepaści, która pochłonęła ukochanego. Długie godziny przebywała tam, rozmawiając z nim, duch jej bowiem został przyćmiony i w powiewie wiatru zdawało jej się, iż słyszy głos zmarłego. Pewnego dnia nie powróciła i daremne były wszelkie poszukiwania; prawdopodobnie znalazła śmierć także w przepaści. Ztąd pochodziło owo podanie.

Piotr nie był zabobonnym, jednakże głęboka i czarna otchłań, którą tylko dzikie zwierzęta wybrały za siedlisko, napępiała go pewną obawą. Ale pomyślał o Marcie; ukochana istota zginęłaby bez



lekarstwa; czy nie powinien był odważyć się na to, na co odważył się Manuel dla Eleonory?

— Pójdę — rzekł zdecydowany.

— Jakto, idziesz? — zawołał chłopiec wylekniiony.

— Tak; pójdiesz ze mną?

— Umarłbym ze strachu!

— To pójdę sam.

Zaopatrzył się w linę i udał się na wskazane miejsce. Jeden koniec liny przymocował do pnia drzewa, drugim owiązał się w pasie i zaczął schodzić pewną stopą. W koło niego panowała grobowa cisza, słychać tylko było szmer strumienia. Sciana pochyłości była dziwnie popękana i Piotr z trudnością szukał drogi wśród pnących roślin i krzewów, które wyrastały ze szczelin skał. Na dole utworzył się mały strumyk, który otrzymywał zasilek ze śniegu i deszczu. Nad brzegiem tego strumienia rosło mnóstwo poszukiwanych roślin z śnieżnym kwieciem.

Z tych grządek zerwał Manuel jedną dla Eleonory; cena za kilka z nich miała Marcie utrzymać życie.

Piotr zbliżył się do stramienia, w którym nieszczęśliwa para kochanków straciła życie i drżąc z wewnętrznego wzruszenia, wyciągnął rękę po rośliny, ale cofnął się wystraszony, woda podniosła się sycząc, piana obryzgała mu twarz, wszystkie krzewy drżały, huczący szum rozbrzmiewał, odbijając się kilka razy w echu o ściany skał. Lecz nie koniec na tém; potężny kamień oderwał się od skały i spadając w strumień, spowodował łoskot.

— Jakiż ze mnie szaleniec! — powiedział sobie — aby się tak przerażać! Czego mam się obawiać? Umarli nie powracają; nie wierzę w strachy.

Tak dodając sobie głośno odwagi, odciął krzaczek upragnionych kwiatów, przymocował je u pasa.

i zaczął powracać w górę. Już połowę drogi odbył szczęśliwie, a ukazujące się światło zmniejszyło niebezpieczeństwo, gdy w tem dziwny jakiś głos doszedł jego ucha, podobny do ryku dzikiego zwierzęcia. Blady z przerażenia obejrzał się w koło siebie. Z jamy w górze wyłonił się poważnym krokiem niedźwiedź i skierował się w stronę Piotra, prawdopodobnie z nieprzychylnym zamiarem. Młodzieniec znajdował się istotnie w niebezpieczeństwie. Starał się uciekać, ale okropny zwierz z szerokimi łapami, przywykły widocznie do tych dróg, zbliżał się spokojnie, ale pewno i doścignął na wpółumarłego ze strachu Piotra. Już prawie czuł oddech potwornego zwierza na twarzy.

Trzymając się jedną ręką sznura, chwycił za nóż, jedyną broń, jaką posiadał i przygotował się do walki. Wołał głośno o pomoc, jakkolwiek nie mógł się spodziewać, aby się znajdował człowiek w pobliżu. Rozpoczęła się rozpaczliwa walka; Piotr zadawał zwierzęciu potężne ciosy, lecz niedźwiedź stał się jeszcze wścieklejszy, zatopił pazury w ciele Piotra i wyglądał, jakby go chciał rozedrzeć w kawały. Piotr widział swój blizki koniec; co się stanie z Martą i matką!

W podobnej chwili wzywa człowiek pomocy Boga, który jedynie go ocalić może; Piotr był dobrym chrześcianinem, przesłał krótką modlitwę ku niebu i przyrzekł Matce Bożej, iż odprawi bosą pielgrzymkę do Ax, jeśli go ocali. Zaledwie uczynił ten ślub, gdy wtem rozległ się straszliwy huk w przepaści, równocześnie niedźwiedź wydał okropny ryk z bólu i stoczył się na dno otchłani, gdzie wyciągnął się na stosie kamieni, walcząc ze śmiercią. Z wdzięcznością skierował ocalony młodzieniec wzrok swój ku górze, jeszcze nie wiedząc dobrze, jak się to wszystko stało. Ztamtąd zawołał nieznany głos ku niemu:

— Odwagi przyjacielu, pomagam ci!

Piotr odzyskał szybko odwagę i przytomność. Pierwszą jego myślą była wiązka kwiatów, od której zależało życie Marty. Ale o zgrozo! były one prawie nie do poznania po walce z niedźwiedziem. Nie namyślając się, zaczął się spuszczać ku dołowi raz jeszcze.

— Co robisz, szaleńcze? — wołał głos z góry.

Piotr szybko uciał nową grządkę, przywiązał ją mocno, a potem wskazując na niedźwiedzia rzekł:

— Panie, czy mamy zostawić tego zwierza tutaj?

— Cieszyłbym się, gdybym go tu miał u góry, ale nie chcę was narażać na nowe niebezpieczeństwo.

— Nie potrzebuję się niczego lękać pod opieką tak znakomitego strzelca — odpowiedział Piotr. Potem zbliżył się do niedźwiedzia, dobił go, przymocował na wiszącym kawale liny i wchodził pod górę, podczas gdy strzelec z odwiedzionym kurkiem śledził wewnątrz przepaści.

— Mój panie, zawdzięczam ci życie i więcéj jeszcze, gdyż od szczęśliwego powodzenia méj wyprawy zawisło życie, które mi jest droższem, niż moje własne. Serdeczne dzięki!

Cudzoziemiec uśmiechnął się.

— Moje przybycie jest widocznem zrządzeniem Opatrzności. Ależ czegóż to szukaliście tam na dnie przepaści? Zresztą możecie mi to opowiedzieć po drodze; najprzód rozważymy, co począć z tem zwierzęciem tam na dole.

— Wciągniemy go razem.

— Wspaniały zwierz! — rzekł cudzoziemiec, kiedy wydobyli niedźwiedzia na górę. — Jestem dumny z tego strzału. Na pamiątkę chciałbym zabrać fatro.

Zaciągnęli niedźwiedzia do najbliższej chaty i oddali go chwilowo jęj mieszkańcom do przechowania. W drodze opowiedział Piotr cudzoziemcowi o swęj nędzy i o przyczynie całej tęg przygody.

Obcy pan wsunął wielką sztukę złota Piotrowi w rękę.

— To na wyzdrowienie Marty. Czy nie zechcecie mi ofiarować na pamiątkę kilku kwiatków z tęg grządki? I ja mam ukochaną narzeczoną; te kwiaty z dziwną swą historią sprawią jęg wielką przyjemność. Przed odjazdem jutro mam nadzieję zobaczyć was jeszcze.

Piotr opuścił cudzoziemca i pobiegł ku swęj chacie. Marta leżała jeszcze w gorączce i nie poznawała go. Natychmiast udał się w drogę do Ax. Podczas, kiedy przygotowywano lekarstwo, aptekarz opatrzył mu rany, zadane przez niedźwiedzia w czasie walki, które zresztą nie były wielkie. Wzruszony losem młodzieńca, nie tylko wzbraniał się przyjąć jakąskolwiek zapłatę, lecz nadto kazał zaprządz do wózka, który zawiózł Piotra szybko do łóża choręj Marty.

Nazajutrz pospieszył Piotr spełnić ślub, złożony Matce Najświętszęg. Poszedł do Ax i spędził długą chwilę, modląc się gorąco, w świątyni, jęg czci poświęconęg. Domyślił się łatwo, że ze skołatanego serca wleciała także ku niebu serdeczna prośba o zdrowie dla Marty. Jeżeli w nieszczęściu i przeciwnościach cokolwiek zbolełemu sercu przynosi ulgę, to niezawodnie gorąca i serdeczna modlitwa. Przywraca ona duszy ufność i spuszcza łagodzący balsam na otwartą ranę. Tęgo doznał i Piotr także; wzmożony i pocieszony, z sercem przejętem nową nadzieją, opuścił przybytek Pański.

Pierwsze kroki skierował na probostwo; chciał zawiadomić czcigodnego kapłana o niebezpiecznem stanie swęj narzeczonęg. Ten przyjął Piotra, któ-

rego szczególnie lubił i którego trudne położenie było mu znane, bardzo dobrotliwie. W ciągu rozmowy zawiadomił go, że przed godziną zaledwie był u niego jakiś pan, który nie chciał wymieniać swego nazwiska, i że tenże wywiadywał się o Piotra bardzo szczegółowo, zlecając proboszczowi, aby mu dostarczył wszystkiego, czego mu potrzeba, dopóki Marta nie wyzdrowieje. Równocześnie zalecił lekarzowi i aptekarzowi, aby nie szczydzili starań i kosztów, jakich wymagałby stan chorego dziewczęcia.

Głęboko wzruszony i przejęty wdzięcznością dla Boskiej Opatrzności i nieznanego dobroczyńcy, powracał Piotr do domu, przekonany, iż skończyły się wreszcie cierpienia jego i Marty.

## IX.

### *Morderca.*

Aleksy Boyer, jak to widzieliśmy, znalazł u swego wuja bardzo przyjemne i pewne stanowisko, i jakkolwiek przyzwyczajony do lekkomyślnego życia w mieście, czuł się bardzo zadowolony na wsi, przynajmniej tak długo, dopóki miał widoki uzyskania serca Marty. Proste, trzeźwe i pracowite życie nabierało nawet pewnego uroku dla niego. Ale w dniu, w którym był zmuszony powiedzieć sobie, że nic nie zdoła rozłączyć Marty z Piotrem, doznał zupełnego zniechęcenia. Otoczenie wydawało mu się nudnym, praca uciążliwą, zaniedbywał dom i gospodarstwo i całymi dniami włóczył się po szynkowniach w Ax, gdzie z wewnętrznej skłonności i wskutek namów kolegów lekkomyślnych niebawem oddał się grze i pijaństwu. Wuj jego, zaniepokojony tą zmianą, namawiał go, aby wyszukał inną młodą dziewczynę i ożenił się z nią. Aleksy uparcie odrzucał tę propozycję, mówiąc:

— Marty nie zapomnę nigdy, muszę się rozzerwać.

Towarzysze jego radzili mu, aby wieś opuścił, lecz on nie chciał tego uczynić, najprzód dla tego, iż spodziewał się odziedziczyć wszystko po wuju, a powtóre dla tego, iż poprzysiął sobie, że małżeństwo Marty z Piotrem nie przyjdzie nigdy do skutku; czekał tylko na sposobną chwilę, by zaspokoić chęć zemsty.

Wujowi sprzykrzyło się to wreszcie, gniewał się na skandaliczne postępowanie siostrzeńca i groził mu zmianą testamentu. Zachodziły gwałtowne sceny i wskutek tego wyrodziła się między tymi dwoma ludźmi nienawiść, która wzrastała z każdym dniem i pozwalała domyślać się smutnego końca.

Pewnego wieczoru znajdował się Aleksy na drodze z powrotem do domu; niepewny chód jego zdradzał, czem się trudnił przez dzień cały. Zostawwszy Merens po za sobą, wszedł na górską ścieżkę, wiodącą do zabudowań wuja Hieronima. W téj chwili usłyszał za sobą głos, po którym poznał wuja Hieronima.

— Dokąd to, nicponiu?

— Do domu naturalnie, dokądżebyś szedł?

-- Chciałeś powiedzieć do „mojego“ domu, gdyż mój dom nie jest twoim.

— Oho! tylko powoli, wujaszku — rzekł podpiły — czyż nie jestem twoim spadkobiercą? Czy nie jesteś dumnym mieć za siostrzeńca takiego dzielnego chłopaka jak ja?

— Ja miałbym być dumnym na takiego nicponia? — wstydić się raczój muszę; ani chwili dłużej nie ścierpię cię w moim domu!

— Mnie tam bardzo dobrze i pozostanę!

— To zobaczymy jeszcze! — wołał wieśniak zapałając się. Już nie przestąpisz mego progu!

— Ba! a gdzież mam się podziać?

— Gdzie ci się podoba. Ja skończyłem z tobą. Byłem właśnie w mieście u notaryusza i zwałem testament. Nie możesz się odemnie niczego spodziewać, jutro odeślę ci twoje manatki a potem nie chcę słyszeć nawet twego imienia!

Ta niespodziana wiadomość podziałała na Aleksego, jak prąd zimnej wody.

— To uczyniłeś, wuju!

— Tak i mam wszelkie prawo do tego.

— Nie, nie macie prawa, gdyż z waszego powodu wyrzekłem się wszystkiego, aby wam zastąpić syna.

— A byłeś właśnie czémś przeciwném, przewał mu stary. — Od dwóch miesięcy nie widać cię w domu wcale, pomimo podeszłego wieku muszę sam ponosić cały ciężar pracy, a ty tymczasem trwonisz moje pieniądze i wracasz co wieczór napiły do domu. Robiłem ci przedstawienia, prosiłem cię, groziłem ci, lecz ty na to nie zważałeś wcale. Najprzód okradłeś ciotki, teraz grozisz swemu staremu wujowi, który cię przyjął jak własne dziecko.

— To nie prawda, to kłamstwo! krzyczał Aleksy z twarzą wykrzywioną od gniewu, — powtórz to oszczerstwo a zrzucę cię na dół!

Starego Hieronima przebiegł dreszcz, spojrzał w otchłań, która się ciągnęła wzdłuż drogi i zapytał:

— Czy byłbyś zdolny popełnić taką zbrodnią?

Jasne światło księżycy oblewało Aleksego i ukazywało jego twarz; rysy były ściągnięte z wewnętrznego wzburzenia, oczy ciskały płomień, gorzki uśmiech wykrzywił mu usta.

— Wydziedziczyliście mnie, powiedzieliście co dopiero, czy odwołacie to słowo? — krzyczał ochrypłym głosem.

— Nigdy!

— Nieszczęście na was! — ryknął były huzar i rzucił się z zaciśniętą pięścią na starca. Ten ostatni cofnął się przerażony.

— Ha! boicie się! — wołał Aleksy szyderczo. Czy mnie uważacie za zabójcę? Cóżbym zyskał na tem, gdybym was ukarał, jak należy? Przez to uszczęśliwiłbym tylko obecnych waszych spadkobierców!

— Nędzny! — jęknął starzec, — i takiego niegodziwca musiałem w dom swój przyjąć!

— Na przyszłość namyślcie się, wuju, lepij; czy rzeczywiście macie ochotę zostawić mię na noc pod gołym niebem?

— Do mego domu nie przyjdiesz, powracaj do Merens.

— I tak bez grosza pieniędzy wyrzucacie mię na ulicę?

— Poszukaj sobie pracy w sąsiednim mieście, pieniądze potrzebne na drogę dam ci jeszcze.

— Nie ruszę się z tych stron.

— W takim razie rób, co chcesz, mnie to nie nie obchodzi.

Aleksy nie odpowiadając, szedł dalej. Starzec, uparty, jak w ogóle wszyscy wieśniacy w górach, zastąpił mu drogę.

— Usuńcie się! — wołał Boyer.

— Ani kroku dalej! — odpowiedział mu starzec, stając przed nim groźnie.

— Puśćcie mnie, powiadam! Nie doprowadzajcie mię do ostateczności, gdyż nie ręczę za waszą starą czaszkę!

Starzec spojrział na drogę, czy nie zobaczy kogo w pobliżu i rzeczywiście w oddaleniu stu kroków ujrzał ciemną jakąś postać. Czuł się spokojniejszy.

— Nie lękam się ciebie, mój piękny siostrzeńcze! nie przejdiesz tędy, zawołał energicznie, zamykając mu wąską drogę.



Ciemna postać zbliżała się coraz szybciej. Piotr, gdyż on to był, znajdował się na drodze do chaty, spokojny w sercu i zadowolony. Marta była już prawie zdrowa a on myślał na seryo o dniu, w którym miała zostać jego żoną. Z tych marzeń wyrwał go odgłos rozmowy, na skrócie drogi ujrzał dwóch mężczyzn, których nie poznał na razie, lecz zaraz domyślił się, że się sprzeczali ze sobą. W największym pośpiechu pobiegł ku nim i widział, jak walczyli ze sobą i poznał Boyera oraz jego wuja. Ten ostatni odepchnął siostrzeńca, który z swój strony znowu chciał starca usunąć na stronę, wtem usłyszał przerażający krzyk i jeden z walczących zniknął. Przyszedł zbyt późno, aby przeszkodzić straszliwemu zakończeniu walki.

Aleksy stał jak skamieniały nad brzegiem spadzistego urwiska. Przeważenie opanowało jego zmysły — stał się mordercą! Co robić? Dokąd się zwrócić?

— Nieszczęśliwy! — zawołał sam do siebie. Ależ ja go nie chciałem zamordować, gniew mię zaślepił, chciałem go tylko usunąć z drogi a nie zrzucić go. O! moje ręce krwią skalane, jestem mordercą, przeklętym, nic nie dowiedzie mój niewinności... Kto tam nadchodzi?... Miałem świadka... To Piotr! On mię zadenukuje... Wszystko przeciw mnie, jestem stracony!...

Jak szalony zaczął uciekać, powiększając przez to tem więcej podejrzenie na siebie.

Razem z Piotrem przybiegł jeszcze ktoś inny. Był to stróż polny.

— Co się tam stało? — zapytał. Słyszałem krzyk i widziałem kogoś uciekającego.

Zamiast odpowiedzi wskazał Piotr przy świetle księżycy leżące o dwadzieścia stóp może na dole ciało zabitego.

— Temu nic już nie pomoże — rzekł stróż, wzdrygając się — nieszczęśliwy roztrzaskał sobie głowę, ale sądy będą miały robotę. Kto był mordercą?

— Nie mogłem zobaczyć jego twarzy — odparł Piotr, który nie chciał zdradzić swego nieprzyjaciela.

— Wyśledzimy go niebawem, zdaje mi się, że to nie kto inny, tylko Boyer, w ostatnim czasie często sprzeczał się ze starym. Chodź, Piotrze, doniesiemy o tem policyi.

— Podejmijcie wy się tego, ja tymczasem poszukam dwóch ludzi, którzy mi pomogą wydobyć biedaka, może on żyje — odpowiedział Piotr.

— Nie mam już żadnej nadziei, ale ludzkość wymaga, aby go opatrzeć, sprowadź zatem pomoc, zobaczymy się znowu niezadługo.

Boyer uciekał jak szalony; chciał przejść pobliską granicę, ale ponieważ nie znał dobrze drogi, lękał się zbłąkać w górach podczas nocy. Oprócz tego potrzebował pieniędzy. Aby je otrzymać, zwrócił się do mieszkania swego wuja, gdzie wszyscy spoczywali w śnie głębokim. Tam zmienił ubranie, wziął pieniądze, ile tylko mógł znaleźć, zabrał rewolwer i opuścił dom, w którym był synem, jak przeklęty. Zanim żandarmerya była na nogach, znalazł Aleksy dosyć czasu, aby się ukryć w głębokiej jaskini, gdzie się sądził bezpiecznym przed pogonią.

Ciało wieśniaka wydobyto z rowu a podejrzenie stróża polnego na Aleksego dzielono powszechnie. Kiedy nadto w mieszkaniu ofiary znaleziono ślady szybkiej ucieczki Aleksego, wina jego była jasną.

Pomimo wszelkich poszukiwań jednakże nie udało się pochwycić zbiega. Ten wychodził tylko w nocy z swego ukrycia a ponieważ pieniędzy miał dosyć, przeto zdołał nakłonić pewnego pa-

stuszką, aby tenże mu przynosił pożywienie i wiadomości. Policya przypuszczała, iż przebył granicę i po dwóch tygodniach zaniechała dalszych poszukiwań.

Teraz mógł Boyer pomyśleć o tém, by się przedostać bezpiecznie przez granicę. Poprzednio zasięgnął jeszcze wiadomości o Piotrze i Marcie i dowiedział się, że właśnie ma się odbyć ich ślub z wielką uroczystością i przy współudziale mieszkańców z bliska i daleka. Ostatnie ogniwo, łączące go z krajem, zostało zerwane, o zemście nie mógł teraz myśleć, zniknął więc z okolicy bez śladu. Właśnie wszedł na wzgórze Hospitalet, zatrzymał się, aby jeszcze ostatni raz spojrzeć na dolinę Mrens, kiedy usłyszał z daleka odgłos dzwonów kościelnych. Te wesole dźwięki dobrze mu były znane, oznajmiały one o ślubie. Powstrzymując oddech w wzburzonej piersi, słuchał przez chwilę.

— To wesele Marty! — szepnął.

Jeszcze jedno, ostatnie rzucając spojrzenie na tę wieżę kościelną, w której otoczeniu pozostawił całe swe szczęście, oddalił się jak wyrodek, uciekający przed płomiennym mieczem Anioła Mściciela.

Koniec księgi I.



## Księga druga.

---

### I.

#### *Niespodziane spotkanie.*

Zręczny okręt kupiecki „Jaskółka“ ścigał kotwicę do podróży z Marsylii do Indyi. Niebo było pogodne, morze spokojne, wszystko zapowiadało miłą przeprawę.

Kapitan wydał załodze rozkazy, dano sygnał, okręt poruszył się i podróżni rzucili swoim nad brzegiem ostatnie pozdrowienie, aby się następnie powierzyć losowi mokrego żywiołu. Na większej części fizynomii widniał wyraz smutku, który tak łatwo ogarnia człowieka w obec niepewnej przyszłości.

Zaledwie okręt odpłynął na kilkanaście metrów, gdy nagle kapitan kazał się zatrzymać. Z pomostu przypatrywał się pilnie łodzi, która płynęła prosto ku okrętowi. Wioślarze wyteżali wszystkie swoje siły a pan jakiś, siedzący tuż przy sterze, zachęcał ich bezustannie do większego pospiechu.

Kto mógł być ten cudzoziemiec? Podróżny, który się spóźnił, nie byłby sobie pozwolił opóźniać odjazdu parowca. Zdaniem kapitana musiał to być

wysłannik sterników z przystani, który miał ważne wiadomości do zakomunikowania.

W kilka chwil później znalazła się łódź przy „Jaskółce“, cudzoziemiec wszedł na pokład, gdy tymczasem wiosłarze bez pytania wrócili do portu. Zbliżył się do kapitana i skłonił się z wielką grzecznością.

— Tysiąckrotnie przepraszam pana, że spowodowałem tę małą zwłokę. Przyjaciel, któremu zleciłem zamówić dla mnie miejsce na tym okręcie, doniósł mi, iż odjazd nastąpi jutro; mało brakowało, a byłbym pozostał a jednakże powołują mnie interesa do Kalkuty bezzwłocznie, gdzie reprezentuję dom handlowy Oliviera Perez z Barcelony.

— Ależ, mój panie — odpowiedział kapitan, który z pewną nieufnością spoglądał na przybysza — mam wszystkich moich pasażerów na pokładzie i nie sędzę, aby dla pana ktośkolwiek był zamówił miejsce.

— Istotnie? Czyżby mój przyjaciel miał tak daleko posunąć swą niedbałość? Z pewnością zachodzi tu jakaś pomyłka, ale kto tutaj jest winny? Dzięki Bogu, że jestem na miejscu i mogę jeszcze jechać.

— Jakie nazwisko pańskie?

— Nazywam się Jan Dumont.

— Masz pan papiery, które dowodzą o tożsamości osoby? Cudzoziemiec drgnął nieznacznie.

— Mój panie! to wygląda na śledztwo!

— Muszę widzieć, kogo mam na pokładzie. Przybywasz pan na mój okręt w sposób, który mi nie pozwala zasięgnąć bliższych szczegółów o panu — odpowiadam zatem za pana osobiście.

— Niech pan będzie bez obawy — odparł młodzieniec z uśmiechem — wprawdzie moje rzeczy nadejdą dopiero następnym okrętem, nie miałem ani chwili do stracenia, kiedy się dowiedziałem, że pan jesteś

już przygotowany do podróży, lecz tutaj mam listy, które panu przynajmniej powiedzą, kim jestem. Zarazem zapłacę pieniądze za podróż — dodał, wyjmując ciężką sakiewkę.

Kapitan przejrzał niektóre papiery.

— Hm! z tego widzę tylko — rzekł — że się pan nazywasz Jan Dumont, nie więcej.

— Czy pan znasz bliższe szczegóły o innych podróżnych?

— Oj! kupowali bilety w biurze, za to nie odpowiadam. Gdybym był wiedział — dodał z gniewem — kto sobie pozwala zatrzymywać mnie w ten sposób, byłbym już ztąd daleko. Właściwie powinienbym pana wysadzić na brzeg!

Cudzoziemiec zachował zimną krew.

— Jak się panu podoba, panie kapitanie; jednakże mam nadzieję, że się pan namyśli. Wyraziłbyś mi pan wielką krzywdę, a potem — czy wyglądam może podejrzanie?

Marynarz spojrział na mówiącego. Był to mężczyzna około trzydziestu lat liczący, wysoki, elegancki, wytwornie ubrany, dość sympatycznej twarzy, pomimo pewnego dziwnego wyrazu oczu. Kapitan wstrząsnął głową i pozostawiając Dumonta bez odpowiedzi, wydał rozkaz do wyjazdu.

Pan Dumont odetchnął swobodnie; wziął mały kufeczek ręczny, który stanowił cały jego bagaż podróżny i zszedł na dół.

Pasażerowie zanadto jeszcze w tej chwili byli zajęci sobą, aby to zajście mogło być obudzić większe zajęcie. W dniu wyjazdu panuje na okręcie kupieckim, którego załoga składa się tylko z jak najmniejszej liczby osób, prawdziwy zamęt. Na pokładzie leżą całe góry towarów i skrzyń, a majtkowie krzątają się pilnie, aby wszystko ustawić na właściwem miejscu. Słychać wesołe śpiewy majtków, którym najmilej, gdy wypłyną na morze i którzy

śmieją się z podróźnych, taczających się w jedną i drugą stronę za każdym poruszeniem okrętu i wyglądających z trwogą morskiej choroby, która, jak wiadomo, tém prędzej się zjawia, im bardziej jój się ktoś opiera.

Port marsylijski zniknął już z oczu, tylko kościół Najśw. Panny na strażnicy połyskiwał jeszcze z swego wysokiego szczytu góry, przypominając podróźnym Tę, która nosi piękne miano „Gwiazdy morza.“ Nieco dalej widniał z boku las masztów; to port wojenny Toulonu; potem znika wybrzeże francuzkie zupełnie, okręt mija kolejno Korsykę, Kaprere, uśmiechające wybrzeże Sycylii i zarzuca wieczorem kotwicę w porcie maltańskim. Krótko trwa ten pobyt; już następnego dnia rano, w dwa dni po opuszczeniu Marsylii, wypływa na pełne morze i niebawem oko nie spostrzega, jak daleko spojrzy, nic prócz nieba i wody.

Następnego dnia ukazały się wybrzeża Afryki, lecz tylko na to, by zniknąć z oczu niebawem.

Z. den przypadek nie zakłócił podróży, pogoda była stale piękną, pod óżni w liczbie około dwudziestu, zmuszeni przez kilka tygodni obcować ze sobą, zbliżyli się do siebie i starali się skracać nudne życie na pokładzie. Tylko cudzoziemiec, którego widzieliśmy wsiadającego na okręt w sposób tak niezwykły, trzymał się podpadająco zdaleka od towarzystwa całego; z oficerami okrętowymi jedynie rozpoczynał niekiedy rozmowę, a ponieważ umiał być zajmującym i w ogóle był człowiekiem inteligentnym i dowcipnym, przeto niebawem rozproszył podejrzenie kapitana, który z upodobaniem szukał jego towarzystwa.

Pewnego wieczora siedział Dumont, jak zwykle, na swem ulubionem miejscu i swobodnie palił cygaręto, inni zaś podróźni, zebrani na pokładzie wciąż gali chciwie świeże morskie powietrze. Uwaga cu-

dzoziemca skierowała się na pewną młodą osobę, która swą pięknoscą i przez to, że trzymała się zdala od reszty towarzystwa, podpadała ogólnie. Zdawała się mieć zaledwie dwadzieścia pięć lat, była blondynką i miała piękną, wysmukłą i wytworną figurę. Miała na sobie jasną suknię, a przed chłodem wieczornym chronił ją lekki wełniany szal. Pierwszy to raz ukazała się na pokładzie i tak oficerowie, jak wszyscy podróżni jednogłośnie uznali, że jest uroczym zjawiskiem.

Jan Dumont przypatrywał się pięknej cudzoziemce badawczem okiem; zdawało mu się, że obraz przeszłości odżył znowu w jego pamięci; ta pełna wdzięku figura, to spojrzenie poważne, te drobne usteczka....

— Ale nie — powiedział sam sobie — to tylko podobieństwo; ta pani jest wiele wytworniejsza, należy z pewnością do innego całkiem towarzystwa.

Ręka jakaś zaciążyła na jego ramieniu; drgnął z lekka.

— A! zbudziłem pana z pewnością z idyllicznych marzeń! — rzekł kapitan uśmiechając się. — Nie rumień się, młody panie, każdy z nas myśli tak samo, jak pan; jestto bez wątpienia najpiękniejsza osoba, jaką kiedykolwiek wiozłem na moim okręcie. Czy pan nie sądzi tak samo?

— Jak się nazywa? — zapytał Dumont.

— Jutro dopiero będę mógł to panu powiedzieć; nie pamiętam dobrze nazwisk. Jój mąż był w pewnym domu handlowym w Marsylii i jedzie teraz do Indyi, aby tam przejąć kierownictwo nad flią owego domu. Jestto inteligentny i pilny człowiek, który może dojsć daleko.

— Gdzież on jest i czemu nie znajduje się w towarzystwie żony?

— Choroba morska przytrzymała go w łóżku; jeszcze rzadko opuszcza kajutę.



Kapitana odwołano i Dumont popadł znowu w głęboką zadumę; oczy utkwiał w młodą nieznaną, twarz jego zachmurzyła się i złowrogi uśmiech okolił jego usta.

— Jak téż do *niej* podobna! Rzadko kiedy spotkać można tak zadziwiające podobieństwo między dwoma osobami; ale między tą damą światową a ową ładną pasterką w Pirenejach zbyt wielka przepaść. Marta obecnie pasie z pewnością owce albo gotuje wieczerzą dla Piotra... Co za szczęście, że wówczas nie chciała wyjść za mnie; byłbym teraz udęczonym wieśniakiem a ona zwyczajną wieśniaczką. Jakże byłem szalony! Śmieję się sam ze siebie. Dzięki Bogu! los był dla mnie przychylniejszy.... Jestem bogatym człowiekiem i mogę w Indjach zająć stanowisko pozazdroszczenia godne... Za jaką cenę?... A! życie stawia niekiedy żądania, których niepodobna uniknąć.

Jak się czytelnik już domyślił, jestto Aleksy Boyer, którego tutaj odnajdujemy pod nazwiskiem Jana Dumonta. Dziwny jego wyjazd pozwala się domyślać, że miał powód do unikania jawności. Cofnijmy się o kilka lat wstecz, aby się przekonać, jakich nasz bohater w tym czasie doznał kolei.

Uciekwszy przez granicę, był huzar włóczył się przez pewien czas w Katalonii, aż wreszcie udało mu się zdobyć skromne stanowisko w jednym ze znaczniejszych domów handlowych. Jego pozornie dobre postępowanie i pilność zyskały mu niebawem upragnione względy pryncypałów, tak iż szybko postąpił wyżej i po kilku latach został kasyerem. Na tém stanowisku, połączonem z pięknymi dochodami, byłby mógł żyć bardzo dobrze, gdyby zły duch nie był mu oprzykrzył tego miejsca spokojnego. Nie marzył o niczém inném, jak o przyjemnościach i potrzebnem do nich bogactwie. Sumienie swoje uspił, uczucie honoru nie istniało

już w jego duszy, uważał się za praktyczny umysł, który z szczęścia ziemskiego chce tak wielką dla siebie uzyskać część, jak tylko to jest możliwem. O środki i drogi do tego nie był nigdy w kłopotcie. Długo i z żelazną wytrwałością zdążał on do pewnego celu; umiał odgrywać rolę wiernego i pilnego urzędnika, aż wreszcie pewnego poranku znalazł sposobną chwilę, by zniknąć. Nie uczynił tego sam; dwakroć sto tysięcy franków ulotniło się z nim razem.

Wraz z tą zdobyczą uciekł znowu przez granicę do Francji, gdzie po pięciu latach — jak sądził — o nim zapomniano. W największym pośpiechu pojechał do Marsylii, zdecydowany wyjechać najpierwszym okrętem, wszystko jedno dokąd. Co się dalej stało, wiemy już.

Nikt nie byłby w Janie Dumontcie poznał dawnego huzara. Cera jego ogorzała, gęsta broda zakrywała w części twarz jego, na czole zmarszczki lekkie, świadczące o burzliwym życiu, nadawały mu pozór starszego człowieka; rysy wyrażały dumę, szyderczy uśmiech wykrzywił mu usta, nawet głos jego, w skutek używania hiszpańskiej mowy, przybrał ostrzejszy, rozkazujący ton. Aleksy był jeszcze pięknym mężczyzną, lecz rysom jego brakło zupełnie sympatycznego wyrazu szczerego, poczciwego serca.

Noc zapadała; zwolna opuszczali pasażerowie pomost i udawali się do swoich kajut. Młoda kobieta podniosła się również; Aleksy widział, jak trudno jęj było utrzymać równowagę przy kołysaniu się okrętu, pospieszył ku nięj i podał jęj ramię. To wydawało się u człowieka dobrze wychowanego tak naturalnem, że nie mogła wahać się przyjąć jego pomocy. Kiedy przyszedli do wązkich schódków, Dumont zeszedł pierwszy, podał cudzoziemce rękę i pomógł jęj zejść, poczem jako skończony światowy

młodzieniec, uklonił się przed drzwiami kajuty, za co mu ona podziękowała uśmiechem.

Drzwi zamknęły się, a Dumont stał przez chwilę jak przykuty do miejsca; wreszcie głos majtka zbudził go do rzeczywistości. Wyszedł na pomost i spędził kilka godzin, w płaszcz swój otulony, w głębokiej zadumie, której tajników nie chcemy zgłębiać.

Następnego dnia miał nadzieję ujrzeć młodą kobietę znowu; życzenie to spełniło się dopiero nad wieczorem, — ukazała się znowu sama. Aleksey czuł, jak serce mu zaczęło bić żywiej na jój widok, jakkolwiek mu się zdawało, że już od dawna przewyciężył podobne słabostki. Jego nieco ostentacyjnie okazywane uwielbienie nie mogło ujść uwagi bystrzej kobiety; dla tego unikała sposobności do tych dowodów uprzejmości z jego strony, co poprzedniego wieczora i spiesznie doszła do schodów, zanim on zdołał pospieszyć ku niej. Tak minęło kilka dni; Dumont rozumiał, że jego obecność była jój niemiłą i nie pokazywał się więcej.

Pewnego dnia cudzoziemka przysłała wraz z mężem na pokład.

— Czy już się pan pogodziłeś z morzem? — zapytał go kapitan wesolo.

— Niestety nie mam wcale skłonności do marynarki, podróż na morzu nie ma dla mnie najmniejszego uroku — odpowiedział drugi.

— To przyjdzie jeszcze, mój kochany panie! Jutro zarzucamy kotwicę pod Aleksandryą; wycieczka na ląd stały uleczy pana zupełnie.

Aleksey pilnie przypatrywał się téj parze; wtem mąż pięknej cudzoziemki zwrócił twarz swoją w jego stronę i Jan Dumont, blady jak widmo, wydał cichy okrzyk zdumienia.

— Piotr! — szepnął — tak to on, nie myślę się, jest zupełnie ten sam. A Marta! Co za zmia-

na! Nie, to być nie może, dziwne jakieś podobieństwo ludzi mię; jakżeżby podobnem było, aby oboje z głębi swych gór znaleźli się w Marsylii i na tem stanowisku? Niepodobno!

Oboje zwrócili się w stronę Dumonta, który słyszał, jak młoda kobieta mówiła do męża:

— Widzisz, drogi Piotrze, ile straciłeś, odmawiając sobie wspaniałego widoku morza?

— Nie brakło mi niczego, Marto, — ty przecież byłaś przy mnie! — odpowiedział młody małżonek, rzucając swój żonie czułe spojrzenie.

— Do kaduka! toż to oni! — mruknął Dumont, cofając się niespostrzeżenie. Przyszedszy do swój kajuty, rzucił się na poślanie, które prawie całe miejsce zajmowało i pozostał kilka godzin sam ze swemi myślami.

Widok Marty rozbudził znowu nieszlachetnego namiętałości i rozdmuchał pochłaniający płomień nienawiści dla Piotra.

Wytłómaczymy czytelnikom, jakim sposobem Piotr i żona jego swoje górskie ustronie zamienili na Marsylią, a obecnie znajdują się w drodze do Indyi.

Po ślubie młodej pary, matka Magdalena jeszcze dwa lata żyła przy dzieciach, poczem nagła choroba zabrała ją. Piotr i Marta czuli się bardzo odosobnieni w swój chacie, najwięcej jednakże młoda kobieta, kiedy mąż jęj rozpoczął znowu swoje kupieckie wędrówki. Piotr spotkał pewnego dnia znowu swego oswobodziciela z pszarów niedźwiedzia, który dopytywał się o wszystko, co dotyczyło Piotra i jego stósunków; wreszcie ofiarował się, iż go umieści w pewnym domu handlowym w Marsylii.

Piotr przyjął z wdzięcznością proponowaną mu posadę, a młoda jego żona, która i tak nie czuła się stworzoną do życia wiejskiego, chętnie podążyła za mężem do wielkiego miasta. Ta zmiana wy-

wolała dla téj ostatniej jak najkorzystniejsze następstwa. W ciągłym obcowaniu z ukochanym małżonkiem, zwolniona od ciężkiej pracy na polu, rozwijała się fizycznie i z łatwością przyzwyczaiła się do obejścia i zwyczajów lepszego towarzystwa. Nie było to już blade, szczupłe dziewczę, lecz kwitnąca, piękna kobieta w całej pełni młodości; wrodzony jęj z natury instynkt pewnej wytworności i naturalny dobry smak strzegły ją od przywar dorobkiewiczów: nie trudno jęj było niebawem wypełnić brak delikatniejszego wychowania.

Po trzech latach zaledwie ofiarowano Piotrowi korzystne stanowisko w Kalkucie; przyjął tę sposobność do zrobienia fortuny, co mu tém łatwiej przyszło, iż w ojczyźnie nie łączyły go żadne węzły pokrewieństwa; Piotr i Marta nie mieli rodziny a potem wolno im było, kiedyby zechcieli powrócić później do Francyi.

Zaledwie Aleksy ochłonął z pierwszego zdumienia nad zmianą, jaka zaszła w Marcie, alści już obudziła się w nim dawna namiętność. Ona powinna była należeć do niego, gdy tymczasem inny mu ją zabrał.

Pięć lat rozłączenia zaciemniły jęj obraz w sercu jego i gdyby mu się była ukazała dzisiaj jako wieśniaczka, nie byłby doznał innego uczucia, chyba trochę złośliwej radości z powodu jęj niezaszczytnego losu. Ale Marta, jaką dziś widział przed sobą, była inną, doskonalszą; nadto była żoną tego, któremu poprzysiął zemstę i którego dotąd nie mógł dosięgnąć. Uczucie jego dla nięj było zatem nowem, całkiem odmiennem; gniewał się na przeszkodę, dzielącą go od nięj a gwałtowna natura jego skłaniała go ku temu, aby usunąć wszystko, by się dostać do nięj.

Ktoby go był śledził w czasie długich, samotnych godzin, w których wszystkie myśli skupiały

się w koło dawniejszój narzeczonój, ten byłby poznał w nieczystym płomieniu jego spojrzenia, w konwulsyjnym drganiu ust, jak zły duch popychał go do występku.

— Cóż stoi między nią a mną? — szeptał. — Człowiek... Co jest życie?... Technienie, które drobnostka może zniszczyć!

Jego dusza, przywykła do występku, nie toczyła już walki: ukradł, aby zadowolnić pragnienie złota, tutaj stał człowiek na drodze do szczęścia — precz z nim! Było to przecież rzeczą prostą. Człowiek nie doznaje — wedle jego pojęcia — innego szczęścia prócz w używaniu przyjemności, musiał zatem za jakąbądź cenę, wszelkimi sposobami dojść do używania rozkoszy.

— Od pięciu lat jest Marta żoną Piotra — pomyślał! — czy ona go też kocha? On zdaje się ubóstwiać ją i wcale się temu nie dziwię: ona taka piękna! on za to wiele niżej stoi od niej. Marta nie urodziła się w chacie, może mieć pretensye do mniej skromnego stanowiska, jój piękność zyskać tylko może wśród dostatków i przepychu — mógłbym jój dać to wszystko!...

Podczas kiedy Aleksy zajmował się temi myślami, powrócił Piotr do swój żony, którą pozostawił przez chwilę samą i gdyby dawny huzar był mógł rozumieć szlachetniejsze uczucia, byłby mógł łatwo odpowiedzieć na dopiero co postawione sobie samemu pytanie. Tak, miłość Marty nie utraciła przez pięć lat pożycia małżeńskiego nic z swego gorąca, wspólne radości i cierpienia jeszcze ściślej zespoliły te dwa dla siebie nawzajem stworzone serca. Piotr był rozsądnym, inteligentnym człowiekiem; charakterystyczny rys górskich mieszkańców, szorstkość, zniknęła w obcowaniu z żoną i lepszym towarzystwem i Aleksy mylił się znowu, myśląc, że pod

tym względem nie panuje harmonia między małżonkami.

Kilka dni minęło i Dumont przekonywał się codziennie bardziej, że dawniejsza jego narzeczona doznawała najczystszej szczęścia małżeńskiego. Ale namiętność jego ku niej obudziła się tem gwałtowniej, że była teraz tem więcej beznadziejną, aniżeli dawniej, a przytem grzeszną. Złorzeczył swemu nieprzyjacielowi z powodu jego szczęścia małżeńskiego, chciał je zakłócić i, jeśli można, zniszczyć. W jaki sposób? O tem nie miał jeszcze jasnego wyobrażenia, chodziło o to, aby tę parę mieć na oku i skorzystać z danjej sposobności.

## II.

### *Rozbicie okrętu.*

Dotychczas sprzyjała podróżnym piękna pogoda; szczęśliwie przebyła „Jaskółka“ kanał suezki, jako też morze Czerwone i stanęła w Aden. Zaledwie jednakże opuszczono port adeniński i okręt wypłynął na ocean Indyjski, podniósł się wiatr, który z początku nieznaczny, stał się niebawem gwałtownym i utrudniał bardzo podróż.

Pod wieczór niebo pokryło się ciemnymi chmurami, które zdawały się spuszczać na morze, jak gdyby chciały połączyć się z piętrzącymi się balwanami i pochłoniąć okręt.

Kapitan kazał zwinąć wszystkie żagle; para silniejsza od żywiołów, pędziła kołyszący się tu i tam olbrzymi okręt przez wzburzone fale. Pasażerowie siedzieli w kajutach, przebywanie bowiem na pokładzie stało się niemożliwym wskutek pryskającej ze wszęch stron wody. Majtkowie wypełniali wszystkie rozkazy kapitana z ową zimną krwią, która w poważnych chwilach tak uspokajająco



działała na podróźnych. Niebawem zapanowała ciemność zupełna; z głębin morza odzywało się głuche huczenie rozkiełznanych żywiołów; machina dyszała, jedna fala po drugiej nadbiegała i traciła swą siłę, uderzając o boki parowca.

Z każdą godziną burza stawała się gwałtowniejszą, okręt, rzucany na wszystkie strony, trzeszczał pod naciskiem spadających na niego mas wody. Podróżni cisnęli się o brzasku dnia trwoźliwie na pokład, aby z twarzy kapitana wyczytać, jaki los ich czeka. Ten przypatrywał się zaniepokojony postępom nawałnicy; fałdy na jego czole zapowiadały złowróżbną wiadomość.

Okropny wicher złamał tylny maszt i odrzucił go, następnie wyrwał i ster; boki okrętu trzeszczały bezustannie i w niektórych miejscach przedostawała się już woda. W razie, gdyby burza nie ustała szybko, każda chwila mogła przynieść zgubę. Pomocy nie można było spodziewać się znikąd; jedyną łódź widać było a i ta może nie w lepszym znajdowała się stanie.

Podróżni upadli na kolana. W obec śmierci topnieją najwięksi grzesznicy. Rozsądek ludzki, który tak często błakał się wśród burzy namiętności i próżności ziemskiej, powraca wtenczas do uznania prawdy. Człowiek, który w swawolnych chwilach i zdala od wszelkiego niebezpieczeństwa szuka swęj siły w tém, aby zaprzeczać istnieniu Boga, odrzucać myśl o inném życiu, przejmując się grozą, skoro tak nagle ujrzy się wezwanym do porzucenia tego życia.

Jeden tylko stał z czołem podniesioném, z zachwałem spojrzeniem, jak gdyby urągając gniewowi Bożemu. Duch jego, przejęty jedną myślą szatańską, nie mógł się uwolnić od nięj nawet w obliczu śmierci. Aleksy śledził okropny dramat w jego szczegółach z obawą gracza, który cały swój majątek na jedną postawił kartę. Twarz jego była blada, wycie burzy



wprawiało go w drżenie, lecz zatwardziała jego dusza pozostała niewzruszoną.

Marta, przytulona do boku męża, modliła się cicho i z poddaniem. Życie wydawało się młodej kobiecie uroczem, ale poddając się woli Bożej, składała je w ofierze i przygotowaną była na to, by ziemską na niebieską zamienić ojczyznę. Jakimkolwiek byłby jej los, Piotr byłby go dzielił także, Pan Bóg bowiem połączył ich w tém życiu i na wieki.

Aleksy spoglądał lekceważąco na modlących się towarzyszów; chciał urągać niebezpieczeństwu, śmierci i Bogu samemu.

Jakaś dziwna stanowczość ożywiła jego spojrzenie, jakaś dzika radość błyszczała w jego oczach.

— Nadeszła godzina — szepnął — zemsta moja będzie zupełną, niechaj mię piekło pochłonie, albo zwycięzę tę ostatnią przeszkodę!

Załoga podziwiała odwagę Dumonta.

— Jesteś pan odważnym — rzekł kapitan — nawet groza śmierci nie przejmuje cię drżeniem.

— Nie — odparł Dumont — na polu bitwy często zaglądałem śmierci w oczy a potem ufam mojej dobrej gwiazdzie. Czy pan sądzisz, że wszystko stracone?

— Bóg jeden może nas ocalić!

Dumont uśmiechnął się szyderezco.

W téj chwili nadpłynęła góra wodna.

— Boże ulituj się nad nami! — wołali przerażeni podróżni. Bałwany przeskoczyły pomost, a kto się nie zdołał utrzymać, tego zabrały ze sobą. Kapitan zniknął we falach, kilku majtków, którzy się uczepili szczątków okrętu, walczyli ze śmiercią.

Aleksy krótko przed katastrofą zbliżył się do Marty; w chwili największego niebezpieczeństwa, kiedy przerażona kobieta przymknęła oczy, usłyszała głos, szepczący jej do ucha:

— Marto, odwagi, czuwam nad twem życiem.

Drgnęła na dźwięk tego głosu; otworzyła oczy, lecz nie zobaczyła nikogo. Płacząc, otoczyła Piotra ramieniem.

— Musimy umrzeć, umrzyjmy więc razem!

Mąż przycisnął ją do serca i w téj chwili bałwan odrzucił ich daleko od okrętu. Piotr jednakże nie stracił przytomności umysłu; schwycił wiosło i przyczepił się do niego, w jednym ręku trzymając na wpół zemdląłą Martę.

Wtem drzewo zanurzyło się, ktoś trzeci uwiesił się u niego. Był to Aleksy. Jako dobry pływacz zdołał doścignąć odłamka jakiegoś; za pomocą sznura, owiązanego w pasie, przyczepił się i mógł dość długo utrzymać się nad wodą.

Piotra siły zaczynały opuszczać; ciężar zemdlonej Marty wciągał ich oboje w głębią.

— Pomóż mi ją ocalić! — zwrócił się w rozpacz do nieznanego.

Aleksy ujął młodą kobietę w swe ramiona, a potem pchnął wiosło silnie, aby Piotra odczepić od niego; tenże jednak trzymał je rozpaczliwie mocno.

— Kto jesteś i czemu pragniesz mojej śmierci? — jęczał nieszczęśliwy — nie uczyniłem ci nic złego.

— Nie uczyniłeś mi nic złego? — powtórzył dawniejszy huzar straszliwym głosem. Piotrze, spojrzij na mnie: jestem Aleksy Boyer!

Nieszczęśliwy Piotr zadrżał z przerażenia, pojął teraz, że nowy przeciwnik, bardziej nieprzejednany od fali, stanął na jego drodze. Usiłował zbliżyć się do żony; silne uderzenie w twarz odrzuciło go.

— Piotrze, zemsta czekała długo, lecz przyszła nareszcie. Zabrałeś mi wszystko: honor i narzeczoną — umieraj teraz!

— Litości! Nie rozłączaj mnie z nią; ona umarłaby z żalości.

Aleksy zaśmiał się szatańsko.

— Marta i bez ciebie żyć będzie, nie lękaj się! Ona była niegdyś moją narzeczoną, zabieram ją znowu. Teraz należy do mnie, przysiągłem to sobie. Czyż cię nie ostrzegałem, abyś mi nie stawał w drodze?

Ponowném, silném popchnięciem odczepił swego współzawodnika od zbawczego wiosła.

Tryumfował zbyt wczesnie. Bóg nie pozwolił mu tym razem dokonać zbrodni. Pomimo burzy obcy jakiś okręt usłyszał sygnał i podążył na miejsce nieszczęścia. Załoga odważnie narażiła swe życie i miała tę radosną pociechę, że zdołała ocalić większą część nieszczęśliwych. Piotr i Marta również zostali wyratowani, ale oboje znajdowali się w stanie, który budził obawę o ich życie. Aleksy wiedział, iż jest odkryty; nie potrzebował on się chwilowo obawiać niczego, lecz nie przedzój się uspokoił, dopóki okręt po kilku dniach nie wjechał do portu Kalkuty.

### III.

#### *Służący i pomocnik.*

Kalkuta wraz ze swoim milionem mieszkańców jest stolicą wszystkich angielskich posiadłości w Indyach; tam gromadzi się całe bogactwo, które z kolonii idzie do kraju ojczystego. U jej stóp toczy swe fale Ugly, największa rzeka poboczna Gangesu, uważana przez Braminów za świętą, na którą się klną, jak Turcy na Koran. Obszerny port, w którym powiewają sztandary wszystkich narodów w najróżniejszych barwach, przedstawia w jasnym dniu letnim, kiedy słońce południowe spuszcza swe żarzące promienie, wspaniały widok; ogromne nadbrzeże okalają rzędy pięknych domów. Pod tém południowem niebem inny przedstawia przyroda, ludzie i zwierzęta obraz, aniżeli w stre-

fach zimniejszych: kwiaty i rośliny zyskują na piękności i woni, zwierzęta z puszczy są bardziej krwiożercze, jadowite węże czynią wszystkie drogi niebezpiecznymi a nawet ludzie nie są zdolni uchylić się przed wpływem temperatury, która czyni ociężałym ducha i ciało i wytwarza skłonność do lenistwa. Więcej, niż gdziekolwiek indziej opuszcza się mieszkaniec tego kraju; otoczony cudami nadzwyczaj hojnej przyrody, żyje on tu głównie dla używania rozkoszy.

Takie życie było zupełnie po myśli Dumonta i wieszował sobie, że losy go tutaj sprowadziły. Obawiać się nie potrzebował niczego, gdyż Francya i Hiszpania były daleko, a zresztą, któżby w bogatym panu Dumontcie był domyślił się złodzieja i mordercy! Oprócz tego w koloniach, dokąd napływają awanturnicy wszelkiego rodzaju, nie ma zwyczaju zajmować się bliżej przeszłością każdego nowego przybysza, przypuściwszy, że tenże posiada środki do utrzymania. Aleksy jednakże nie zamierzał używać swój zdobyczy, pragnął powiększyć majątek, zdobyć sobie znaczne stanowisko. Za pomocą większej części swych kapitałów założył on wielki handlowy dom eksportowy, zakupił, chcąc dodać sobie zewnętrzznego blasku, wspaniałą willę, trzymał służących i ekwipaże, słowem żył na wielką skalę. W Kalkucie można było już przy dwakroć stu tysiącach franków osiągnąć cośkolwiek i w pół roku później Dumont uchodził już za jednego z najzamożniejszych kupców. Kilka pomyslnych operacji pieniężnych zdobyło mu imię zręcznego spekulanta i pomogło jego klientelę.

Od czasu wylądowania rzadko tylko widywał Martę. Od czasu do czasu spotykał ją na przechadzce; skoro go jednakże ujrzała, odwracała się od niego ze wstrętem, z czego wnosił, że dowiedziała się o zamachu na życie swego męża.

— Wie wszystko — powiedział sam do siebie — nienawidzi mię tak samo, jak mną gardzi. Nie mam żadnej nadziei, lecz muszę się zemścić!

Pewnego wieczoru, po straszliwie skwarnym dniu, skierował on swe kroki do miejsca wylądowania, aby się orzeźwić świeżem powietrzem morskim. Idąc bez żadnego celu, w myślach zatopiony, nie spostrzegł, że przekroczył granice wytwornej dzielnicy i bezwiednie zabłąkał się w tak zwany „czarny kąt“, którego brudne, nieregularne uliczki zamieszkuje dziki, do wszelkich zbrodni gotowy rodzaj ludzi. Indyanie i cudzoziemcy ze wszystkich stron świata, ludzie bez utrzymania i bez sumienia tłoczą się tutaj i żaden przyzwoity mieszkaniec eleganckiej części miasta nie odważyłby się wieczorem odwiedzić tego zaułka bez bezpiecznego towarzystwa.

Skoro Dumout spostrzegł swoją pomyłkę, zawrócił natychmiast ku przystani. W tém usłyszał głośny krzyk w tamtej stronie; rozmyślał, czy iść dalej i zaczepionej osobie przyjść w pomoc, lub czy to nie nazbyt niebezpiecznie mieszać się do kłótni tych ludzi. Przyszedłszy na koniec ulicy, ujrzał dwóch Indyan walzących zajadłe ze sobą, sztylety błyszczały, a walczący znajdowali się tak blisko wody, że jedno niezręczne poruszenie mogło ich wepchnąć do Gangesu i oddać na pastwę krokodylom i hajom, któremi rzeka się roi.

Przy owych walkach regułą jest, że jeden pada trupem. Indyanie zadawali sobie wzajemnie straszliwe ciosy a przekleństwa łączyły się z jękami, jakie im wrywał ból. Wreszcie jeden z nich upadł na ziemię; jego przeciwnik wydał okrzyk tryumfu, wyciągnął sztylet z ciała swój ofiary i chwytając umierającego, wrzucił go do rzeki. Stychać było plusk, potem odgłos podobny do zgrzytu ogromnej paszczyki i znowu nastąpiła cisza.

Aleksy chciał się odwrócić od téj okropnej scény, gdy w tém Indyanin, ujrawszy go, zawołał groźnie :

— Czego szukacie tutaj?

— Zabłąkałem się.

— Ludzie, jak wy, rzadko przychodzą do nas.

— Co to ciebie obchodzi? — odparł Aleksy — który wiedział, że tym ludziom nie należy nigdy okazywać jakaśkolwiek obawę. A co ty sam robisz tutaj? Któż to był, którego co dopiero zamordowałeś?

— To był mój wróg; gdybym go nie był zabił, to on byłby mnie zamordował. Ale teraz muszę uciekać, aby ujsć przed zemstą jego rodziny.

— Dokąd idziesz?

— Nie wiem, panie Dumont; radzę panu, abys w téj okolicy nie przebywał długo.

— Znasz mię? — zapytał Dumont zdziwiony.

— Tak, jak widzicie. Jestem tragarzem i byłem przez kilka miesięcy u pewnego kupca w mieście; wypędził mię, ponieważ mu wzięłem kilka sztuk złota.

— Jak się nazywa ten kupiec?

— Pan Arnold.

Szatańska myśl błysnęła w umyśle Dumonta. Piotr Arnold — ten dziki mógłby mu może oddać doskonałą przysługę, by zaspokoić jego pragnienie zemsty.

— Wy biali Europejczycy — zaczął znówu dziki — jesteście tchórzami, znosicie zniewagi, gdyż lękacie się sztyletu.

— Mylisz się — odparł Dumont.

— Czy nie macie wcale nieprzyjaciół? — pytał Indyanin.

— Tak, mam śmiertelnego wroga, którego nie nawidzę.

— Co on wam zrobił?

— Co mi zrobił? Zatrwał mi życie, porwał narzeczoną, zaskarżył mię jako zbrodniarza, jakkolwiek byłem niewinnym; z jego powodu musiałem uciekać a teraz drażni mię widokiem szczęścia, które mi zabrał.

— I pozwolicie mu żyć jeszcze? — zawołał dziki, podnosząc pugnał — ten, którego tam żarłoczne bestye pożarły, nie zawinił tyle!

— Tym nieprzyjacielem — mówił Dumont ostrym tonem — jest kupiec, który cię wypędził.

Indyanin pokazał, mrużąc, szczękę i wskazał na sztylet.

— Zróbmy umowę — rzekł bezczelnie. — Weźmiecie mnie do swego domu, a ja obowięzuję się pomścić was; na mnie możecie się spuścić!

Dumont wahał się.

— Chodź ze mną — rzekł wreszcie — zobaczymy jeszcze.

— Biali są tchórzami, — powtórzył Indyanin — ale ja muszę się zemścić.

— Biorę cię do moich usług, dostaniesz dobrą zapłatę.

Dwaj nowi sprzymierzeńcy przeszli szybko nadbrzeżne ulice i dotarli do europejskiej dzielnicy. Aleksy wszedł do swego mieszkania i zapytał Indyanina:

— Jak ci imię?

— Yanko.

— Dobrze, Yanko, odtąd jesteś w mojej służbie. Liczę na twoją wierność.

— Indyanin jest równie wierny w przyjaźni, jak straszliwy dla swych wrogów. Będę czuwał nad wami, panie, spuście się na waszego sługę!

Podczas kiedy Jan Dumont coraz bardziej powiększał swój interes i niebawem pozyskał sobie znaczne imię, u Piotra działało się wręcz przeciwnie. Jak gdyby jakaś ciemna potęga krzyżowała wszy-

stkie jego obliczenia, jedno przedsiębiorstwo upadało po drugim; kredyt jego upadł i nawet jego imię jako kupca straciło na znaczeniu. Pewnego dnia spłonęły główne jego składy a wkrótce potem zniknął kasyer ze znaczną sumą pieniędzy.

Piotr czynił rozpaczliwe usiłowania, aby usunąć się z pod wpływu skrytj dłoni, pracujacj nad jego zgubą; słusznie domyślał się, że Dumont w skrytości pracował przeciwko niemu, uważał go nawet za zdolnego do podłożenia ognia. Niepodobna mu było jednakże pochwycić wątku intrygi a bez namacalnych dowodów nie byłby mógł się odważyć wyrazić podejrzenia przeciw tak ogólnie szanowanemu kupcowi. Raz jeszcze udało mu się polepszyć zachwiane stanowisko; z pomocą kilku przyjaciół zbudował nowe składy i rozpoczął interes po krótkiej przerwie na nowo. Niestety aż nazbyt szybko przekonał się, że utracił zaufanie świata kupieckiego a kiedy wkrótce potem rozbiło się nowe znaczne przedsiębiorstwo, na którego powodzenie liczył z całą pewnością, znalazł się blizkim bankructwa.

W kilka dni później otrzymał z Francyi od Towarzystwa, które go wysłało do Kalkuty, list tej treści, że nie tylko nie odpowiedział wymaganiom, jakie mu postawiono, ale, że nawet powątpiewają o prawdomówności jego referatów. Dla tego odbierają mu miejsce, zlecając, aby interes oddał w ręce następcy, który wyjeżdża tym samym okrętem.

Kiedy Marta weszła do pokoju i znalazła męża bladego i przygnębionego, trzymającego w ręku pismo, domyśliła się zaraz, iż nowy cios ich dotknął.

— Co ci jest Piotrze? — zapytała, zdjeta trwogą.

Podał jej list dyrektora.

Młoda kobieta przeczytała go i odczytała kilka razy, jak gdyby nie mogła pojąć jego znaczenia.



— O Piotrze! jeszcze cię posądzają w dodatku!

— Tak, a co gorsza, nie mogę się tu ztąd nawet usprawiedliwić. Zresztą mój następca musiał już przybyć.

— Masz nieprzyjaciela — zaczęła Marta znowu — który przeszkadza twoim przedsiębiorstwom i który cię też prawdopodobnie oczernił przed Towarzystwem.

— Aleksy! — szepnął Piotr.

— O! — jęczała młoda kobieta, wybuchając płaczem — czyż zawsze muszę być powodem twego nieszczęścia!

— Nie mów tak, Marto, jesteś szczęściem mego życia, żadne niepowodzenie i żadna niesprawiedliwość nie może mię wzruszyć, dopóki mi pozostanie twoja miłość. Będę pracował dla ciebie ni znajdziemy przecież jakiś kącik na ziemi, gdzie meszczęście las nie dosięgnie. Wczoraj namawiał mię jeden ze znajomych, abym przyjął korzystne stanowisko, lecz wahłem się; list ten rozstrzygnął. Ludzie, którzy mię znają, nie wierzą takim podłym oszczerstwom. Ale czy ty się zgodzisz, Marto, na to, abyśmy zamieszkali w odległej okolicy?

— Jakże się możesz o to pytać, Piotrze? Wszędzie, gdzie ty jesteś, tam moja ojczyzna, choćby to być miało wśród pustyni. Zresztą nacierpieliśmy się tyle tutaj w Kalkucie, że opuszczenie tego miasta nie sprawia mi żadnej przykrości.

Młody kupiec udał się zaraz do wspomnianego co dopiero przyjaciela i opowiedział mu o swoim położeniu. Ten radził mu, aby nie rozpoczynał żadnych kroków przeciwko potężnemu Dumontowi, lecz, aby jak najdalej usunął się z Kalkuty przed jego przemożnym wpływem, ponieważ tamten umiałby z pewnością pozyskać dla siebie całą opinią publiczną. Piotrowi trudno było powściągnąć gniew,

lecz pomyślał o Marcie. Cóżby się z nią stało, gdyby on został pokonanym we walce z Dumontem? Biedna i samotna, byłaby bezbronną w obec poślności dawniejszego wielbiciela. Myśl ta skłoniła go do trzymania swój nienawiści na wodzy i do przyjęcia nowego stanowiska.

#### IV.

##### *Liana.*

W północno-zachodnich Indyach, na pochyłości wzgórza, które panuje nad uroczą doliną, leży ładna osada pewnego Anglika, który tutaj urządził sobie fabrykę.

Poboczna rzeka Sindu dostarcza jej dosyć wody i podnosi wydajność ziemi. Drzewa, kwiaty i bogate pola ryżowe otaczają osadę pięknym wieńcem i uzupełniają całość, tworząc obraz, jaki w owych gorących i suchych okolicach rzadko tylko kiedy można napotkać.

Chłodna noc odświeżyła znużoną, zarem słonecznym przyrodę, orzeźwiający wietrzyk poranny muskał kwiaty i rośliny i ożywił wszystko nową odwagą. Jeszcze słońce nie weszło a już we fabryce pana Hovelinga wrzało życie. Machiny poruszały się a właściciel odbywał zwykły przegląd wśród szeregów robotników, tu chwając, tam znowu zachęcając, w inném miejscu ganiąc, lecz zawsze okazując życzliwość dla swych podwładnych.

Pan Hoveling był to mężczyzna około pięćdziesięciu lat, silnej budowy ciała, z ogorzałą cerą i siwiejącymi już nieco włosami. Był on tém, co Anglicy nazywają *a self-made man*, gdyż po Bogu całe swoje mienie zawdzięczał swemu czynnemu umysłowi i skrzętnój pracy.

Powróciwszy do biura, zaczął przeglądać listy, które nadeszły w nocy kuryerem, lecz niebawem pracę tę przerwało wejście młodego człowieka w mundurze angielskiego porucznika.

— Już tak wcześnie na nogach, drogi Gilsonie? Czy istotnie chcesz nas opuścić dzisiaj?

— Muszę, służba wzywa mnie do Delhi.

Pan Hoveling podniósł się, wziął swój wielki kapelusz i rzekł do gościa z uśmiechem:

— Czy już pożegnałeś się ze wszystkimi?

Młodzieniec zarumienił się.

— Liany nie mogłem znaleźć, wie przecież, że dzisiaj odjeżdżam rychło.

— Pójdziemy obydwoj szukać jej. Może Liana oczekuje cię na wielkim trawniku.

Alfred Gilson smutno potrząsnął głową.

— Nie — odpowiedział — ona mię nie oczekuje, moja obecność zdawała się być dla niej tylko przykrą.

— Co też mówisz, mój drogi, nie nabijaj sobie głowy podobnemi myślami. Liana jest rozpieszczonem dzieckiem, to prawda, nie odmawiałem jej nigdy niczego, ponieważ była jedyną moją towarzyszką w tej samotności, nieraz też nadużywała dobroci swego otoczenia, gdyż wielcy i mali przywiązani są do niej całym sercem dla jej uprzejmości i hojności, służba z gorliwością spełnia najmniejsze jej życzenia a ja, którybym miał nieraz sposobność używania powagi, znoszę spokojnie małą tę tyranią, ponieważ uległość moją umie wynagradzać najczulszą pieczołowitością.

— Oceniam aż nazbyt dobrze zalety Liany — odpowiedział Gilson z westchnieniem — ale nie mogę sobie wytłomaczyć jej niechęci dla mnie.

— Liana ceni cię wyżej, aniżeli sądzisz; mam nadzieję, że zbudzi się w jej sercu głębsze dla ciebie uczucie. Wiesz, iż jest to mojem marzeniem, bym

cię mógł nazwać swym synem. Twój ojciec i ja cieszyliśmy się, myśląc, że nasze dzieci połączą się kiedyś bliższymi węzłami i ja nie tak szybko tracę odwagę, jak ty. Jakto, oficer Jój Królewskiej Mości, młody, piękny, inteligentny jak ty, nie powinien odstraszać się kapryсами młodego dziewczęcia!

— O, ja nie rzekłem się myśli zdobycia jój przychylności. Widziałem ją wzrastającą i znam skarby zacnych przymiotów, które się mieszczą w jój sercu; smuci mię tylko, że jedynie dla mnie chowa okrutne słowa.

— Między wami braknie tylko wzajemnego zrozumienia — rzekł pan Hoveling poważnie; — jutro pomówię z moją córką, tylko nie rób tak bolesnej miny, gdyż ona nie odpowiada twemu wiekowi. A teraz chodźmy odszukać Lianę.

Obydwaj panowie skierowali kroki w stronę wyżej wspomnianego miejsca. Było to ulubione ustroie władczyni tego małego królestwa. Wielka kwiatami obsiana murawa poprzerzybana przyrzadami wodociągowymi do skrapiania, szerzącymi chłód, otoczona lasem drzew podzwrotnikowych, wśród których najprzepyszniejsze ptaki nuciły swe pieśni, — samotność ta wydała się odblaskiem raju.

Pod naturalną oponą z lian, połączonych z krzakami róży i drzewami aloasowemi, młode dziewczę ułożyło się do snu. Oparta na prawym ręku na poduszce, pięknie haftowanej, w lewym trzymając świeżą gałązkę kwiatów, spoczywała w postawie na wpół leżącej na ławce z mechu; młoda Indyanka zaś bezustannie chłodziła ją ogromnym wachlarzem.

Liana zdawała się mieć zaledwie lat ośmnaście. Jój bujne, jasne włosy, delikatne rysy, biała cera nadawały wiotkiej postaci, coś czarodziejskiego w pośród ciemnych twarzy jój otoczenia. Indianie, którzy w białych uznają wyższą nad siebie rasę, byli pełni podziwu dla „perełki pustyni“, jak

nazywali Lianę, okazywali jęj cześć i miłość, jakięj tylko są zdolne owe nieokrzesane natury, gdyż Azyaci są równie namiętni w swęj uległości, jak dzicy w swęj nienawiści.

Pan Hoveling słusznie mógł być dumnym z córki, ale chociaż ją tak bardzo kochał, jednakże żywił on łatwe do zrozumienia życzenie, aby nie zbyt długo dzieliła z nim to samotne życie. Ostatnięj zimy zawiózł ją do siostry swojęj w Kalkucie, aby tam zapoznała się z wytworniejszem towarzystwem. Liany naturalna, bezpretensjonalna piękność i wdzięki niebawem uczyniły ją przedmiotem uwielbień wśród wyższych sfer towarzystwa i nie potraowało długo, a niejednen młodzieniec ubiegał się o jęj względy i rękę. Ale Liana odpowiadała zawsze, że nie myśli jeszcze wychodzić za mąż, ojciec zaś tem więcję nalegał na nią, im więcję pragnął wewnętrznie, aby ostatecznie rozstrzygnęła na korzyść syna jego przyjaciela młodości.

Alfred patrzył wzruszony na śpiące dziecko, ojciec zaś dotknął z lekka jęj rękę, by ją obudzić.

— A to ty ojczę — rzekła Liana — podnosząc zwolna piękne swe błękitne oczy. I pan także, panie Gilson? Myślałam, żeś pan już odjechał.

Gilson pochylił się, aby ująć jęj rękę.

— Nie mógłem odjechać, nie zobaczywszy pani — odpowiedział łagodnie — z odcieniem smutku w głosie.

— Już wczoraj wieczorem życzyłam panu szczęśliwęj podróży — odparła nieco chłodno.

Alfred, zmieszany chłodem dziewczęcicia, nie wiedział, co odpowiedzieć. Ojciec przyszedł mu w pomoc, żartując:

— Kobiety są jak róże, mój drogi, mają także ciernie.

— To zwiększa ich siłę przyciągającą, zauważył Gilson.

— Tak pan uważa? — zapytała Liana z uroczą miną, na cóż się pan skarżysz?

— Podbite serce nie liczy otrzymanych ran, wielbi rękę, która mu cios zadała.

— Taki pan dzisiaj sentymentalny! — rzekła Liana — śmiejąc się.

Pan Hoveling oddalił się, aby wydać służącemu rozkazy. Gilson zbliżył się do dziewczęcia. Liana zrozumiała manewr ojca, którego przychylność dla porucznika dobrze jej była znana. Miała żal do niego, że tak gorąco popierał zamiary nie-miłego jej konkurenta. Nie wiedziała sama, co miała Gilsonowi do zarzucenia; posiadał wszystkie warunki, jakie mogła stawiać wybranemu wedle swój myśli mężczyźnie. Nie mogła mu nic zarzucić, lecz nie czuła też żadnej do niego sympatii a ponieważ była przyzwyczajona zawsze postępować podług własnej woli, przeto nie zadawała sobie trudu, aby studyować jego charakter, albo powstrzymywać zły humor w obec niego. Oprócz tego próbował on kilka razy w przeciwieństwie do jej ojca stawiać jej opozycję, pouczać ją i nie poddawał się tak jak jej otoczenie jej władzy; może być, iż to wywołało pewną niechęć do niego.

— Odjeżdżam, Liano — zaczął Alfred — żoźnierz nie może nigdy powiedzieć, czy powróci, gdyż na wszystkich drogach czycha śmierć; czy pani nie masz uprzejmego słowa dla mnie na pożegnanie?

— Przyjaźń moja towarzyszyć panu będzie, ale proszę, nie wymagaj pan nigdy więć odemnie.

— Nigdy? — powtórzył oficer smutnie. — Nigdy! — to okrutny wyraz; nie zostawia nadziei, a bez nadziei życie tak jest smutne!

Liana zgmiotła bezwiednie świeże róże w palcach.

— Biedne kwiaty! — odezwał się Alfred szycerco. — Czy one zasłużyły na tak smutny los?

Pani niszczyś różę tak, jak łamiesz serca, zimno, nie dbając o jęki swęj ofiary!

— Nie wiedziałam dotąd, że jestem takim barbarzyńcą — odparła Liana urażona. — Teraz już mię pan robisz tyranem, któregó każdy musi się obawiać i unikać.

— Moznaby się obawiać, ale któżby znalazł odwagę, by unikać pani? — odpowiedział z gorącym spojrzeniem. — Bądź pani równie dobrą, jak jesteś piękną, powiedz mi, że mię pani już nienawidzisz i nie pozwól mi odjeżdżać bez przyjemnegó wspomnienia.

— Kiedy myślisz pan powrócić? — zapytała, unikając odpowiedzi.

— Za trzy miesiące, jeśli pani pozwoli.

— Nie mam prawa zabraniać panu tego; mój ojciec chętnie pana widzi u siebie, cieszy się, ilekroć pan przybywasz.

— A pani?

— Mnie zawsze miło, kiedy ktoś sprawia ojcu memu przyjemność.

Młodzieniec spuścił głowę zniechęcony.

— Zdaje się, że się znowu nie rozumiecie — odezwał się pan Hoveling, który niespostrzeżenie wysłuchał rozmowy młodęj pary.

Lianie podpadł poważny ton ojca; widocznie Gilson poprzednio musiał z nim mówić i zapewnił sobie jego poparcie. Nie miała jednakże ochoty ulegać żadnemu wpływowi przy wyborze męża, chciała go wybrać z własnej woli; że ojciec nie będzie jęj się długo opierał, o tęp wiedziała z góry. Oprócz tego nie przedstawiało to dla nięj żadnegó uroku, iż miała po prostu dłoń swoją złożyć w dłoń Alfreda, zostać jego żoną i spokojnie przy ognisku domowém pędzić życie, które rozpoczęła zaledwie. Z natury usposobiona romantycznie, a nadto pochłaniająca chciwie romanse, jak większa część panien, mających nie

wiele zajęcia, nabiła sobie głowę myślą, że pierwszym warunkiem do szczęśliwego małżeństwa jest, aby wielbiciel swą ukochaną zdobywał przebojem, pokonując tysiące trudności i niebezpieczeństw, aby narzeczona była nagrodą za jego męstwo i wierność.

Ilekróć jednakże w swych marzeniach ułożyła sobie taki romans, Alfred nigdy nie odgrywał w nim pierwszej roli.

Oficer uściśnął panu Hovelingowi rękę na pożegnanie.

— Do prędkiego zobaczenia, mój kochany! — rzekł tenże.

Alfred rzucił Lianie smętne spojrzenie, jak gdyby chciał powiedzieć, iż ona sobie tego nie życzy.

— Nie zatruwaj sobie humoru dla téj małej upartéj dziewczyny, — zaśmiał się pan Hoveling. — Liana pierwsza będzie ubolewała nad twoją nieobecnością.

— Gdyby to było prawdą! — rzekł Gilson, zwracając się z radością i pytaniem do młodéj dziewczyny.

Oczy jego i głos zdradzały tak wesołe wewnętrzne wzruszenie, że podpadło to Lianie; miała ona dobre serce i nie chciała młodzieńcowi, który pytająco patrzył na jêj usta, nowego dodawać cierpienia.

Rumieniąc się, wstrząsnęła jasną główką i podała Alfredowi na pożegnanie kształtne swe paluszki, które tenże przycisnął do ust serdecznie.

Pan Hoveling ujął młodého oficera za rękę i pociągnął za sobą. W chwili, kiedy opuszczali wielką łakę, nie mógł Alfred powściągnąć chęci zobaczenia Liany raz jeszcze. Liana odpowiedziała na jego ukłon, lecz oczekiwany uśmiech, który byłby uważał za znak przychylności i nadziei, nie zabłysł na jêj ustach.



Pan Hoveling wyrwał nieruchomo stojącego ze zadumy; poklepał go przyjaźnie po ramieniu.

— Co znaczy to zamyślenie! — zawołał.

Alfred drgnął.

-- Czy ją jeszcze zobaczę? Może byłoby lepiej nie powracać tu nigdy!

— Eh! któż widział zaraz tracić odwagę! Jeszcze nic nie stracone. Liczę na pewno na twoje przybycie przy najbliższym urlopie.

— Trudno mi będzie niedługo znowu uzyskać urlop.

— Dla czego?

— Nie wszystko w kraju jest w porządku. Z rozmaitych okręgów donoszą, że powstał ruch między krajowcami a o ile mi wiadomo, jeszcze dotąd nie udało się pochwycić podżegaczy. Pan wiesz, że Indyanie z przymusem tylko znoszą nasze panowanie a fakirowie bezustannie przepowiadają powstanie. Przeszły komendant Delhi okazywał się tak powolnym w obec krajowców, że ośmielili się oni otwarcie objawić swą nienawiść dla cudzoziemców; musiano przysłać innego komendanta, który surowiej zaczął postępować i w skutek tego wywołał wielkie rozdrażnienie. Nadto pułki krajowców są bardzo niepewne, tak, że nasze zadanie w danych okolicznościach mogłoby się stać bardzo niebezpiecznym i trudnym.

— Czy można się obawiać powstania?

— Mam nadzieję, że do tego nie przyjdzie; ale dopóki trwa takie naprężenie, nie powinni oficerowie opuszczać swego posterunku.

— Czy sądzisz, że i my możemy się czegoś obawiać?

— Wątpię, tutejszy okręg jest jednym z najspokojniejszych; oprócz tego nie miałeś pan powodu skarżyć się na swoich ludzi, zdają się mieć do pana

wielkie przywiązanie. Gdyby mimo to objawiło się niebezpieczeństwo, zawiadomię pana natychmiast, możesz pan liczyć na mnie.

— Wiem o tem, mój drogi! Na pierwszy sygnał trwogi zawiozę Lianę do méj siostry. W najbliższym czasie spodziewam się także nowego mojego współnika.

— To bardzo dobrze! Więc zdecydowałeś się pan wreszcie złożyć na inne barki część ciężaru, który przez lat tyle sam dźwigałeś!

— Tak ; już dwadzieścia lat pracuję ; chciałem memu dziecku zapewnić przyjemne życie. Dziś Liana jest bogatą i mógłbym odpoczywać, ale bezczynne życie jest mi wstrętne. Nadto przyłgnałem całym sercem do téj fabryki, którą założyłem i którą doprowadziłem do rozwoju na tym szmacie ziemi, na którym przeżyłem najpiękniejsze lata życia. Tutaj przywiozłem w dniu ślubu zmarłą moją żonę i tutaj złożyłem ją do wiecznego spoczynku po szczęśliwym, lecz niestety zbyt krótkim pożyciu. Wspomnienia te są mi drogie, tak samo i ludzie, którzy mnie otaczają, robotnicy, którzy dzielą moje trudy. Wszyscy w koło mnie cieszą się dobrobytem, córka moja czuje się tutaj zadowolona, jakież powód miałby mnie skłaniać do porzucenia tych stron? Jednakże czuję, że gorący klimat i ciężar zajęcia przyczyniły się do szybkiego zestarzenia się, siły moje wyczerpują się, muszę mieć jakąś podporę. Syna nie mam a nie liczę na to, aby mój przyszły zięć chciał mieszkać na tém pustkowiu. Dla tego wyszukałem sobie współnika, który pod mojem kierownictwem będzie interesa prowadził i ostatecznie obejmie całość. Polecono mi młodego Francuza, który w téj chwili jest bez miejsca ; widziałem go, wydaje mi się inteligentny i uczciwy i sędzę, iż odpowie moim życzeniom. Zawarłem z nim umowę na trzy lata, przekonamy się, czy się zrozumiemy

nawzajem. Jestto miły młodzieniec; jego rysy wyrażają szczerłość i otwartość.

Młody oficer, który do téj chwili słuchał z zajęciem, nie mógł powstrzymać pewnego uczucia niepokoju. Fabrykant dostrzegł to i kładąc rękę na ramieniu Gilsona, rzekł z dobrodusznym uśmiechem:

— Widzę, mój kochany, że już jesteś zazdrośny o mego nowego socyusza. To prawda, że jestto równie piękny, jak dzielny człowiek; na szczęście dla ciebie, posiada on śliczną żonę, która, jak mam nadzieję, zostanie przyjaciółką Liany. Uspokoikę się, nieprawdaż?

Młody porucznik uśmiechnął się.

— Nie popierałbym nigdy żadnego twego współzawodnika. Byłoby to zdradą, do którój nie uważasz mię z pewnością za zdolnego.

— O nie! pan jesteś najlepszym moim przyjacielem. Gdyby tylko Liana chciała myśleć tak samo!

— To się znajdzie, miéj tylko cierpliwość i więcej ufności w przyszłość i siebie samego.

Alfred uchwycił konia za cugle, wskoczył na siodło i popędził w towarzystwie swego luzaka, pożegnawszy raz jeszcze pana Hovelinga.

Liana z niecierpliwością oczekiwała chwili, w którój nowy współnik miał przybyć z młodą swoją żoną, o którój ojciec opowiadał tyle dobrego; cieszyła się już naprzód, że znajdzie przyjaciółkę, odpowiednią swemu wiekowi i położeniu. Ojcu zajęcia w fabryce mało pozostawiały czasu, aby mógł myśleć wiele o Lianie; dla tego też młode dziewczę prawie zawsze było pozostawione samo sobie i nie umiało nieraz wypełnić czasu wolnego. Indyjskie służebne stały na zbyt niskim stopniu wykształcenia, aby móżdż urozmaicić jéj życie i Liana była skazaną po większój części na marzenie i czytanie. A ja-

kiemu czytaniu oddają się młode panienki, zbyt jest znaną rzeczą.

Na przyszłość miało być inaczej. Miała znaleźć przyjaciółkę, towarzyszkę, powiernicę, z którą będzie mogła się dzielić myślami — gdyż Liana miała już wspomnienia.

W czasie swego pobytu w Kalkucie odniosła wrażenie, które nie łatwo zatrzeć się dało, które mąciło spokój jej duszy, władało jej marzeniami; wrażenie to sprawiało także, iż okazywała się tak obojętną dla Gilsona. Od powrotu zaszła w niej wielka wewnętrzna zmiana; na świeżej, wesołej twarzyczce osiadał niekiedy cień smutku, który jej szczególnego dodawał wdzięku.

Nowym współnikiem nie był nikt inny, jak Piotr Arnold i niebawem też przybył on do posiadłości pana Hovelinga.

Pokrewne umysły nie potrzebują wiele czasu na poznanie się, na powzięcie wzajemnej przyjaźni. Zaledwie Marta zobaczyła Lianę, gdy uczuła się tajemną jakąś siłą pociągniętą do tego pięknego dziecka, z miłym uśmiechem, a kiedy Liana wyciągnęła ku niej rękę, mówiąc:

— Będziemy przyjaciółkami? Tak bardzo cieszyłam się na przybycie pani! — wtenczas uszczęśliwiona Marta objęła młode dziewczę ramionami i odrzekła wzruszona:

— Z pewnością, drogie dziecko, będę cię bardzo kochała; powiedziano mi już, że nikt nie może żyć z tobą, nie pokochawszy cię.

Ta przyjaźń, dzieło jednej chwili, miała się stać trwałą. Liana i Marta były jakby stworzone dla siebie; niedoświadczone, marzące o ideałach dziewczę potrzebowało powiernicy, która wśród burzy życia nabrała doświadczenia, a dla Marty było to odpoczynkiem, że po tylu cierpieniach znalazła, zdala od wrzawy światowej, młodzieńczą, czystą duszę

która ją pokochała bez granic. Teraz nie brakło jej rozrywki. Marta stanęła na czele gospodarstwa domowego, a dla Liany prawdziwą nową rozkoszą było naśladować ją, porzuciwszy romanse i kształcić się pod kierownictwem doświadczonej przyjaciółki na praktyczną gospodynię.

Ojciec patrzył na tę zmianę w sposobie życia swjej córki jedynęj z przyjemnością i w głębi duszy miał nadzieję, że Marta późnięj nakłoni Lianę do wybrania rozsądnego towarzysza życia. Naturalnie nie omieszkał przy najbliższėj sposobności zakomunikować Gilsonowi tēj wiadomości i prosił go, aby najpierwszy czas urlopu spędził w jego posiadłości.

## V.

### *Bohater romansu.*

Nie trudno było Lianie dowiedzieć się niebawem od nowęj przyjaciółki o całej tajemnicy tak obfitującego w wypadki życia, którego jedynym jaśniejszym promieniem była serdeczna miłość dla Piotra. Młoda panienka nie mogła dosyć nasłuchać się z ust Marty szczegółów znanych nam już belesnych wypadków z dzieciństwa młodej kobiety, cierpien zaręczonej, podłości Aleksego Boyera i wreszcie szczęścia jej.

— O! droga Marto, — mówiło dziewczę wzruszone, — ileż to cierpień i troski musiałaś już znosić w swem życiu! Im więcéj myślę o tem, tem jestem szczęśliwszą, że teraz możesz żyć spokojnie wraz z mężem. Co to za szlachetna dusza, ten twój mąż! Jakże mu jestem wdzięczną z całego serca, że cię wyrwał z rąk tego szkaradnego huzara, jak jestem szczęśliwą, że losy was tutaj przywiady! Tutaj ten niegodziwiec nigdy cię nie znajdzie, z pewnością jest ztąd daleko, a może pokutuje w wię-

zieniu za swe zbrodnie. Czy ci się tak nie zdaje, Marto?

— Nie wiem, moja droga, — odparła Marta wymijająco. Nie uważała za potrzebne objawiać dziewczęciu, że mściwy prześladowca znajduje się tak blisko i że w danym razie mógłby ją znaleźć.

— O! jak ty musisz nienawidzić tego człowieka! — zawołała Liana.

— Nie mogę naturalnie mieć dla niego uczuć bardzo przychylnych, ale przebaczam mu z całego serca. Jestem zadowolona, że jest daleko od nas.

— Przebaczasz temu nędznikowi? To niepodobna!

— Nasza święta religia żąda, abyśmy nikogo nie nienawidzili, choćby to był nasz wróg śmiertelny.

— Ale czy taka nauka zgadza się z godnością człowieka?

— Z pewnością, moje dziecko, ona nawet podnosi człowieka. Bóg chce, aby człowiek w wykonywaniu swęj religii znalazł podstawę moralnej wielkości i ziemskiego szczęścia. Powiedz mi, cóżby się stało ze społeczeństwem, gdyby każdy miał ulegać uczuciom nienawiści i mściwości? Świat stałby się widownią najokropniejszych walk. Nie, moja mała przyjaciółko, Pan Bóg nie bez przyczyny sobie zatrzymał prawa sędziego, pozostawmy Bogu karanie złego. Czy sami nie czujemy potrzeby proszenia Go o przebaczenie, a czyby nam go nie odmówił, gdybeśmy się okazali nieprzejednanymi?

— Może masz słuszość; ale ewangelia nakazuje odplacać dobrem za złe. Czy przemogłabyś na sobie, aby temu człowiekowi, który ci wyrządził tak wiele złego, pomódz, gdyby ukazał ci się w potrzebie?

— Moja droga Liano, nie jestem świętą — odparła Marta, śmiejąc się. — Nie powinnaś mnie wystawiać na tak ciężką próbę. Czemu mamy so-

bie łamać głowę nad tém, co się może wcale nie zdarzy nigdy? Gdyby to jednakże kiedykolwiek miało nastąpić, to proszę Boga, aby mi dał siłę do panowania nad sobą.

— To pięknie, bardzo pięknie, — odpowiedziała Liana zamyślona; — takiego stopnia doskonałości nie osiągnęłabym nigdy!

— O z pewnością liczyć możesz na to. Ale, dzięki Bogu, nie zaznałaś tych wszystkich przykrości życia; twoje życie płynie tak spokojnie w tem uroczem miejscu pod opieką kochającego ojca! Czy jesteś szczęśliwa, Liano?

— Tak, — odpowiedziała, rumieniając się trochę.

Bystremu oku Marty nie uszedł ten rumieniec i spuszczone ku ziemi spojrzenie; czuła ona, że w tym młodocianym umyśle nastąpiła jakaś zmiana.

— Liano, — zaczęła znowu, — powiedz mi swoje marzenia, gdyż smutku nie mogłaś jeszcze zaznać!

— Moje marzenia? — rzekła dziewczę, rumieniając się jeszcze silniej. — Zbadaj tajemnicę melodyjnego śpiewu ptaka, zapytaj strumienia, co on szemrze, kwiatków, co opowiadają błyszczącemu motylowi! Często chętnie puszczam wodze wyobraźni a rzadko badam moje uczucia; piękny anioł, który łkowsze młodość w marzeniach, uleciałby, gdyby się usiłowało pochwycić go.

— Moja droga Liano, — mówiła Marta, — dla ciebie także nadejdzie lub może już nadszedł dzień, w którym te marzenia stracą niepewny swój charakter, kiedy twój ideał przybierze kształty, kiedy twoje serce otworzy się dla potężniejszego uczucia, które ogarnie całą twą istotę i stanowić będzie o losach twego życia.

Dziewczę słuchało słów swój przyjaciółki w milczeniu i mimowolnie wydało westchnienie.

— Masz tajemnicę, czy mam ją odgadnąć? — mówiła Marta dalej.

— Co chcesz powiedzieć? — zapytało dziewczę zmieszane; — mylisz się bardzo, jeśli myślisz o Alfredzie Gilsonie.

— Doprawdy? wszyscy tutaj głoszą jego pochwały; sądziłam, iż myślisz tak, jak inni.

— Nie, mnie się on nie podoba. Ojciec mój pragnie, abym wyszła za niego, ale ja oświadczyłam, że sama sobie wybiorę dozgonnego towarzysza.

— Jeżeli jednakże twój ojciec bierze stronę Gilsona, to jesto wielką dla niego rekomendacją.

— O, nie ujmuję mu bynajmniej zalet, lecz nie myślę sobie zadawać przymusu, aby udawać uczucia, których nie żywię dla niego.

— Pod tym względem masz niezawodnie najzupełniejszą słusność, ale czy zawsze tak myślałaś o Gilsonie?

— Jakże nalegasz na mnie, Marto! ale trudno pomijać twoje pytania. A więc powiem ci wszystko. Obecność Alfreda była dla mnie często miłą rozrywką wśród samotności; uważałam go jako przyjaciela, który często okazywał się surowym w obec mnie, lecz był mi szczerze oddanym. Jednakże uczułam się bardzo zdziwioną, kiedy pewnego dnia wystąpił jako starający się o moją rękę, gdyż nigdy nie stawiałam sobie pytania, czybym wyszła za niego.

— I téj śmiałości nie przebaczyłaś mu do dnia dzisiejszego? — zapytała młoda kobieta wesoło.

— Ze względu na ojca byłabym sobie życzyła, abym nie potrzebowała mu dawać odmownej odpowiedzi, ale, Marto, ja nie mogę go kochać — serce nie należy już do mnie saméj

— Nareszcie padło owo wielkie słowo! Pobudzasz moją ciekawość! I któż jest owym szczęśli-



wym z śmiertelników, który ściągnął twoją uwagę na siebie?

— Jak ci go mam opisać? Może go znasz, nie wiedząc o tem; mieszka w Kalkucie. Poznałam go w salonach generał-gubernatora. Jest młody, piękny, uprzejmy; jego umysł, żywość, ułożenie odróżniają go bardzo od pana Gilsona, który w ułożeniu i toalecie zawsze jest tak poprawny, zimny i sztywny.

— Z tego nie mogą jeszcze sobie wyrobić sądu o nim. Naszkicuj mi jego portret!

Liana wyjęła z biblioteczki, zaopatrzonej w bogato oprawne dzieła, książkę, przerzuciła kilka stronnic i z błyszczącemi oczami, świeżym, dźwięcznym głosem cdczytała następujący ustęp: „Rudolf był Francuzem; posiadał wszystkie zalety i wady swego narodu, świetne zdolności, które błędy jego w oczach wielu a mianowicie kobiet zamieniały w zalety. Miał charakter szlachetny i był człowiekiem wielkiej odwagi, przytem niezłomnej woli, która nie wahała się w obec żadłej przeszkody. Jego postać miała cechę męskości, z podniesioną głową spoglądał śmiało w życie, na czole, otoczonem ciemnymi, gęstemi włosami, ukazywało się kilka przedwczesnych zmarszczek, świadczących o głębokiem myśleniu lub gorzkich doświadczeniach; usta jego okalał to ujmujący uśmiech, to znowu ściągały się one z wyrazem goryczy. Jego oczy, jaśniejsze od stali, wyrażały stanowczość niezachwianą i płonąca ambicyą; blizna na lewym policzku budziła mimowolnie myśl o przebytych niebezpiecznych przygodach. Coś tajemniczego mieściła w sobie ta wspaniała postać, która budziła równocześnie szacunek, podziw i miłość, lecz obcego trzymała w odpowiedniem oddaleniu. — Jaką była przeszłość tego szczególnego człowieka, który wszędzie budził podziw i zaciekawienie, lecz tego ostatniego nie raczył zadowalniać nigdy? Nieświadomy swój wła-

snój potęgi, kroczył on naprzód, otoczony pancerzem obojętności tak w obec miłości, jak nienawiści. Czy szukał rozwiązania jakiego wielkiego zadania lub zapomnienia o dokonanych przestępstwach? Czy w umyśle swoim układał plan, mający świat zmienić, lub knuł zamiary mściwe obrażonego? Coś niepokojącego, złowrogiego spoczywało w ruchliwym jego spojrzeniu. To serce, rozczarowane w gorzkiej walce, nie znało spokoju....“

Marta przerwała Lianie wesołym śmiechem.

— A więc nawet na tém pustkowiu błakają się książki z tak śmieszłą, przesadzoną treścią! O, moja kochana Liano, radzę ci, szukaj pogodnego i otwartego czoła, które w swych fałdach nie kryje brzydkiej tajemnicy, poczciwego, serdecznego spojrzenia, w którym się odbija piękna dusza, uśmiechu, który ci objawia serce bez obludy, głosu, w którego dźwięku drgają szlachetne uczucia. Pozostaw niezdrowym romansom ich ciemne, niezrozumiałe osobistości, niech cię nie zajmuje tajemniczy bohater, któryby złamał twoje poczciwe serce i na twoje młode, szczęśliwe życie rzucił zasłonę wiecznego smutku!

Liana odrzuciła książkę z gniewem.

— Nie powinnam była mówić z tobą o nim! Nie możesz mię zrozumieć.

Marta ujęła ręce dziewczęcia serdecznie.

— Nie gniewaj się, moja kochana! Wiem, że w twoim wieku wszystko, co romantyczne ma szczególniejszy urok. Ale ja znam życie lepiej, ponieważ cierpiałam wiele. Liano droga, niech cię Bóg strzeże od tego, abyś kiedykolwiek miała pokochać człowieka, któryby był podobnym do Rudolfa twoich marzeń!

— Gdybyś go znała, Marto, nie mówiłabyś w ten sposób! — rzekła Liana, która pomimo tej opozycji była szczęśliwą, że mogła przyjaciółce obja-

wić tajemnicę serca swego i mówić z nią o przedmiocie swych marzeń. Widzisz, Marto, że cię tak szybko pokochałam, pochodzi nasamprzód ztąd, ponieważ mi się podobałaś, a potem i dla tego, że pochodzisz z tego samego, co on, kraju.

— Czy on jest Francuzem? — zapytała młoda kobieta, która uczuła nagłą trwozę.

— Tak, jesteście ziomkami.

— A jego nazwisko? Znam kilku moich współziomków w Kalkucie.

— Czy mam ci powiedzieć?

— Wątpisz o méj dyskrecyi?

— O nie! ale wzrusza mnie to mocno, iż mam wyjawić jego imię.

Marta drżała; jój wzrok badał pilnie wyraz twarzy przyjaciółki.

Liana objęła Martę czule za szyję i rumieniąc się szepnęła jój do ucha:

— Nazywa się — Jan Dumont!

Młoda kobieta drgnęła gwałtownie.

— Marto, co ci jest? — zawołała Liana, cofając się zdziwiona. — Czy go znasz? Dla czego drżysz? Twoje oczy lez pełne!

— To nic, nagle osłabienie, nie obawiaj się. już mi lepiej!

— Marto! czy ty znasz pana Dumonta?

— Pana Dumonta? We Francyi nie słyszałam nigdy tego nazwiska, a w Kalkucie żyliśmy w odosobnieniu.

— A! to jest dla mnie wielką ulgą — rzekła Liana, ocierając oczy. — Twoje wzruszenie budziło we mnie obawę, że wiesz o nim coś niekorzystnego.

— Czy kochasz pana Dumonta istotnie? — dodała Marta.

— O tak, w każdym razie więcej, niż kogośkolwiek innego.

— A czy on ciebie także kocha?

— Nie mówił mi tego nigdy.

— Czy nie domyślasz się tego, chociaż ci nie mówi?

— Mój bohater jest niezbadany — zaśmiała się Liana — jednakże zdaje mi się...

— Że cię kocha? O, gdyby był zdolny powziąć prawdziwe, szczere uczucie miłości — to musiałby je zwrócić do takiego anioła, jak ty!

— Ale któż ci powiada, iż nie jest do tego zdolny?

— Nie wiem, lecz portret, który mi nakreśliłaś, niepokoje mię. Czy znasz tajemnice przeszłości, oceniające jego czoło, jak mi co dopiero przeczytałaś?

— Ach! to są fantazyje, które stworzyła wyobraźnia pisarza! Jestem przekonana, że pan Dumont może spoglądać wstecz na zaszczytną przeszłość; w Kalkucie zażywa on wielkiego znaczenia, całe wyższe towarzystwo szuka z nim stósunków.

— Zkąd on pochodzi? Zkąd posiada majątek? Dla czego, będąc samotny i bogaty, opuścił swoją ojczyznę? To wszystko trzeba wiedzieć, by mógł sąd wydać o nim.

— Marto, uprzedziłaś się do pana Dumonta, znać zaraz, że go nigdy nie widziałaś. Ale znowu zbladłaś, słabo ci — zawołam Korę!

— Nie, Liano, trochę zawrotu głowy z gorąca. A teraz opowiedz mi, w jakich okolicznościach poznałaś tego człowieka?

— Słuchaj więc. Było to w czasie mego pobytu w Kalkucie. Poszłam z ciotką moją na bal do generała gubernatora. Tam nie zaszło nic nadzwyczajnego, poznałam młodego Francuza, który zwracał na siebie ogólną uwagę i zdawało mi się, jakoby mnie trochę wyróżniał. Być może, iż się myliłam. Tańczyłam z nim kilka razy, znalazłam

ż jest przyjemny, dowcipny, wykształcony i bezwiednie zachowałam w sercu rysy jego. Ale, droga Marto, nie jesteś zdolną słuchać mego opowiadania, twoja bladeść przeraża mnie, wyjdźmy trochę na świeże powietrze.

Młoda kobieta przyjęła ramię dziewczęcia i obiedwie przeszły wolno wielką łąkę. Serce ścisnęło się Marcie na myśl, że to dobre, niewinne dziecko, które kochała, jak siostrę, oddawało serce temu nędznikowi, który czynił sobie okrutną igraszkę. A jednak nie mogła się zdecydować na to, by Lianie odkryć całą przeszłość Dumonta, nie śmiała roztoczyć przed nią obrazu hańby i przewrotności, o jakiej niewinny jej umysł nie miał wyobrażenia. Ale w jaki sposób miała Lianie wybić z głowy uczucie, które przy jej południowo-gorącym charakterze mogło łatwo wyrodzić się w namiętność i doprowadzić ją do zguby?

Z swjej strony Liana nie umiała sobie wytłumaczyć nagłego przerażenia Marty; zresztą tak silnie była przekonana o zaletach swego ideału, że każde powątpiewanie bolało ją mocno. Marta przecież nie знаła Dumonta. Uspokoila się też niebawem i kiedy wreszcie powierzała Martę opiece służebnej, rzekła:

— Nie prawdaż, droga Marto, pomówimy później więcej w tym przedmiocie; mam kilka jeszcze szczegółów do zakomunikowania ci i mam nadzieję, że się niebawem przekonasz, iż nie bez przyczyny zwróciłam uczucie do tego młodzieńca.

— Liano, — odparła ta ostatnia, — posłuchaj rady przyjaciółki, która ci szczerze jest życzliwą. Zanim pozwolisz rozwinąć się uczuciu, które później trudno ci będzie powściągnąć, prosz przed twego ojca, aby zasięgnął informacyi o tym cudzoziemcu; zanim go pokochasz, musisz wiedzieć, czy jest tego godny.

— Chciałam już kilka razy pomówić o tem z ojcem, ale się lękam, że nie będzie zadowolony.

— To poczekał na pomyślną sposobność i nie bierz mi za złe, jeżeli w téj sprawie nie dzielę twego zdania; nie pragnę niczego więcéj, jak widzieć cię szczęśliwą.

— I będę też szczęśliwą! — zapewniała Liana z promieniejącem spojrzeniem. — Porzuć twe obawy i uspokój się. Mam nadzieję, że twoje niedomaganie nie pociągnie żadnych złych następstw za sobą.

Młoda kobieta uspokoiła Lianę, ale skoro tylko drzwi się za nią zamknęły, wybuchnęła łzami i mówiła:

— O! mój Boże, czyż wszyscy, którzy mię kochają, muszą dzielić moje nieszczęście!

Niebawem jednakże uspokoiła się. Nowa myśl powstała w jéj umyśle:

— Może Bóg nas tu zesłał, abyśmy to dziecko wyrwali ze szpon tego potworu?

Z tą myślą zasnęła!

## VI.

### *Jan Dumont.*

Zaledwie minęły dwa lata od chwili, jak Dumont przybył do Kalkuty, a już zdobył wybitne stanowisko. Szczęśliwe spekulacye powiększyły znacznie jego majątek, a wielki przepych, jakim się otaczał, nadawały mu jeszcze świetniejszy pozór, aniżeli było w rzeczywistości. Inteligentny, zręczny, przemyślny, obdarzony śmiałym zmysłem przedsiębiorczym, przytém wytworny w wystąpieniu, stał się dawniejszy huzar i złodziej poszukiwaną osobistością w stolicy. Mianowicie okoliczność, że był kawalerem, ułatwiała mu wstęp do wszystkich towarzystw i niejedna matka dorosłych córek pragnęła go mieć za zięcia. Majątek i wysokie stanowisko odgrywają

tak wielką rolę w rozdziale o małżeństwach a Dumont mógł jedno i drugie rzucić na szalę. Podobała mu się ta rola, która pochlebiała jego nienasyconej ambicyi; przytém był on całkiem obojętny na względy świata kobiecego, a ta obojętność, wyglądająca na lekceważenie, przyczyniała się do obudzenia większego jeszcze zajęcia się romantyczną jego osobą.

Pomimo tego pozornie pozazdroszenia godnego stanowiska, nie miał Aleksy Boyer ani pokoju, ani nie znał radości; marszczenie czoła i złowrogie spojrzenia jego oczu świadczyły o nieczystym płomieniu, który w nim nurtował. Napróżno usiłował, tworząc śmiałe projekta i rzucając się we wir uciech, stłumić w sobie wyrzuty sumienia — ponure widmo przeszłości ukazywało się zawsze; z po za firmy bogatego maklera Dumonta, wylaniała się zawsze postać Aleksego Boyera i wiecznie widział otchłań, w którą zepchnął swego wuja. Nigdy nie zaznał udręczeń złego sumienia tak bardzo, jak teraz, kiedy był bogaty i poszukiwany, kiedy mu tylko brakło tego, czego nie mógł zdobyć za cenę całego bogactwa: uczciwój przeszłości. Był zbrodniarzem, a kto raz ma to przeświadczenie, ten rzadko kiedy posiada odwagę do nawrócenia ze złój drogi, chyba, że wyższa potęga przyjdzie mu w pomoc; spieszy dalej swoją drogą, popętnia zbrodnią po zbrodni, aż wreszcie miara, grożąca przepelnieniem, wzywa sprawiedliwości Boskiej.

Niekiedy mówił Aleksy sobie, że może znajdzie spokój w małżeństwie. Towarzystwo miłej żony, której dłoń pieścizotliwa gładziłaby chmurne czoło, której uśmiech rozpraszałby wewnętrzne burze, wydało mu się najbardziej pożądaném dobrem, jako jedyna rzecz, któraby jego posepnemu życiu nadawała jakiś urok. Pod wpływem chwilowego wrażenia podobnych uczuć, ucześniezał Dumont w towarzy-

stwa, okazywał się wesoły, błyszczał osobistemi zaletami, był uprzejmy dla kobiet — potem nagle popadając w dawną swą rozpacz, uciekał od tych samych towarzystw, w których bywał co dopiero i szedł polować na lwy i tygrysy w sąsiednich lasach dziewiczych.

Na jednej z zabaw, które zgromadzały w pałacu brytyjskiego generał-gubernatora cały świat elegancki, spotkał Dumont pannę Hoveling, Jój piękność, jój naturalne, uprzejme ułożenie, niewinny wyraz wielkich, błękitnych oczu zrobiły wrażenie na awanturniku. Jak podróżny, który zbłąkawszy się wśród skwarnej, piaszczystej pustyni, spostrzeżąc chłodny, orzeźwiający źródło, i odświeża serce i usta u czystego strumienia, tak i Aleksęgo, którego pożerała nienawiść i wyrzuty sumienia, orzeźwiło obcowanie z tą niewinną, młodocianą duszą.

Liana niedoświadczona i ufna, jak dziewczęta w jój wieku, wielką znajdowała przyjemność w słuchaniu Francuza a wielką rolę, jaką odgrywał w mieście, skłaniała ją do chętnego przyjmowania jego hołdów. Widziała zazdrosne spojrzenia swych towarzyszek i doznawała jakby uczucia tryumfu, że właśnie ona była zdolną przykuć do swego rydwanu najbardziej poszukiwanego młodzieńca w stolicy.

Jakiego rodzaju było to uczucie Dumonta dla młodej Angielki? Prostą fantazją. Uważał Lianę za miłą towarzyszkę; był dumny z swego powodzenia, które budziło zazdrość niejednego młodego oficera i bez delikatności i sumienia przyjmował bezwiedne objawy kielkującej miłości, nawet zachęcał ją, nie troszcząc się bynajmniej, dokąd to doprowadzić może.

— Mój drogi, jesteś niesłychanie szczęśliwym człowiekiem — odezwał się do niego angielski major na pewnym wieczorze takim — wszystkie nasze piękności mają oczy tylko dla pana, nie ma ani



jednej z panien, któraby się nie zgodziła jak najchętniej zostać panią Dumont — na cóż pan jeszcze czekasz, by dokonać wyboru?

— Wśród tylu pięknych kobiet wybór nie łatwy.

— Chcesz mi odpowiedzieć wymijająco, panie Dumont; nie zadawaj pan sobie tego trudu, każdemu wiadomo, na kogo zwrócone są pańskie oczy.

— Doprawdy?

— Tak, na pannę Hoveling, czy możesz pan zaprzeczyć temu?

— Jest zachwycająca; podziwiam ją, jak pątnik, który klęczy przed pięknym obrazem madonny, ale dalekim jestem od nałożenia sobie kajdan małżeństwa.

— O! o, mój panie! — protestował Anglik.

— Kajdany z kwiatów, jeśli pan chcesz, nie mniej jednak pęta.

— Wy Francuzi jesteście lekkomyślni, nie pamiętający nigdy o poważnej stronie życia!

— Przepraszam pana, protestuję przeciw temu zarzutowi. Był czas, kiedy bez żalu byłbym ofiarował swoją wolność, ale od owój chwili praca i troski tak wypełniły moje życie, iż nie miałem jeszcze czasu powrócić do marzeń młodości.

— Jeszcze to nie stracone, kochany panie, sposobność nadarza się wyborna, aby sobie wynagrodzić długie czekanie. Panna Hoveling jest uroczem dziewczęciem, świetnie wychowanem a przytém posiada piękny majątek; żaden młodzieniec w położeniu pańskiem nie namyślałby się ani chwili, by zdobyć taką żonę.

— Wierzę chętnie; zasługuje ona na wszelką pochwałę.

— Cóż więc masz pan jeszcze do zarzucenia?

— O nic — ona jest wartą lepszego męża, aniżeli ja byłbym nim.

Dumont wymówił te słowa niezwykle poważnym głosem. Mimowolnie przyznał on sam sobie, że wyrządziłby młodemu dziewczęciu zniewagę, gdyby chciał ją przykuć do siebie. Ale nie przeświadczenie o swój niegodziwości powstrzymywało go od starania się o rękę Liany, byłby bez skrupułu złamał to serce i może byłby jeszcze doznał fanatycznej radości przytém, gdyż dla zepsutej natury często bywa rozkoszą, gdy widzi innych w prochu się tarzających, a ich cierpienia wydają się ukojeniem własnych. Co go powstrzymywało, to najprzód niepokonany wstręt do regularnego życia a potém obawa, iż to mogłoby dać sposobność do zasięgnięcia informacyi o nim. A Marta? Czy miał wyrzec się jój i porzucić myśl o zemście? Przenigdy, życie jego miało tylko jeszcze jeden cel a ten musiał osiągnąć koniecznie.

— Panie majorze — rzekł wreszcie stanowczo — nie chcę się żenić, nie mówmy już o tém.

Rysy oficera spochmurniały.

— Jeśli takie jest pańskie postanowienie, panie Dumoncie, to nie pojmuję, dla czego pan przy każdej sposobności wyróżniasz pannę Hoveling swemi grzecznościami?

— Jestto bardzo naturalne. Ta młoda panielka jest bardzo piękna i miła, jój towarzystwo bawi mię, szukam jój i ona chętnie mię widzi. Nie lubię bawić się w Katona, mógłbym raczėj uchodzić za ucznia Epikura, gdyż biorę to, co mi sprawia przyjemność. Z pięknością tak samo, jak z różą, jeśli nie wolno jój zerwać, to przynajmniej wolno napawać się jój wonią cokolwiek.

— Takie słowa są niegodne człowieka honoru! — zawołał major z oburzeniem; — żałuję, iż to panu muszę powiedzieć, panie Dumoncie, ale zasady takiej moralności muszą panu wzbronić przystępu do każdego salonu.

— Mój panie, czy pan masz zamiar mię obrazić? I ja byłem wojskowym!

— Wiem o tém; jaki stopień miałeś pan w wojsku francuzkiem?

Aleksy zarumienił się i wybąknął jakieś przeproszenie.

— Bierz pan moje wyrazy, jak zechcesz, nie cofam nic, — dodał major z dumą.

Dumont, który nie chciał, aby rozmowa taki przybrała przebieg, rzekł:

— Złe pan mnie zrozumiałeś, biorąc moje słowa na seryo, gdy tymczasem były one lekkim żartem.

— Chcę temu wierzyć, jednakże musisz pan przyznać, że żart ten nie był wcale na miejscu.

Rzekłszy to, z wielką godnością odwrócił się od byłego huzara.

Ten równie niezadowolony ze siebie, jak i z oficera, opuścił salę balową; długo błąkał się po ulicach stolicy, rozmyślając nad swem awantur-niczem życiem, które mu się wydało nieznośniejszem, niż kiedykolwiek. Nie znalazł jednakże sposobu na odwrócenie klątwy od siebie. Droga do uczciwego życia, któreby mu pozwalało używać szczęścia, jakiego doznawało tysiące innych, była dla niego — złodzieja — zamkniętą.

Zima minęła wraz z zabawami, Liana znajdowała się znowu w posiadłości swego ojca, Arnold zaś opuścił Kalkutę tak, że Dumont nie wiedział, dokąd się udał. Pewnego dnia zawezwał Yanka do siebie.

— Mam z tobą do pomówienia! — rzekł Dumont krótko.

— Sługa wasz czeka na zlecenie.

— Czas wielki, abyśmy coś przedsięwzięli, chcę wreszcie dojść do celu.

— Tylko wola mego pana powstrzymywała mnie dotąd.

— Mam powód do działania, jak uczyniłem; zresztą nie pragnę ściągać na siebie nieprzyjemności.

— Spuśćcie się na mnie, panie; jeśli mi powiecie: idź! to pójdę, plan już mam gotowy.

— Tak? i jakiż on jest? Muszę go znać. Wiesz, że płacę ci obficie i żądam milczenia.

— Będę memu panu wiernie służył i usta moje będą zamknięte jak u umarłego.

— Gdzie jest Arnold?

— O ile się dowiedziałem, to jest on współnikiem bogatego fabrykanta Hovelinga i znajduje się w jego posiadłości.

— Doprawdy? A więc uszedł przed moją pogonią?

— Pogoni Indyanina nie ujdzie żywa dusza. Przywykliśmy iść za śladem nieprzyjaciela w największą gęstwinę dziewiczego lasu.

— Co zamýślasz tedy robić, Yanko?

— Posłaniec, którego wysłałem do Delhi na zwiady, donosi, mi, że w kraju wzmaga się niezadowolnienie w obec Anglików; jeśli tak pójdzie dalej, doczekamy się niebawem powstania.

— Co to ma z naszą sprawą wspólnego?

— Czy nie pojmujecie, panie, że wśród takiego zamętu łatwo będzie pozbyć się nieprzyjaciela bez zwrócenia na siebie uwagi?

— To prawda, jesteś zręcznym chłopcem, mów dalej.

— Ja wyjadę. Znam owe okolice doskonale, gdyż to są moje strony rodzinne. Odwiedzę wodzów szczepów i rozniecę ich nienawiść. Rozdmucham wzburzenie fakirów i fanatyzm Indyan przeciw tym przeklętym Anglikom. Przez to usłużę memu krajowi i moim braciom i znajdę sposobność zemśczenia się na naszym wrogu.

— Ale słuchaj, Yanko, to nieszczęście nie ma osiągnąć pana Hovelinga i jego córki, gdyż tylko Arnold jest moim przeciwnikiem.

— Panie, kiedy dzikie bestye lasów wychodzą na łup, to nic nie ukryje się przed ich zębami; tę samą krwiożerczą naturę mają Indyanie — kiedy wybuchnie powstanie, nie oszczędzają nikogo.

Trupia bladeść pokryła rysy Dumonta.

— Ależ ja nie chcę, aby zamordowano Martę!

— Biorę na siebie jój ocalenie.

— Czy nie mógłbyś osiągnąć naszego nieprzyjaciela bez gubienia tylu niewinnych?

— Nie w mojej mojej mocy leży przeszkodzić powstaniu; przedź czy później wybuchnie ono z pewnością, lecz użyję go na to, aby wam służyć.

— Nie żądam niczego więcej nad to, aby panu Hovelingowi i jego córce nie stało się nic złego.

— Dobrze, postaram się o to.

— Kiedy zamysłasz wyjechać, Yanko?

— Już dzisiaj, panie, jeśli pan pozwoli.

Aleksy wręczył mu sakiewkę pełną złota.

— Nie szczędź niczego, byleby mieć powodzenie.

Indyanin skłonił się przed swym panem i cofnął się z spuszczoneym ku ziemi wzrokiem. Z cicha mruknął do siebie samego:

— Ci biali, to nędznicy; będę działał za ich pieniądze i pomszczę mój kraj, krew Anglików popłynie, jak popłynęła krew naszych ojców.

Jan Dumont zaś myślał:

— Ten Yanko to niegodziwiec, będę musiał uwolnić się od niego, skoro tylko spełni moje zlecenia.

Złodziej i dobrowolny zabójca znajdował się na drodze do zdradzieckiego morderstwa.

## VII.

### *Spisek.*

Ciężka atmosfera spoczywa nad znużoną przyrodą, ciemne chmury zasłaniają gwiazdy. Żaden wietrzyk nie porusza listkami, tylko przeraźliwe ryki zwierząt dzikich przerywają głuchą ciszą nocną.

Niedaleko od rąbka lasu, który można było widzieć z posiadłości pana Hovelinga, rozłożyło się obozem około dwudziestu ludzi w koło wielkiego ognia, który rozniecili, aby odstraszyć dzikie zwierzęta. Czerwonawe płomienie stosu drzewa, złowrogo oświecone, miedziane twarze Indyan, ich oczy ciskające płomienie, kudłate brody, zatknięta za pasy broń — wszystko to nadawało im groźną postać. Siedzieli na sposób wschodni z założonemi na krzyż nogami, paląc tytoń i rozmawiając.

Wśród nich widać człowieka, którego można wziąć za widmo. Zaniedbane włosy jego podobne są do grzywy lwa, chude ciało i długa broda są pokryte brudem, horyzontalnie wyciągnięte ramię jest sztywne, paznogie wrosły w ciało palcy. Nieszczęśliwy cierpi niezawodnie wielkie bóle, lecz zdaje się być obojętny na nie; ruchliwe oczy, ciągle niepokój zdradzają wzburzenie, blizkie szaleństwa.

Jest to fakir, jeden z owych fanatycznych zwolenników bałwochwalstwa dla Brahmy, którzy przez umartwianie samych siebie i ćwiczenia religijne, jako też przez zręczność we wszelkiego rodzaju kuglarstwie i wróżbiarstwie otumaniają ludzi i po większej części wielkiego doznają u swych współwyznawców poszanowania.

Zgromadzeni w koło niego Indyanie wyglądają na zbójców, którzy są gotowi do wszystkiego.

Wtém rozlega się świst donośny; na znak przywódcy milknie każdy i stoi nieruchomie z ręką na sztylcie u pasa.

Znowu świst się powtarza.

— Na nogi! — woła przywódzca.

Indyanie poruszają się, zwijają maty, zapewniają się, że broń w porządku i w oczekiwaniu otaczają dowódcę.

Z gestwiny wychodzi ludzka postać; Indyanie uspokojeni, iż mają do czynienia z jednym tylko, pozwalają mu się zbliżyć.

— Kto jesteś? czego chcesz tutaj? — pyta przywódzca.

— Jestem jednym z waszych, wysłuchajcie mię.

— Najprzód dowiedz, iż nie jesteś zdrajcą.

— Przyszedłem tutaj sam; życie moje znajduje się w waszych rękach. Nie potrzebujecie się zatem niczego obawiać.

— Znam tego człowieka — odezwał się fakir — ręczę za jego wierność, pozwólcie, niech mówi.

Nowoprzybyły zamienia z fakirem spojrzenie porozumiewawcze i pewny jego opieki, siada przy ognisku.

— Czy nam powiesz teraz, co cię tu sprowadza? — pyta dowódcza.

— A więc słuchajcie. Przebyłem całą krainę Delhi. Wszędzie panuje od czasu przybycia nowego gubernatora wielkie niezadowolenie. Cypajowie (krajo-  
wici żołnierze) objawiają brak karność; namówiony przez sąsiednich Rajasów, podniesie pułk w najbliższych dniach bunt i wyda tem samem hasło do ogólnego wyćpienia białych; ma nastąpić wielki rozbój, a nasi powinni podzielić między siebie wielkie bogactwa Anglików.

Fakir, przerywając Indyaninowi, zawołał z zapalem:

— Wreszcie więc nadszedł dzień, który wywołały nasze modlitwy i nasze cierpienia; bogom sprzykrzyła się dłuższa obecność cudzoziemców na tej świętej ziemi. Biali skalali niwę naszą i zrosili ją krwią naszych braci. Zbezczeszcili oni naszą świątynię, pogruchotali wyobrażenie bóstw, które czcili nasi ojcowie i rozsypali je w gruzy. Niechaj będą przekłęci bluźniercy, ciemieźcy, którzy nas zmuszają do życia, jak wyrzutki na świętej ziemi indyjskiej, którą wielki Duch stworzył dla nas! Odwagi przyjaciele! Godzina walki zbliża się, już widzę białych pokonanych! Tylko bez tchórzostwa, bez litości, mordujcie bez miłosierdzia, niech krew przeklętych płynie strumieniami, Yama (bóstwo śmierci) żąda ofiar! Nie pozwólcie się powstrzymać od tego dzieła zadosyćuczynienia widokiem złota, nasi bogowie przemawiają do was przez moje usta, rozkazują wam, abyście pomścili niegodziwości i zniewagi Europejczyków!

— Zemścimy się! — zawołali wszyscy jednogłośnie.

Indyanin, który wiadomość o blizkim powstaniu przyniósł najpierwszy, mówił dalej:

— Wszędzie nasi przyjaciele są przejęci równym zapałem, najznakomitsi fakirowie chodzą od pokolenia do pokolenia, powtarzają wszędzie święte słowa, które słyszeliście i wszyscy przysięgają zemstę i przygotowują się do walki za znieważonych bogów i ujarzmioną ojczyznę. Skarby białych są niezmierzone, dostaną się one w ręce wiernych czcicieli Brahmy. Zapropnuję wam teraz korzystny interes.

— Mów! — rzekł dowódzca.

— Ila ludzi masz do rozporządzenia?

— Mamy stu pięćdziesięciu mężnych wojowników.



— Dobrze. Słuchajcie więc, co macie czynić. Skoro tylko wybuchnie powstanie pułku w Delhi, należy napaść na mieszkania białych. Niedaleko stąd leży posiadłość bogatego Anglika Hovelinga; jeśli zechcecie pomódz, będzie należało do was wszystko, co tam znajdziecie.

Oczy dzikich zabłysnęły chciwością.

— Hovelinga uwięzicie, ale oszczędzać będziecie jego życie.

— Wszyscy biali muszą umrzeć! — protestował fakir — podnosząc ku niebu wychudłe ramię i rzucając Indyaninowi, który zrobił ową propozycją, groźne spojrzenie.

Ten zaczął znowu:

— Wspólnik Hovelinga, Francuz, który przybył dopiero niedawno, jest zaciętym wrogiem Indyan i gardzi naszymi bóstwami; musi on umrzeć a jego ciało niech pochłona płomień. Dwudziestu pięciu dzielnych mężów pod moimi rozkazami uwięzie córkę Hovelinga i żonę Francuza; dostaniecie wysoką nagrodę, jeśli te kobiety dostaną się zdrowo i cało do rąk mego pana.

— Białe kobiety należą do zdobyczy, odezwiał się dowódca i nie pozwolił ich zabrać nikomu. Co nas obchodzi twój pan, nie potrzebujemy go wcale.

Korzystając z wzburzenia chwilowego, zbliżył się jeden z Indyan do przybysza i szepnął:

— Co nam dasz, jeśli ocalimy kobiety?

— Żądajcie, czego chcecie.

— Dobrze, podejmuję się dostawić owych dwudziestu pięciu mężów, ale musimy milczeć i udawać, jakobyśmy się godzili na zdanie wodza.

Yanko zwrócił się znowu do innych:

— Czy mogą na was liczyć?

— Tak, we walce bez litości — odpowiedzieli zbóje. — Śmierć Anglikom! Ani jeden nie ujdzie żywy!

— Więc rzecz skończona! — zdecydował Yanko — kiedy nadejdzie odpowiednia chwila, doniosę wam. Kapitanie, zbierzcie mi bez zwłoki dwudziestu pięciu ludzi, przyobiecanych mi.

— Będą gotowi, a ja pójdę na ich czele — odpowiedział Indyanin dumnie.

Z brzaskiem dnia opuścił Yanko las i posunął się dalej w głąb kraju, by rozniecać ogień nienawiści dla Europejczyków, co nie było trudnem dla uciemionych ludów.

## VIII.

### *Przed burzą.*

Podczas kiedy knowano ten groźny spisek, w fabryce pana Hovelinga nie przeczuwano nic złego. Ponure przepowiednie Gilsona wydawały się przesadzonemi; wszyscy znajdujący się w służbie Hovelinga Indyanie pracowali jak zwykle i prawdopodobnie nie wiedzieli nic o zamiarach swych współbraci. Cypajowie w Delhi również byli spokojni i każdy uważał za szczere posłuszeństwo to, co było tylko wybiegiem wojennym. Alfred Gilson nie dzielił ogólniej ufności; spostrzegł tu i owdzie symptomata ruchu w kraju i udzielił téż swym przełożonym zapatrywań swoich, wskutek czego zaraz po przybyciu do Delhi został wysłany dla zasiągnięcia wiadomości w innych garnizonach. Ale i tam nie zauważono nic nadzwyczajnego, tak, że i on zwolna zaczął być spokojniejszym.

W powrocie z owego poselstwa znajdujemy porucznika znowu we willi pana Hovelinga, rozmawiającego na tarasie z właścicielem fabryki i Piotrem Arnoldem, podczas gdy Marta i Liana przygotowują się do przejażdżki w okolicy. Lektyki i tragarze czekali przed domem a dwóch stajennych

trzymało za uzdę dwa przepyszne rumaki dla Gilsona i Arnolda. Było to wczesnie rano, w jedynéj porze dnia, kiedy można było z cienia drzew odważyć się wyjechać na wolną przestrzeń.

— Macie panowie zamiar towarzyszyć nam? — pytała panna Hoveling — ujrawszy konie. Pod opieką wiernych naszych Indyan nie potrzebujemy się obawiać niczego.

— Czy pani chce nam odmówić przyjemności towarzyszenia sobie? — odparł Gilson.

Liana zrobiła minkę, która zdradzała, iż byłaby wolała zostawić Gilsona w domu.

— Moje dziecko — wtrącił Hoveling — jestem spokojniejszy, kiedy wiem, że się znajdujesz pod opieką tych panów. Dokąd zamysłacie jechać?

Chcę ojcze, pokazać Marcie ruiny indyjskiej świątyni; okolica jest przesłiczna.

— Panie Gilsonie — odezwała się Liana — kiedy mała karawana wyruszyła z miejsca, dla czego nas pan otoczyłeś dzisiaj taką strażą? Czy pan się czegoś lekasz?

— Życie pani jest mi zbyt drogie — odpowiedział Alfred.

Liana poruszyła się niecierpliwie i zwróciła się do Marty z zapytaniem, jak jój się podoba okolica.

— Przesłiczna, nie można się przesycić podziwianiem jój!

Towarzystwo przebyło uroczą dolinę, otoczoną w koło zielonemi wgórzami; Indus toczył się zwolna między swemi brzegami, obsadzonemi gęsto krzakami róż; kilka błyszczących ptaków wodnych pływało po jego przezroczystych falach; tu i owdzie widniały wśród cienistych palm indyjskie chaty. Na jednym ze wzgórzy sterczały szczątki starożytnéj świątyni, otoczone figowemi drzewami. Ta świątynia indyjska zachowała jeszcze ślady świetnéj przeszłości.

Liczne zabytki sztuki rzeźbiarskiej przedstawiały sceny z życia Buddy.

Cudowna legenda, ubarwiona i zmieniona przez tradycją, otacza urodzenie sławnego założyciela religii buddaistycznej. Królowa Maya (kwiat piękności, kwiat enoty) była jego matką, a żoną Sudhadana, pozostawszy nieskalaną. Bóg przyjął z niej postać ludzką, wydała na świat księcia Siddarta, który później porzucił dwór swego ojca, rozkosze i zaszczyty, zrzekł się czekającej na niego godności królewskiej i w dwudziestym dziewiątym roku oblekł biedne szaty pustelnika, aby stać się wielkim reformatorem świata.

To podanie straciło wiele z biegiem czasu ze swego pierwotnego charakteru przez tłumaczenia i zmiany filozofów, w każdym razie szczególném pozostaje to, iż w tej tak bardzo stariej religii znajdują się odgłosy chrześcijańskiej prawdy.

Buddyści wielbią stwarzające, odwieczne, wszechmożne bóstwo, obdarzone dobrocią i mądrością, które trzeba czcić przez rozpamiętywanie i dobre uczynki; wierzą w nieśmiertelność duszy, w przyszłą karę lub nagrodę, przypuszczają wędrówkę dusz i działanie podrzędnych bóstw.

Religia bramińska i buddaizm są to dwa najbardziej rozprzestrzenione wyznania w Azji; jakkolwiek się różnią między sobą, mają jednakże pewne podobieństwo i w niektórych okolicach mieszają się ze sobą. Brahma jest najwyższą istotą; stanowi on z Wisznu i Sziwą Arimurtis, pewien rodzaj indyjskiej trójcy; — Brahma jest stwórcą, Wisznu utrzymującym, Sziwa niszczącym świat. Każda z osób tej trójcy dała pobop do utworzenia osobnej sekty, przez co prawie zupełnie zniknęło pojęcie jednego bóstwa. Święte księgi (Vedas) przypuszczają tylko jedno bóstwo, niewidzialne i nadprzyrodzone, którego wieczność i wszechmo-

znaleźć można w stworzeniu; jest ono boskiem i niezrównanem światłem, od którego wszystko pochodzi i do którego wszystko powraca. Ta wiara w jedno bóstwo atoli przeszła u Indyan niebawem w wielobóstwo, zaczęto uważać rozmaite przymioty, które przypisywano bóstwu, za równie tyle określeń rozmaitych bogów i stosownie do tego utworzono sobie nowych bogów.

Te rzeczy stanowiły przedmiot rozmowy między Gilsonem a Piotrem, kiedy wstępowali do świętego gaju. Liana z swój strony miała dosyć do czynienia, aby zwrócić podziw Marty na wszystkie szczegóły tego osobliwego miejsca.

Młoda kobieta, upatrzwszy chwilę, w której były same, zapytała nagle:

— Liano, czy mówiłaś z ojcem?

— Tak, wczoraj wieczorem miałam z nim rozmowę. Pan Gilson ponowił oświadczyni i prosił ojca, aby mię nakłonił do stanowczej odpowiedzi. Ja jednakże wyraziłam postanowienie, iż Gilsona nie poślubię nigdy, a kiedy ojciec nalegał, aby mu objawić przyczynę odmowy, oświadczyłam, iż wolę pana Dumonta.

— Cóż powiedział pan Hoveling? — pytała Marta.

— Mój ojciec gniewał się z początku i nazwał moje uczucie dla Dumonta kaprysem dziewczęcym. Robił sobie wyrzuty, iż był tak nieostrożny, że posłał mię do Kalkuty, gdyż powinien był wiedzieć, że młode dziewczęta skłonne są do popełnienia niedorzeczności. Kiedy atoli w skutek tego niezwykle surowego przemówienia wybuchnęłam płaczem, uspokoił się i powiedział, że nie pragnie niczego innego, jak mego szczęścia i dla tego zasięgnie informacji o Francuzie. Pojęłam, że na wpół już jest pozyskany i na jego prośbę przyrzekłam, iż rozważę jeszcze rzecz całą, zanim Alfredowi ostateczną dam

odprawę. W gruncie jednakże nie potrzebuję się namyślać, ale musiałam przecież uspokoić ojca.

— Muszę ci się przyznać, drogie dziecko, że nie pojmuję twój niechęci dla pana Gilsona — zauważyła Marta.

— Miłości nie można rozkazywać, Marto, czy i ty twego męża nie przekładałaś nad innych, nawet nad człowieka, który cię kochał szalenie, jak mi opowiadałaś?

— To pewno, ale ten człowiek był nędznikiem, gdy tymczasem pan Gilson zdaje się zasługiwać na wszelki szacunek i zaufanie. Czy jesteś pewną, że i o panu Dumontie to samo powiedzieć można?

— Widocznie mało masz przychylności dla swego ziomka. Czy mówiłaś już z twoim mężem o nim?

— Mówiłam.

— Czy on go zna?

— Trochę, poznał go przy interesach kupieckich w Kalkucie.

— Co on myśli o nim?

— Uważa go za zręcznego spekulanta, lecz jego poczucie honoru i moralna jego strona wydaje mu się wątpliwą; przybył z Hiszpanii bez żadnego polecenia. Nikt nie wie, dla czego opuścił ojczyznę i z kąd pochodzi jego majątek.

— Marta nie chciała swój przyjściółce jeszcze wyjawiać całej prawdy, pragnęła tylko zapobiedz temu, aby uczucie dla Dumonta głębokich w sercu dziewczęcia nie zapuściło korzeni, dla tego ukazywała ciemne strony jój ideału. Tego rodzaju postępowanie jednakże rzadko wieńczy pomyślny skutek.

— Nie umiem sobie wytłomaczyć waszój niechęci dla Dumonta — odparła Liana gniewnie. — Słyszałam o nim inne zupełnie zdanie. Ale kupcy rzadko kiedy mówią bardzo korzystnie o swych ko-

legach, dla tego nie należy zasięgać u nich informacji. Nie mówmy już o tem; co do mnie, obstać przy mojem zapatrywaniu. W Kalkucie jeden tylko panuje głos o panu Dumoncie. Wszyscy chwalą jego inteligencyą i dzielność, jego honorowość jest niemniej znaną, jak jego dobroczynność, otoczenie jego ceni go wysoko, służący jego pozwoliliby się porąbać w sztuki za niego; nawet zazdrośni nie odważyliby się nic przeciwko niemu powiedzieć. Każda rodzina czuje się zaszczyconą, gdy z nią obcuje, a każda panna pochlebioną, gdy raczy zwrócić na nią uwagę.

— Ale — przerwała Marta — jesteś pewną, że on istotnie o tobie myśli?

Liana zarumieniła się mimowolnie.

— Sądzę nawet, że mię kocha, ale może jeszcze się lęka dostać odkosza. Na przyszły raz, gdy pojedę do Kalkuty, mam nadzieję zobaczyć go znowu i wtenczas niezawodnie mi się oświadczy. Czy może wątpisz, abym mogła wzbudzić w nim poważne uczucie?

— Bynajmniej, ale wątpię, aby w ogóle był zdolnym do powzięcia takiego uczucia.

— Mylisz się zupełnie — dowodziła Liana.

— Nie gniewaj się na mnie, moja droga; jeśli otwarcie wypowiadam moje zdanie, to dla tego, że nie chcę pozyskać twój przyjaźni za pomocą pochlebstwa; prawdziwa przychylność jest zawsze szczerą, choćby się narażała na niebezpieczeństwo, że zostanie źle zrozumiana.

Dobry humor panny Haveling zniknął po tej rozmowie, zwróciła się w stronę panów, gdyż obecność Gilsona wydawała jej się mniej przykrą, aniżeli ta nieprzyjemna rozmowa.

Porucznik próbował kilkakrotnie zbliżyć się do Liany, ale napróżno. Pan Haveling powiedział do niego, kiedy wyjeżdżali:



— Pomów z moją córką, najserdeczniejsze życzenia moje towarzyszą ci, ale pozostaw tę grobową minę w domu, tym sposobem nie pozyskuje się serca młodego dziewczęcia.

Marta zasmucona zachowaniem się Liany, odłączyła się od niej i słuchała z roztargnieniem objaśnień, które dawał Gilson o ruinach indyjskiej świątyni. Liana pozostała w tyle, usiadła na odłamku muru, pokrytym mchem, aby, jak mówiła, trochę odpocząć, w rzeczywistości jednakże, aby się oddać własnemu myślowi. Słowa Marty wzburzyły ją więcéj, aniżeli to chciała okazać. Pierwszy raz uczuła się nieco zachwianą w swej tak silnej wierze w tego człowieka, pierwszy raz obudziło się w niej pewne powątpiewanie. Czy Piotr i Marta nie mogli mieć ostatecznie słuszności? Ale nie, Dumont bez wątpienia miał nieprzyjaciół, którzy go oczerniają, za zdrość nie waha się zacząć najwyższych zasług.

Pograżona w tych myślach, nie spostrzegła wcale, że ktoś się zbliżył, tak, że Gilson stanął przed nią całkiem niespodzianie.

— Zkąd pan tak nagle przychodzisz tutaj? Myślałam, żeś pan z swymi przyjaciółmi w ruinach! rzekła powstając.

— Czy to jest zbrodnią, że się do pani zbliżam. Cóż takiego uczyniłem, co taką w pani wzbudza niechęć?

— Nie żywię bynajmniej niechęci dla pana, panie Gilsonie, lecz nie mogę zachęcać uczuć pana, których sama nie dzielę.

— Liano, powiedz mi, co się pani u mnie nie podoba? Jakkolwiek wysoką może być nagroda serca pani, nic mi się nie wyda niepodobnym do spełnienia, by je zdobyć. Najdroższa Liano, ojciec twój pragnie, abym z panią pomówił otwarcie; byłby tak szczęśliwy, gdybyś zechciała zostać moją żoną.



— Wiem o tém — odpowiedziała Liana — ale pomimo całego szacunku dla mego ojca, chcę sama dokonać wyboru.

Młodzieniec patrzył na nią z głębokim smutkiem. W obec kogoś innego nie byłby prawdopodobnie tracił słów na marne, ale Liana była długoletnią jego towarzyszką, przywykł do jęj kaprysów i rozumiał, że między nimi musiała istnieć jakaś przeszkoda, którą pragnął poznać.

— Liano — rzekł — co zmieniło twoje względem mnie usposobienie?

— Jestem zawsze tą samą — odparło dziewczę — uważam pana zawsze jako przyjaciela, nasz dotychczasowy stosunek może potrwać nadal, jeżeli pan przestanieś żądać odemnie więcej, aniżeli udzielić mogę.

— Nie ludź mnie, Liano; od czasu, jak spędziłaś zimę w Kalkucie, jest zachowanie twoje w obec mnie chłodne i okrutne. Czą sądzisz istotnie, iż nie widziałem, niczego się nie domyślałem? Na wieczorach u gubernatora ścigał cię wzrok mój ciągle, zazdrość moja wyraźnie mi ukazywała przedmiot, który mnie sercu twemu uczynił obcym. Gdyby inny, szczęśliwszy, nie był stanął na mej drodze, nie prosiłbym teraz na próżno.

— Istotnie, panie Gilsonie? Wyobraźnia pańska ludzi pana; nie masz pan nikomu nic do zarzucenia, gdyż nie kochałam pana nigdy i nie pokocham go też nigdy.

Te słowa przywróciły młodemu oficerowi znowu poczucie własnej godności. Tutaj próśby były daremne i nie miał ochoty stać się śmiesznym.

— Panno Hoveling — zapytał chłodno — czy pani na seryo zamysłasz wyjść za tego awanturnika, którego zowią Lumontem?

Pogardliwy ton, jakim wymówił te wyrazy i który tak odpowiadał temu, co Marta powiedziała

o Dumoncie, przekonał Lianę, że i Gilson również nie miał o Dumoncie pochlebnego wyobrażenia, ale przypisała to rozdrażnieniu współzawodnika i odpowiedziała z oburzeniem:

— Panie Gilsonie, nie masz prawa stawiać mi tego pytania; uważam, iż śmiałość pańska zbyt daleko sięga dzisiaj. Jeśli się usunęłam od towarzystwa, to dla tego, że chciałam usunąć się panu z drogi; czemuż pan zakłócasz moją samotność? Pan Dumont nie myśli może o mnie wcale, a kto powiada panu, że ja o nim myślę? Czy pan wnosisz to może ztąd, że nie chcę zostać pańską żoną?

— Możesz mię obrzucać wzgardą, Liano, nie zdołasz jednakże przeszkodzić temu, bym cię nie kochał. W przyszłości nie będę pani już natrętym, nie przestanę przecież czuwać z daleka nad panią i jój ojcem. W kraju, w którym żyjemy, może nadejść pora, w której wierność przyjaciela ma doniosłe znaczenie; w godzinie niebezpieczeństwa niech pani liczy na mnie; moje życie należy do pani, chętnie dla ciebie, pani, oddam ostatnią kroplę krwi!

Nie czekając odpowiedzi na te słowa, wymówione głosem wzruszonym, powrócił oficer do Piotra i Marty, czekających na niego wśród ruin.

Młoda kobieta spojrzała pytająco w twarz Gilsona; wyczytała z niej ponurą rozpacz.

— Czy odrzuciła propozycją pana? — zapytała z współczuciem.

— Tak — szepnął oficer drżącym głosem — nie kocha mię i nie pokocha mię nigdy!

— Nie pochlebiamy panu wcale — rzekł Piotr — nie rozumiem téj panienki, czyżby żywiła jakieś skryte uczucie?

Gilson patrzył badawczo na Martę, lecz nie zdradzało, aby wiedziała cośkolwiek o tajemnicy Liany.

— Myślę tak samo, jak pan, panie Arnoldzie. Na balach u gubernatora zauważyłem nadskakiwanie pewnego młodego Francuza, który wszystkim naszym młodym pannom zawraca głowę; jestem pewny, że Liana jest zakochaną w Dumoncie.

— Dumoncie! — zawołał Piotr, rumieniąc się i blednąc, — w tym nędzniku!?

— Piotrze — przerwała mu Marta szybko — nie mów w ten sposób o cudzoziemcu, wiesz, jak go szanują w Kalkucie, a potem, któż twierdzi, że Liana zamierza wyjść za niego?

— Jan Dumont! — powtórzył Arnold, który zdawał się nie słyszeć słów żony — on chce się ośmielić sięgnąć po rękę panny Hoveling?

— Czy pan znasz tego człowieka bliżej? — zapytał Arnold, zdziwiony tém wzraszeniem Gilsona.

— Mój mąż miał z nim interesa handlowe — odpowiedziała Marta.

Piotr podchwycił znaczące spojrzenie żony. Zrozumiał, że należy milczeć. Gdyby był zdradził co wiedział o dawniejszym huzarze, to można się było obawiać, że Gilson, nie zachowa tego w tajemnicy; a w jaki sposób udowodniłby później swoje orzeczenie? Potężny Dumont napiętnowałby go jako oszczercę.

W téj chwili zbliżyła się Liana do towarzystwa, a Marta wyszła naprzeciwko niej. Piotr wziął oficera na stronę.

— Czy Dumont jest istotnie współzawodnikiem pana?

— Jestem tego pewny.

— Czy ma zamiar żenić się z panną Hoveling?

— Tak mówią w Kalkucie.

— Ofiarowałeś mi, panie Gilsonie, swą przyjaźń, pozwól mi w téj sprawie być swoim sprzymierzeńcem.

— Co pan zamysłasz uczynić?

Przyjście obydwóch pań nie pozwoliło dokończyć rozpoczętej co dopiero rozmowy, Piotr uściśnął przyjacielowi rękę i rzekł:

— Licz pan na mnie!

Gilson nie wiedział wprawdzie, coby Piotr mógł dla niego uczynić, ale jednakże te słowa złagodziły nieco jego boleść. Może jest jeszcze jakaś nadzieja! W końcu wycieczki unikał wszelkiego zbliżenia się do uwielbianej istoty.

W chwili, kiedy wchodziła do willi, panna Hoveling, chcąc do pewnego stopnia naprawić swą szorstkość, zagadnęła Gilsona:

— Gniewasz się pan na mnie, że byłam tak otwartą. Proszę, zapomnij pan o moim złym humorze i pozostajmy przyjaciółmi, jak dawniej.

— Pamiętam tylko jedno słowo pani: powiedziałaś mi pani, że mię nie pokochasz nigdy. Czy to prawda?

Dziewczę spuściło głowę, nie odpowiadając ani słowa.

— Milczenie pani wystarcza mi — mówił Alfred dalej. — Zresztą żołnierz nie powinien myśleć o przyszłości, każdego dnia może go śmierć zaskoczyć. Bywaj zdrowa, Liano, niechaj Bóg dołączy odmówione mi szczęście do twojego.

— Chcesz pan nas już znowu opuścić? Kiedy zobaczymy pana znowu?

— Dopóki pani będziesz szczęśliwą, nigdy, jeśli pani grozić będzie jakieś niebezpieczeństwo, stawię się.

Ostatni raz przycisnął jęj dłoń do ust i odszedł.

W kilka godzin później pędził oficer w stronę Delhi, smutny z powodu utraty wszystkich swych nadziei. Jedną tylko zajmowała go myśl, aby umrzeć na polu sławy, jeśli można w obronie ukochanej i w jęj oczach.

Żałował on niemal, że zapowiadane powstanie tak długo pozwoliło czekać na siebie. Tymczasem życzenie to bliższem było spełnienia, aniżeli przeczuwał.

Zaledwie minął pierwsze mury Delhi, a już odniósł wrażenie, że tam zaszło coś nadzwyczajnego. W domu znalazł już rozkaz pułkownika, który go wzywał na radę oficerów. To nie zapowiadało nic dobrego; nie zmieniając nawet munduru, udał się na miejsce zebrania.

To, czego się dowiedział, potwierdziło je obawy; krajowi żołnierze napadli kilku oficerów angielskich i trzydziestu z nich trzeba było okuć w kajdany; obawiając się, że cały pułk mógłby urządzić powstanie, zatelegrafował pułkownik Gilsona, który rozporządzał tylko trzema szwadronami, do Kalkuty, żądając posiłków.

Gilson znalazł więc sposobność do poważnego zajęcia; zastępując rotmistrza, który wyjechał do Anglii za urlopem, otrzymał dowództwo nad szwadronem, który miał rozkaz robić wycieczki w okolicę, aby śledzić Indyan. Takie zlecenie było mu bardzo miłem, mógł bowiem tym sposobem czuwać baczniej nad bezpieczeństwem swych przyjaciół, gdyż nie wątpił, że jeśli w Delhi wybuchnie powstanie, natenczas wszyscy biali w kraju znajdować się będą w wielkiem niebezpieczeństwie. Indyjskie plemiona czekały tylko na hasło z Delhi, aby się rzucić na osady Europejczyków.

## XI.

### *Powstanie.*

Jak niekiedy w pogodny dzień letni nagle powstaje burza i zanim się spostrzeżemy, niszczy okolicę, tak i w posiadłości pana Hovelinga ukazało się

okropne nieszczęście, przygotowane przez zdradę i fanatyzm.

Spokojna rodzina siedziała wieczorem, rozmawiając swobodnie na wielkiej łące i nie przeczuwała nic złego, gdy wtém służący oznajmił, że jeździec jakiś życzy sobie mówić natychmiast z panem Hovelingiem

Pan Hoveling przeczuwał prawdę i kazał przybyłego wprowadzić natychmiast. Był to posłaniec Gilsona.

— Co się stało? — pytał Anglik.

— Garnizon cały powstał; w téj chwili toczy się w Delhi walka; jeśli pomoc nie przyjdzie na czas, to może zginą wszyscy Europejczycy. Mój porucznik kazał mi pana uprzedzić o niebezpieczeństwie. Przebiegłem dziesięć mil w pełnym biegu, dotychczas nie zaczepił mię żaden Indyanin, lecz napływają oni ze wszystkich stron. Uciekajcie państwo, jak możecie najprędzej, jeszcze jest czas; jeśli się rewolucya rozszerzy na kraj, nie oszczędzą nikogo z białych.

— Nie możemy puszczać się wśród nocy w niebezpieczne okolice — rzekł pan Hoveling — ale przygotowuję wszystko, aby wyruszyć z brzaskiem dnia.

— Jak można najszybciej — odpowiedział żołnierz — powrócę do mego pana.

— Ale, mój przyjacielu — zauważył pan Hoveling — może już nie dostaniesz się do Delhi.

— Spróbuję. Mój porucznik zabrał mię z sobą do Indyi, już nieraz walczyliśmy obok siebie, jest on równie dobry, jak dzielny, a jeśli polegnie, to i ja padnę obok niego.

— Jesteś dzielnym chłopcem! — rzekł pan Hoveling wzruszony. Dziękuję ci za twoją wierność. Idź, dokąd cię wzywa obowiązek!

Jeździec wydobył jakiś papier z kieszeni.

— To jest dla panienki!

Pan Hoveling odebrał pismo i podał je córce.

— To jest z pewnością ostatnie pożegnanie człowieka serca, którego nie poznałaś i który zemsty swojej szuka w ocaleniu nas! — rzekł poważnie.

Liana blada i drżąca odebrała papier i ukryła za stanikiem.

Po tym krótkim pobycie puścił się żołnierz cwałem, a Hoveling rozpoczął przygotowania do ucieczki.

Marta odważniejsza od Liany starała się uspokoić młodą, strwożoną dziewczynę.

— O! ty nie znasz Indyan jeszcze — mówiła ta ostatnia — to są potwory, wcielone szatany, którzy łakną mordu i łupieztwa. Nienawidzą oni wszystkich białych. Jeśli nie zdołamy uciec w porę, jesteśmy straceni!

— Wiadomość o powstaniu nie mogła tak szybko rozszerzyć się w kraju — zauważyła Marta. Posłaniec Gilsona przebył całą przestrzeń, nie będąc zaczepiony; zanim Indianie zbiorą się w naszej okolicy, będziemy już daleko ztąd.

— Miejmy nadzieję, że tak będzie!

Obiedwie kobiety nie wiedziały, czyja ręka naprzód przygotowała ten cios. Spędziły noc w wielkim niepokoju. Skoro tylko Marta zapakowała trochę rzeczy, które chciała zabrać ze sobą, padła na kolana przed obrazem Najświętszej Panny i ukrywszy twarz w dłoniach, modliła się długo.

— Co ty robisz, Marto? — zapytała Liana.

— W obec tak wielkiego niebezpieczeństwa błagam o opiekę Boga i polecam się jego Najświętszej Matce; czy nie zechcesz pomodlić się razem ze mną?

— My protestanci także modlimy się do Boga, ale nie uznajemy czci świętych.

— Liano, gdybyś miała jeszcze matkę i gdyby cię ona o coś prosiła, czy mogłabyś jej odmówić?



— O! nie, z pewnością nie!

— A więc Bóg, który jest tak nieskończenie dobrotliwy i sprawiedliwy, czyżby mógł pozostać głuchym na prośby swój matki? Czy nie mamy zatem wszelkiego powodu zwracać się do niej, aby uzyskać coś, czego by może słaba nasza modlitwa nie zdołała uprosić u Boga samego?

— Może masz słuszość, Marto. Jakże często podziwiałam spokój i poddanie się, które katolicy czerpią w swój religii; nieraz im zazdrościłam ich swobody i religijnej gorliwości. Nasza religia pozostawia nas bez przewodnika w nauce i bez podpory w życiu praktycznym. Kiedy czasem czytałam biblią, pragnęłam, aby oświecony umysł, aniżeli mój, objaśnił mi istotne znaczenie niektórych miejsc, ale rzadko kiedy byłam zadowolona z objaśnień naszych pastorów. W dzieciństwie mojem miałam starą nauczycielkę, katoliczkę, prostą, szczerą i pobożną osobę. Modliła się jak my; straciła ona wszystko: męża, czworo dzieci, majątek, ale nigdy nie słyszałam, aby się uskarżała z tego powodu. Widziałam ją umierającą, znosiła wszelkie cierpienia z cierpliwością, przyjmowała zawsze los swój z poddaniem a usta jej wymawiały zawsze tylko słowa modlitwy. O niej można rzeczywiście powiedzieć, że zasnęła w Panu...

— Czy pan Gilson jest również katolikiem?

— Tak, matka jego pochodziła z Irlandyi i on przyjął jej religią.

— Liano — zaczęła Marta znowu — znajdujemy się w obec groźnych niebezpieczeństw, jako ostatnią łaskę uczynić to dla mnie i pozwól mi zawiesić sobie ten srebrny medalionik na szyi. Oddaję cię tém samém pod opiekę tej, której obraz tam wryty. To mi pozwoli spokojniej oczekiwać wypadków.



— Uczyń to Marto, jeśli ci to sprawia przyjemność — odrzekło dziewczę wzruszone.

Wszystko było gotowe do wymarszu. Słonie, objuszone *howdasami* (przyrządzeniami do siedzenia, podobnymi do kabrioletów bez kół) parskwały głośno i uderzały trąbami o piasek dziedzińca, stajenni i inni służący czekali uzbrojeni na znak pana Hovelinga, by wyruszyć.

Dzień jeszcze nie zaświtał, jeszcze gwiazdy błyszczały na niebie, ale ich blask gasnął w miarę jak pierwsze promienie brzasku dziennego zabarwiały widnokrąg.

Liana, opuszczając ukochany dom swój bez nadziei zobaczenia go kiedykolwiek, stanęła raz jeszcze w oknie i rzuciła ostatnie spojrzenie bolesne na okolicę, w której przeżyła dziecinne lata swoje. Ostatnie, pełne wzruszenia pożegnanie przesłała tym niemym świadkom słodkich uciech swego dzieciństwa. Czy istotnie już nigdy nie miała ujrzeć tego wszystkiego? Czy niebezpieczeństwo nie było tylko wytworem wyobraźni? Czy te piękne miejsca miały stać się łupem zniszczenia i budynki ofiarą płomieni?...

— Musimy jechać, dzieci! — zawołał ojciec, wchodząc do pokoju. — Pani Arnold, polecam ci moją córkę, nie ma ona tyle odwagi, co pani.

— O! ojczy, okażę się odważną — odparła Liana, ściskając ojca.

— Ja tyle już przeżyłam w życiu — rzekła Marta — że jestem zahartowaną, przeciw wszelkim nieprzyjemnościom, a potem — pokładam nadzieję w Bogu.

Piotr wszedł w téj chwili.

— Wszystko gotowe do podróży, nie ociągajmy się!

Pan Hoveling zbliżył się do okna i przypatrywał się bacznie.

— Co się tam dzieje? — pytał Piotr.

— Czy pan nic nie słyszysz?

— Nie!

— Tam na dole, w stronie lasu, czy jeszcze nie słyszysz?

— To jest wycie dzikich zwierząt, które posiliwszy się, idą w gęstwinę.

— Nie, Piotrze, to okrzyk wojenny! Patrzcie, Indianie!

Wszyscy pobladli.

— Uciekajmy szybko! — krzyknęła Liana.

— Zapóźno, moje dziecko! Niech nas Bóg ma w swój opiece! — odpowiedział ojciec w rozpacz.

Za kilka minut zaległ dolinę tłum tych miedzianych szatanów; uzbrojeni w pistolety, piki, płonące pochodnie, rzucali się na swą zdobycz z dzikością krwiożerczych zwierząt.

Pan Hoveling szukał pilnie wzrokiem punktu, gdzie ucieczka byłaby możliwą, ale napastnicy dobrze obmyślili swoje środki; willa była obsadzona. Ten sposób napaści był tak niezwykły u szczepów, które zwykle jak tygrysy napadają na zdobycz, że pan Hoveling natychmiast domyślił się, iż jakaś wprawna ręka plan cały przygotowała.

— Zdradzono nas! — zawołał. — A jednak myślałem, że nie mam żadnego nieprzyjaciela!

Piotr zbladł.

— Czy jesteś pan pewnym wierności swych służących? — zapytał.

— Zdaje mi się.

— Dobrze, to utworzymy kolumnę z kobietami w pośrodku. Może się przedostaniemy.

— Jestto ostatni środek, jaki nam pozostaje — przywtórzył pan Hoveling. A zatem naprzód!

Wśród służby wywołały okrzyki Indian nieopisaną trwogę i tylko z wielkim trudem i przy wy-

siłku całej energii udało się obydwom panom zebrać ich wreszcie i ustawić na przypadek napaści.

Liana i Marta wsiadły na słonia swego, służące zajęły miejsce na drugim. Pan Hoveling zawołał zarządcę fabryki, w którym nieograniczone pokładał zaufanie, oddał mu kilkunastu zaufanych Indyan i rzekł:

— Przy pierwszej sposobnej chwili będziecie się starali wydostać na wolne pole, my zatrudnimy tutaj Indyan, abyście mieli dość czasu do ucieczki.

— A ty ojczy? nie odjadę, dopóki ty tutaj zostaniesz — protestowała Liana.

— Moje dziecko, pójdziemy za wami. Wy kobiety pod żadnym warunkiem nie możecie wpaść w ręce tych potworów; teraz jedź, słuchaj mnie, niebezpieczeństwo jest wielkie — niech cię Pan Bóg ma w Swój opiece!

Piotr rozdzielił broń i amunicją swoim towarzyszom i ustawił ich w kolumnę; z zimną krwią patrzył młody ten człowiek na manewra Indyan, aby upatrzeć stósowną chwilę do wyruszenia.

Wtém brama dziedzińca runęła pod naciskiem oblegających, a Indyanie wpadli z dzikim wyciem. Grad kul powitał ich i powalił na ziemię, lecz nie odstraszał się tём weale, podwoiły tłumy okrzyki wojenne i rzuciły się po trupach prosto ku wymierzonym w siebie lufom. Druga salwa przerzedziła ich szeregi. Nic nie wyrówna wzgardzie życia u Indyan. Należą oni do rzędu tych fanatyków, którzy przyjmują najsrozsze cierpienia jako coś świętego, którzy z rozkoszą pozwalają się miażdżyć pod kołami wojennego rydwana swego bóstwa Siwy, wyobrażając sobie, że po śmierci odżyją znówu w ogrodzie niebieskiego bóstwa.

Pan Hoveling, Piotr i liczni mieszkańcy posiadłości bronili się mężnie, z odwagą rozpaczliwą; u

tych nieprzyjaciół nie było łaski, a lepiej pozostać nieżywym na miejscu, aniżeli żywym popaść w ich ręce.

Marta i Liana, tuląc się do siebie nawzajem trwożliwie, śledziły z przerażeniem przebieg walki. Oblegający stawali się coraz wścieklejsi, kule i strzały świszczały w powietrzu, jęki rannych łączyły się z hukiem broni, umierający pokrywali ziemię, przelewając krew z otwartych ran. Okropne to było widowisko, które oświetlało wschodzące słońce.

Nagle zmienili Indianie, którzy nie spodziewali się tak silnego oporu, swoją taktykę. Dowódcy podzielili ich na kilka gromadek, które nacierały z kilku stron równocześnie. Obłożeni utworzyli szybko czworokąt, ale ich liczba była tak drobną w porównaniu z nieprzyjacielem, że musieli padać jeden po drugim. Indianie tygrysim skokiem przebili pierwsze szeregi i wywołali straszliwy zamęt. Strzelać było niepodobno; kolby, szable i noże tylko były w użyciu. Mała garstka, jakkolwiek broniła się dzielnie, traciła coraz więcej walczących i zdawała się zgnębioną.

— Koniec! — zawołała Liana — pozostaje nam tylko oczekiwać śmierci!

Marta, patrząc na straszliwą rzeź, modliła się gorąco. Nie można było znikąd spodziewać się pomocy, ale losy ludzkie spoczywają w ręku Boga. Ten, który rządzi światem wedle swych odwiecznych prawideł, może wolać swoją jedynie ocalić tych, którzy od dawna stracili wszelką nadzieję.

Zwycięzcy wydali głośny okrzyk tryumfu; równie chciwi zdobywcy jak krwi, docierali już oni do budynków, aby rozpocząć zapowiadziany rabunek. Inna grupa Indian skierowała swój napad w stronę kobiet, których słaba ochrona nie mogła im długo stawiać oporu. Groźnym ruchem wyciągały te potwory ręce skrwawione ku Lianie i Marcie. Liana

pochyliła się ku szyi słonia, pogłaskała zwierzę i rzekła:

— Mój drogi Indo, ratuj ty nas!

Czy mądre z natury zwierzę zrozumiało rozpaczliwy okrzyk swój pani, czy też usłuchało innego popędu? Dość, że przycisnął się do boku drugiego słonia, obydwaj cofnęły się kilka kroków, aby potem silnym pędem wpaść między napastników i deptać, co im stało w drodze. Kilku Indyan, porwanych trąbą zwierza rozgniewanego, spadło na dziedziniec rozbijając się; słowem, był to nowy rodzaj walki. Liana miała dość przytomności umysłu, aby skorzystać z chwilowej sposobności i skierowała przywykłe do jej ręki zwierzę ku gęstej gromadzie, przeciwko której ojciec jej, Piotr i kilku pozostałych broniło się z rozpaczliwą odwagą. W ten sposób udało jej się dać obłożonym chwilę odetchnienia.

W tejże chwili nowy ruch powstał między Indyanami. Strzały huczały w dolinie, napastnicy skupili się zdumieni; oddział jeźdźców nadbiegł wyciągniętym kłusem.

— Odwagi, przyjaciele! — wołał pan Hoveling — Anglicy przychodzą nam z pomocą!

— Liano, szepnęła Marta do swój sąsiadki z radością — to pan Gilson!

— Biedny Alfred! — odpowiedziała Liana — wzruszona do głębi poświęceniem młodzieńca.

Oddział składał się z blisko trzydziestu żołnierzy; przybył właśnie na czas, aby ocalić pozostałych przy życiu. Tymczasem bandyci nie myśleli wcale o ucieczce, czuli się dość silnymi, aby stawić czoło temu posiłkowi.

Gilson spostrzegł niebawem, że Liana i Marta, otoczone zbójami, nie miały innych obrońców, oprócz swoich słoni. Nie namyślając się, rzucił się jak tygrys w pośrodek napastników i przebił się wraz z swoimi jeźdźcami przez pierwsze ich szeregi.

Siedmiu do ośmiu Indyan uczepiło się jak koty grzywy i lejców rumaka, podnosząc sztylety ku Gilsonowi, ale ten, pokryty krwią, z pianą przy ustach i płomieniami w oczach, zagłębił ostrogi w boki konia, tak, iż tenże wspiał się wysoko, ciągnąc za sobą Indyan, którzy niebawem padli w tył, rozbijając sobie czaszki. Dzicy zauważyli, że to był dowódzca oddziału, tego musieli ugodzić, śmierć jego mogła wśród innych wywołać popłoch.

Gilson przedstawiał piękny widok w tój chwili; miłość podniecała jego odwagę do szaleństwa i zdawała siły; nie widział ani niebezpieczeństwa, ani śmierci, szabla jego rąbała wszystkich na około. Liana, jego ukochana Liana była w niebezpieczeństwie; zapomniał o jój okrucieństwie, o jój „nigdy“, myślał tylko o tem, aby ją wyrwać z rąk tych potworów.

Młode dziewczę, pomimo okropności chwili, z podziwem przypatrywało się Alfredowi. Może jój nie ocali, może zginie w jój oczach, ale wierny przyrzeczeniu, przybył, aby za nią poświęcić życie.

Kiedy wraz z podziwem gorętsze uczucia budziły się w jój sercu dla szlachetnego rycerza, nagle zburzył nowy wypadek to, co w niój zdziałała bohaterska miłość Alfreda.

— Marto — odezwała się panna Hoveling wzruszonym głosem -- nie widzisz tego jeźdźca, którego tam otoczyli Indyanie?

Młoda kobieta spojrzała w tę stronę i zbladła.

— On, zawsze on — szepnęła.

— To Dumont! — mówiła Liana z zapalem.

O! Marto, nie myliłam się, on mię kocha! Jakże się dowiedział o niebezpieczeństwie, w jakim się znajdujemy? Opuścił wszystko, aby tu przybyć i mię ocalić od zguby. Jest on równie odważny, jak wspaniałomyślny i piękny. Marto, będziemy ocalone, ocalone przez niego!

— A pan Gilson?... — pytała Marta z goryczą.

Ale Liana miała tylko oczy dla Dumonta. Miłość i wdzięczność łączyły się w jój sercu i przykładały ją mimowolnie do tego człowieka.

Przekonajmy się, w jaki sposób Francuz wziął udział w téj wyprawie.

Były huzar, poinformowany dokładnie przez Yanka, przybiegł na pierwszą wiadomość o powstaniu. Zamiarem jego było sprzątnąć męża Marty w ten sposób naturalny i niepodejrzany. Gdy się to stanie, chciał powstrzymać wściekłość dzikich, ocalić najprzód Martę, a jeśli podobna, także pana Hovelinga i jego córkę. Może znalazłby sposobność zamknąć Yankowi, który mógł później stać się niebezpiecznym, usta na zawsze. Przybył do Delhi, kiedy właśnie Gilson opuszczał miasto z resztkami swego szwadronu.

— Panie — rzekł Dumont — krajowcy pustoszą kraj i mordują wszystkich; w téj chwili wpadła w ich ręce posiadłość pana Hovelinga, czy zechcesz mi pan powierzyć kilku swoich ludzi, abym szedł na pomoc Europejczykom? Nazwisko moje jest Dumont.

— Udaję się tam dotąd i sam będę bronił moich przyjaciół — odparł oficer chłodno.

— Nie chcę pana wcale obrażać — rzekł Dumont — pozwól mi pan przynajmniej przyłączyć się do pańskiego oddziału.

— Moi dragoni wystarczają mi, spieszo mi, powracaj pan; w Delhi nie zastaniesz pan już ani jednego Europejczyka, kto nie zdołał uciec, ten zamordowany.

— Pójdę z panem — powtórzył Dumont — nie możesz mi pan zabronić stanąć w obronie mych ziomków. Jako dawniejszy huzar francuzki mogę niejedną jeszcze oddać usługę.



Młody oficer najchętniej byłby zostawił tego człowieka, którego uważał za współzawodnika, ale nie chciał tracić na próżno czasu drogiego na rozprawianiu i parlamentowaniu, każda minuta mogła przyjaciółom jego przynieść zgubę.

— Dobrze więc — odpowiedział ponuro — wstąpię w szeregi moich ludzi, ale pod warunkiem, że będziesz mię słuchał bezwarunkowo, gdyż przy najmniejszym oporze wpakuję panu kulę w głowę!

— Nie jesteś zbyt delikatnym, panie poruczniku, ale mimo to będę posłuszny. Abygniew pana nieco ukoić, powiem przedewszystkiēm to jedno: znajdujesz się pan w błędzie, jeżeli sądzisz, iż jestem pańskim rywalem.

— To wystarczy, panie, wiem, czego się trzymać; a teraz w drogę, naprzód! W pełnym galopie popędziła gromada ta naprzód.

W ten sposób przybył Dumont w szeregu obrońców rodziny Hoveling. Dopóki wrzała walka, nie ustępował w męztwie nikomu i niejeden z Indyan, podburzony przez jego wysłańca, padł z jego ręki. Jeżeli jednakże przez to zapalał miłość i wdzięczność Liany, to sam myślał tylko o Marcie, pochlebiał sobie, że Martę wreszcie wziuszy ten dowód poświęcenia i że skoro się ukoji pierwsza boleść po stracie męża, łatwiej nawiąże zerwane z nim stosunki.

Gilson i jego dragoni niebawem zrobili wyłom w żywym murze, który ich dzielił od obleżonych. Ci ostatni, składający się już z niewielu osób, mężnie stawiali czoło, zachęcani przez pana Hovelinga i Piotra. Piotr zwłaszcza bronił się z uporem dziecka gór a było tego potrzeba, gdyż dziwnym sposobem zdawał się on przedewszystkiēm być przedmiotem wściekłości Indyan. Wreszcie udało im się otoczyć go i ugodzony dwoma pchnięciami sztyletu, padł na ziemię.



Marta widziała, jak padał, ciosy, które zadały śmierć mężowi, ugodziły w jęj serce; z przerażającym krzykiem upadła zemdlona.

Śmierć tego Europejczyka dodała Indyanom nowęj odwagi, zwrócili się ku Anglikom, ale nikt nie mógł oprzeć się Gilsonowi. Kierując konia w największy odmęt, zadając w prawo i lewo śmiertelne razy, depeąc wszystko, co mu się nasunęło w drodze, otworzył sobie krwawą ścieżkę wśród napastników. W końcu musieli Indianie ustąpić; zaczęli uciekać, podłożywszy poprzecznie ogień pod budynki. Płomienie ogarnęły niebawem drewniane zabudowania i potężny słup ognisty uzupełnił okropny obraz tęj nieludzkiej rzezi.

Gilson pokryty krwią i pyłem, mógł się wreszcie zbliżyć do miejsca, w którym schroniły się kobiety.

— Liano, droga Liano, czy nie jesteś zranioną? pytał z czułą troskliwością.

— Nie, Alfredzie, zawdzięczamy życie panu i jego dzielnym towarzyszom!

Gilson zbladł. Zrozumiał, że Dumont zabrał mu nagrodę za jego poświęcenie. Ale w tęg chwili nie mógł myśleć o tęg, by prowadzić z Lianą rozmowę; ocaliwszy ją i wszystkich jęj drogich, nie powinien był zostawiać Indyanom czasu do zgromadzenia się i ponownęj zaczepki.

— Gdzie pan Arnold? — zapytał.

— Widziałem, jak padł — odparł pan Hovelling smutno — napróżno starałem się przedostać do niego. O! mój drogi, cóż to za straszliwy dzień!

Dwaj ci mężowie szukali swego przyjaciela wśród poległych. Marta wyprzedziła ich już. Podtrzymywana siłą miłości i rozpaczy, podnosiła leżące stosami ciała, aby odnaleść Piotra, ale napróżno. Wszelkie poszukiwania okazały się daremnemi, nie znaleziono ani śladu po nim; prawdopodobnie nieprzy-

jaciele w swój wściekłości wrzucili ciało jego wraz z innemi trupami w płomienie.

Dumont również okazywał nadzwyczajną gorliwość w szukaniu swego ziomka, był ostatnim, który opuścił miejsce walki. Z największym trudem tylko zdołano Martę odprowadzić z tego okropnego miejsca, na którym pogrzebała całe swoje szczęście; współczucie serdeczne Liany nie zdołało jęj pocieszyć, oddawała się najstraszliwszj rozpaczy.

W tak okropny sposób przerwana ucieczkę podjęli pozostali na nowo; słonie z kobietami rozpoczęły pochód, jeźdźcy wzięli na siebie straż nad niemi. Jeszcze niebezpieczeństwo nie minęło, ponieważ każdej chwili mogli Indianie wystąpić, albo zastawić karawanie jaką zasadzkę. Dla tego na wszystkich twarzach malowała się trwoga, jako też współczucie z powodu smutnego zgonu Arnolda.

Liana, chcąc nieco złagodzić boleść przyjaciółki, starała się obudzić w nięj ostatni promyk nadziei.

— Może twój mąż nie zginął, Marto?

— To bylibyśmy go znaleźli.

— A gdyby został jeńcem?

— To potwory te zamęczyłyby go na śmierć.

— Nie można wiedzieć, Marto; jakże często powracają ludzie, o których wszyscy myśleli, że nie żyją. Marto, głos jakiś w głębi serca szeptem mi, że twój mąż żyje i że do ciebie powróci.

— O, drogie dziecko, jestto złudzeniem, które ci podsuwa twoja dla mnie życzliwość! — rzekła młoda kobieta, w której zażwawionem spojrzeniu błyszczał słaby promyk nadziei.

— Dla czego wątpisz tak szybko? Modliłaś się przecież tak gorąco... I ja także modliłam się w chwili, kiedy wszystko zdawało się stracone. Opowiem ci to później, moja droga, ale mam niezłomną ufność, że modlitwa moja zostanie wysłuchaną.

Młoda kobieta podniosła głowę, jój wzrok był ożywiony wewnętrzną radością, która kazała jój zapominać o własnem strapieniu i biorąc obie ręce panny Hoveling w swe dłonie, prosiła:

— Powiedz, Liano, czy łaska Boża spłynęła do twego serca? Gdyby moje nieszczęście miało być ceną za twój powrót do prawdziwej wiary, natenczas wielbiłabym Boga, że mi pozwolił przywrócić Mu tak piękną duszę, jak twoja!

— O Marto, Bóg jest zbyt litościwy, aby ci pozwolić tak drogo opłacać to szczęście. Nie, wbrew wszelkiemu nieprawdopodobieństwu mam zawsze jeszcze nadzieję. Słuchaj: kiedy niebezpieczeństwo było największe, przypomniałam sobie medalionik, który mi zawiesiłaś; błagałam o pomoc Matki Bożej i przyrzekłam jój, że jeśli, ojciec mój, ty, twój mąż i ja ujdziemy z życiem, zostanę jój dzieckiem, jak ty, Marto. Widzisz, moja droga, Matka Boża jest mi jeszcze coś dłużną; powiedziałaś, że ona może u Boga cuda wyprosić; jeśli mię więc uważa za godną łaski zostania jój dzieckiem, to możesz mieć nadzieję zobaczenia Piotra żywym.

Marta ujęła dziewczę w objęcia; mogła odpowiedzieć tylko łzami, ale łzy te mniej były gorzkie, głęboka wiara ożywiała jój nadzieję.

Gilson podziwiał zdaleka dobroć i czułość, jaką Liana okazywała swój towarzyszce i pytał się smutno sam siebie, z kąd to pochodzi, że to kochające serce z takim uporem przed nim się zamyka. Odmowa młodej panienki nie osłabiła jego miłości, ale myśl, że inny pozyskał jój przychylność, była mu bolesną. Uważał w téj chwili za wielkie szczęście to, że mógł ją widzieć, czuwać nad nią, bronić ją, a może i umrzeć dla niój.

Jeśli to ostatnie stać się miało, to pozostała mu jeszcze ta pociecha, że mu leż swoich nie odmówi.

Myśli Dumonta nie były tak szlachetnej natury. Nie śmiał on przemówić do Marty, której rozpaczliwego spojrzenia nie mógł znieść, on, zabójca jej męża. Liczył on atoli na to, iż owa rozpacz niebawem ustąpi miejsca spokojniejszemu rozmyślaniu i że uprzytomni sobie ona, że znajdzie się niedługo całkiem samotna. Wtenczas miał nadzieję tém łatwiej pokonać jej opór, że mógł uchodzić za jej wybawcę. Pan Hoveling był zrujnowany, panna Hoveling wyjdzie bez wątpienia za angielskiego oficera a ojciec będzie mieszkał z dziećmi; Marta musiałaby myśleć sama o sobie, gdyż była zbyt dumną, aby stać się ciężarem swym przyjaciółom. Czyżby jej przyjaciele nie radzili jej sami przyjąć propozycyi bogatego Dumonta? Tak, prędzej czy później musi dostać młodą wdowę w swoją moc a przypadek, który mu dotychczas był przychylny, może sprowadzić do tego sposobność. Nienawistny mu przeciwnik poległ, nikt, Marta nawet nie może przeczuwać, jaki udział wziął w tych wypadkach. Przeciwnie każdy musi myśleć, że wspaniałomyślnie narażał życie, aby nieść pomoc swym ziomkom a jeśli ciężko dotkniętą wdowę przeniósł nad bogate dziedziczki w kraju, pocieszał ją w jej stracie, to taka bezinteresowność mogła tylko podnieść jego znaczenie w oczach szlachetnie myślących ludzi.

Łotr ten spoglądał ukradkiem na swoją ofiarę; gorzkie łzy, które rosily policzki Marty, były dla niego rozkoszą, gdyż płynęły one dla zmarłego nieprzyjaciela; jak podstępny pajak, przedący swą sieć skrycie, w którą chce przy danj sposobności uwikłać niewinną muszkę, tak i on kuł ciemne swe zamiary, których ofiarą paść miała Marta.

Zbrodniarz atoli nie doznaje nigdy zupełnego spokoju, nawet wtenczas, kiedy mu wszystko idzie wedle myśli.

Jakkolwiek Dumont zrećnie usunął od siebie cień wszelkiego podejrzenia, to jeszcze musiał się liczyć ze swym współwinowajcą. Jedyne człowiek znał sprawcę strasznój zbrodni, która zniszczyła życie tysiąca ludzi, a ten człowiek mógł go kiedyś oskarżyć. Yanko służył mu z chciwości i mściwości, czyżby z tych samych przyczyn nie mógł i jego zdradzić?

— Umarli nie mówią — powiedział sobie Aleksy. Ten nędznik Indyanin nie może pozostać wieczną dla mnie groźbą, która mąci wszelkie moje przyjemności. Anglicy mają jeszcze za wiele tego materiału szubienicznego, uwolnię ich od tego łotra.

Kiedy Yanko widział, jaki obrót rzeczy brały, zjawił się jako służący Dumonta, który swemu panu towarzyszył zdaleka i później przyłączył się do pozostałych ludzi Hovelinga. Ponieważ Dumont ręczył za jego wierność, przeto pozostawiono go w spokoju, ponieważ ci sami ludzie, przeciwko którym walczył, w zamieszaniu nie spamiętali jego rysów.

— Czy będziemy musieli długo podróżować w tym lesie? — pytała Liana.

— Moje dziecko, w lesie najbezpieczniejsza droga.

— A dzikie zwierzęta?

— Tych trz- ba się mniej obawiać, aniżeli Indyan, panno Hoveling — zauważył Dumont. — Dopóki się znajdujemy w lesie, nie potrzebujemy lękać się zaczepki, a oprócz tego możemy się bronić. Niech się pani nie lęka niczego — dodał z uśmiechem.

— Nie jestem tak trwożliwą, jak pan się zdajesz sądzić — odparło dziewczę — czegoż zresztą mielibyśmy się obawiać pod opieką tak bohaterkich obrońców?

— Istotnie — chwalił Dumont — stanowczość i zimna krew pana Gilsona była godną podziwu. Przyjemnie to stać pod komendą takiego oficera.

— Bez wątpienia — rzekła Liana — ale i pan nie mniejszą okazałeś odwagę. Miałeś pan wielki udział w ocaleniu nas, pozwól pan więc, że mu złożę serdeczne podziękowanie.

Liana wypowiedziała to z wielką uprzejmością, wyciągając do mniemanego oswobodziciela rękę. Dumont spotkał się ze spojrzeniem Marty i zawstyżił się niejako trochę. Panna Hoveling przypisywała to zmieszanie młodzieńca ukrytemu ku niej uczuciu, o którym już nie wątpiła; zachęciła go uprzejmym uśmiechem i zatrzymała przy swym boku, prosząc, aby jej opowiedział, w jaki sposób dowiedział się o powstaniu i jak zdołał przybyć na czas do ich osady.

Gilson przypatrywał się poważny i stroskany wszystkim szczegółom téj małej sceny. Przyszedł on do tego przekonania, że Dumont go oszukał, zapewniając go, iż nie jest jego współzawodnikiem. W jakim celu byłby narażał się na niebezpieczeństwo życia, jeśli nie z miłości dla Liany? Ona kochała Dumonta, to było widocznem, a Piotra, który mu przyrzekł pomoc, już nie było na świecie, aby go popierać we walce przeciwko wpływowi owego człowieka.

Koło wieczora przybyli uciekający na polankę, która dla bliskości źródła wydawała się odpowiednią na miejsce odpoczynku dla ludzi i dla zwierząt. Nie można było w ogóle iść dalej, ponieważ ciemność zbliżała się, drogi leśne były trudne do przebycia, a dalekie wycie przerażało podróżnych. Była to godzina, w której zwierzęta lasów dziewiczych wychodzą na żer.

Gilson kazał zatem stanąć i zapalić wielkie ognie, aby trzymać z daleka nieproszonych gości. Żołnierze odrąbywali gałęzie i stawiali chaty, ludzie Hovelinga zaś przygotowywali pożywienie z owoców zwierzyny.

— Czy tutaj noc spędzimy? — zapytała Liana.

— Byłoby niebezpiecznie iść wśród ciemności głębiej w las — odpowiedział Gilson — ale nie obawiaj się pani, jój spoczynku nocnego nic nie zakłóci. Czuwam nad tobą Liano — dodał ciszej — tego szczęścia przynajmniej mi zabronić nie możesz.

Towarzyszył młodemu dziewczęciu aż do namiotu, przeznaczonego dla Liany i Marty, sam ułożył posłanie z mchu i liści i zapewnił, że żaden wąż się w niem nie ukrył, co się w owych lasach zdarzyć może. Liana przypatrywała mu się w milczeniu, więcej znudzona, aniżeli wzruszona temi dowodami troskliwości jego.

Gilson podał jój rękę, zimno złożyła w nią dłoń swoją i odwróciła się.

— Liano — zapytał Gilson — słówko, jedyne słówko! Czytałaś pani list, który przysłałem wczoraj wieczorem?

Panna Hoveling nagłym ruchem dotknęła stannika, aby się zapewnić, że list tam jeszcze się znajduje, potem odpowiedziała rumieniąc się:

— Jeszcze go nie czytałam.

Oficer spojrział na nią z wyrazem niewysłowionego smutku i odszedł.

Pan Hoveling, Dumont i kilku dragonów udało się również do swoich chat. Po ciężkich walkach i nateżeniach dnia całego, potrzebowali oni koniecznie wypoczynku. Gilson wydał rozporządzenie, aby jego ludzie kolejno straż odprawiali, ponieważ nie chciał się spuszczać całkiem na ludzi Hovelinga; tym kazano podtrzymywać ogień. Uczynwszy to wszystko, czego wymagały okoliczności, rzucił się obok namiotu Liany na derę i pograżył się w smutnych myślach. Ale i u niego upomniała się natura o swoje prawa — zasnął.



X.

*Nowa niegodziwość.*

Kilka godzin minęło wśród najgłębszej ciszy, gdy wtém przerwały ją złowrogie odgłosy. Słychać było głosy podobne do miauczenia kotów, ale daleko silniejsze. Konie zaczęły rzeć, obydwaj słonie podniosły uszy, wszyscy mężczyźni pochwycili za broń.

Tuż nad strumieniem wyłoniły się z krzaków dwie postacie: ukazały się dwa przepyszne tygrysy. Widocznie niezadowolone, iż w swém państwie napotkały kogoś obcego, zwróciły błyszczące swe oczy w stronę, w której obozowała karawana i starały się zbadać, z kim mają do czynienia.

Pan Hoyeling nieraz w swych lasach polował na te zwierzęta, Dumont był również zapalonym myśliwym na lwy i tygrysy, obydwaj więc okazywali wielką ochotę pozbawić dwóch tygrysów życia, ale Gilson nie pozwolił na to.

— Nie strzelajcie — rzekł — jeśli chybiacie, będą te bestye zuchwałe i wtenczas wszystko stracone.

— Jestem pewny, iż jednego ubiję — zapewniał Dumont.

Liana i Marta również opuściły swój namiot, aby zobaczyć, co zaszło.

— Wróc pani, pani Arnold — prosił Gilson.

— Mieszkałam w lesie, nie lękam się — odparła z smętnym uśmiechem.

— Liano — zwrócił się oficer do tejże — nie wystawiaj się pani na niebezpieczeństwo, błagam, nie dodawaj mi pani niepokoju o siebie. Chwila zresztą jest bardzo poważna.

— Nie troszcz się pan o mnie — brzmiała krótka odpowiedź.



Lekki powiew wietrzyka przyniósł delikatnemu powonieniu tygrysów świeży zapach krwi i podrażnił ich do najwyższego stopnia. Zapominając o całej przezorności, zbliżyły się do obozu, gotowe do napa-  
padu. Mężczyźni z bronią w rękę oczekiwali tylko znaku, aby tych nowych nieprzyjaciół przyjął gradem kul, gdy wtem scena zmieniła się w nieprzewidziany sposób.

Spokojnie i z godnością wystąpiły słonie. Zwierzęta te, których mądrość i przywiązanie do człowieka są nieraz cudowne, gardzą w przeświadczeniu swój siły każdym dzikiem zwierzęciem i podejmują walkę z najsilniejszym lwem. Przeszły one z całą pewnością siebie przez szereg ludzi i stanęły jako straż przednia, patrząc przytem na swych panów, jak gdyby chciały powiedzieć:

— Niech się tylko tygrys który zbliży!

— Pozwólcie im panie — uspokajano strwożone kobiety.

Olbrzymy te nie potrzebują się lękać żadnego zwierzęcia; ich ogromna siła i cudowny instynkt dopomaga im do wyjścia zwycięzko z każdego boju. Wywijając trąbami na wszystkie strony, zdawały się rozbudzać baczność tygrysów i wyzywać je do walki.

Tygrysy zaskoczone, zdumione, ostrzyły pazury i zgrzytając ukazały straszliwe swoje szczęki. Obydwa słonie podniosły głowy w górę i wydały ogłuszający ryk, który ogarnął przerażeniem wszystkie zwierzęta daleko na okolo. Przeciągłe miauczenie dwóch tygrysów odpowiedziało na ten okrzyk wojenny, zwierzęta skoczyły wściekle, cofnęły się kilka kroków powoli, wlepiając błyszczące ślepie w przeciwników i odmierzając odległość. To pozorne cofanie się, było tylko fortelem wojennym; natychmiast uskoczyły w bok, aby jednym susem przez słonie rzucić się na konie i ludzi. Ale gruboskórych olbrzymów nie łatwo wywieść w pole temi wybiegami;

śledząc każde poruszenie przeciwnika, wystawiają mu one potężną trąbę lub kły ogromne, nie tracąc wcale spokoju.

Liana, pomimo lekkości swojej, przypatrywała się z nadzwyczajnym zajęciem temu dziwnie przejmującemu dramatowi, w którym stanęły do walki najpotężniejsze i najbardziej krwiożercze zwierzęta na ziemi.

Tygrysy podrażnione do wściekłości, uciekły się do innego manewru, właściwego kotom: cofając się na tylne nogi, zapuściły się rozpaczliwie i jednym skokiem siedziały na głowach słoni; głowy te schowały się w szyję i widać było tylko kły potężne, u których tygrysy zawisły. Jednym poruszeniem wyskoczyły w powietrze, a spadłszy, otrzymały jeszcze kilka uderzeń trąbami, które uczyniły je niezdolnymi do walki. Z podniesioną głową, wydając ryk zwycięzki, kroczyły słonie po rozbitych na wpół cielskach swych napastników i zmiążdżyły je w jedną bezkształtną masę, poczem odwróciły się dumnie.

Widzowie byli wzruszeni. Liana pieściła swoje słonie z wdzięcznością. Te zwierzęta są, jak wiadomo, wrażliwe na takie oznaki przychylności, łagodność czyni je w wysokim stopniu przywiązaniem i podnosi naturalny ich pociąg do ludzi.

— Dziękuję ci, mój wierny Indo i tobie także Mury — rzekło dziewczę — głaskając zwierzęta po głowie. Odpowiedziały na jej pieszczoty; trąbami, które teraz stały się miękkie i giętkie, muskały włosy swęj pani, na swój sposób okazując radość i przywiązanie.

— Szczęśliwe słonie! — odezwał się Gilson z gorzkim uśmiechem do panny Hoveling — gdybym to ja był zabił tygrysy, byłabyś pani miała zaledwie słowo podziękowania dla mnie.

— Mylisz się pan — odparła zagadnięta — nie zapomnę nigdy poświęcenia, jakiego złożyłeś.

dzisiaj dowody, będę pana zawsze uważała jako drogiego przyjaciela.

— Tak jest, Liano, jako szczerego przyjaciela, jedynego może, którego pani posiadasz po ojcu.

— Co pan rozumiesz przez to? — pytało dziewczę urażone. — Wiedziała bardzo dobrze, do czego zmierzały te słowa.

— Zapomnij pani mojej śmiałości; mam nadzieję, że później pani uzna, jak wielką miałem słuszność.

Skoro tylko dzień zaświtał, wydał Gilson znak do wymarszu. Przyrowadzono słońce, kobiety zajęły swoje miejsca znowu, straż wsiadła na konie i wyruszono dalej w las, gdzie różne przeszkody utrudniały pochód. Tylko z trudnością można było przebyć krzaki, i słońce znowu tutaj oddawały dobre przysługi; kroczyły na czele, łamiąc trąbami grube konary jak źdźbła słomy i torowały sobie i innym drogę.

Wtém słońce zatrzymały się i stanęły jak mur, konie zarżały z przestraczem. Gilson popędził naprzód, aby się przekonać, jakie niebezpieczeństwo grozi jego protegowanym.

Z gęstwiny wyłoniło się dziesięciu do piętnastu Indyan, którzy widocznie poprzedniego dnia brali udział w napadzie, ręce ich były jeszcze zakrwawione a ich twarze nosiły jeszcze ślady uderzeń kolbą. Na widok garstki Anglików wydali głośny okrzyk i rzucili się na nich. Przerachowali się oni jednakże. Pierwszy szereg powalił kilku o ziemię, inni nie odstrasżając się tém, położyli się na ziemię, przyczołgali się z nieopisaną zręcznością do białych, wskoczyli z szybkością błyskawicy na ich konie i uderzyli na jeźdźców sztyletami. Ci jednakże użyli swych szabli i rewolwerów tak energicznie, że za kilka chwil ostatniego z Indyan wysłali do ogrodu niebieskiego Boga.

W czasie tego napadu uszedł uwagi Europejczyków pewien wypadek. Yanko zniknął a pan jego zdawał się nie zauważyć tego wcale. Leżał on pod stosem zabitych Indyan. Jakim sposobem tam się znalazł? Nikt nie wiedział, nikt się o to nie pytał, ale kiedy gromadka znowu wyruszyła w drogę, mogło baczne ucho dosłyszeć, jak Dumont szeptał do siebie:

— I z tym więc załatwiłem się; teraz przyszłość do mnie należy, wreszcie nie potrzebuję się już niczego lękać.

Pierwszy raz odważył się zbliżyć do Marty pod bardzo naturalnym pozorem chęci dowiedzenia się, czy nie jest zraniona.

Młoda kobieta z pogardą odwróciła głowę, nie odpowiedziałwszy nic. Nic nie mogło w nieszczęściu być dla niej przykrzejszem, jak obecność tego człowieka, którego całą podłość znała dobrze, i gdyby nie knowania jego, byłaby mogła dotąd jeszcze spokojnie mieszkać z Piotrem w Kalkucie.

Liana dziwiła się w głębi duszy, że pan Dumont tak jęj się mało udzielał; niejednokrotnie widziała, jak spojrzenie jego zawisło na twarzy Marty i właśnie do niej się zwrócił, okazując jęj swoje zajęcie się nią. Młode dziewczę porównało to zachowanie się Dumonta z wyrażną niechęcią Marty do niego, nie wiedząc co to miało znaczyć. W swęj niewinności myślała, że nieszczęście Marty wzbudziło współczucie Dumonta i upatrywała w tem nowy dowód dobrego jęgo serca.

Dumont był zbyt przebiegły, aby się narzucać, Marcie. Czciał jęj pozostawić czas do pogodzenia się z myślą o rozłące z mężem, zanim mógł mieć nadzieję pozyskania jęj. Aby tem lepiej mógł ukryć prawdziwe swe uczucia, więcej zajmował się Lianą, która go zawsze traktowała z przychylnością; dla niego był to wygodny sposób pozostawania w po-

blizu Marty i rozmawiania z nią, nie zwracając się do niej bezpośrednio.

Pan Hoveling jechał smutny i milczący. Zburzenie fabryki było dla niego ciężkim ciosem; był człowiekiem zrujnowanym; jeżeli nie popadł w nędzę, gdyż długoletnie oszczędności złożył w banku londyńskim, to jednakże stracił więcej, aniżeli mu pozostawało. Nie mógł myśleć o tem, aby mógł powrócić w okolice, w której, jako pan i władzca nad rozległym szmatem ziemi mieszkał od lat dwudziestu. Gilson kochał Lianę nie z powodu wielkiej posiadłości jej ojca; gdyby zechciała zostać jego żoną, mógł ojciec jej mieszkać przy dzieciach, ale to życie w mieście garnizonowem nie odpowiadało jego długoletnim przyzwyczajeniom. Pan Hoveling powiedział sobie, że może lepiej byłoby, gdyby Liana oddała rękę Dumontowi, mógłby przy pomocy jego bogactw urządzić sobie nową osadę.

U Anglików odgrywa własne „ja“ wielką rolę; wzgląd na własny interes rządził po wszystkie czasy polityką tego narodu i prywatny członek jego również wedle tego postępuje. Pan Hoveling był zbyt honorowym człowiekiem, aby popierać bogatego Dumonta przeciw Gilsonowi, cenił on tego ostatniego dzisiaj wyżej jeszcze, aniżeli dawniej, ale z mniejszą niechęcią już patrzył na to, że Liana uprzejmie przyjmowała grzeczności pana Dumonta.

Oficer nie miał pojęcia o tych myślach, które powstały w głowie pana Hovelinga, a choćby był wiedział o nich, nie byłoby to wcale wpłynęło na zmianę w jego postępowaniu.

Liana była przedmiotem jego szczególniej bacności, przy najmniejszym objawie niebezpieczeństwa stał u jej boku, gotów zasłonić ją sobą, lecz zaraz usuwał się, nie mówiąc ani słowa. Młode dziewczę znajdowało pewien urok w tém, że była głównym przedmiotem takiej troskliwości, ale jej wyobraźnia,

więcej, niż serce, skłaniała ją do Dumonta, tego równie zręcznego, jak bogatego młodzieńca.

Wreszcie las się skończył i z głośną radością powitali Europejczycy obszerną równinę z wesołemi polami ryżowemi. Tutaj zatrzymano się znowu.

Podczas kiedy dragoni Gilsona przygotowywali obozowisko, jak poprzedniego wieczora, poprosiła Liana ojca o pozwolenie pójścia do poblizkiej rzeki.

— Z pozwoleniem pana Hovelinga ja tutaj rozkazuje — odpowiedział oficer — jestem za wszystko odpowiedzialny i muszę być ostrożnym.

— Trochę za daleko posuwasz pan swoją władzę — zauważyła panienka z niechęcią.

— Nie odmawiam pani życzeniu — mówił Gilson dalej — ale będę pani towarzyszył.

Liana poruszyła się niecierpliwie. Liczyła ona może na to, że pan Dumont ofiaruje jój swoje towarzystwo.

— O, bądź pani spokojną, nie myślę pani nudzić moją obecnością. Będę w takim oddaleniu, abym mógł czuwać nad jój bezpieczeństwem. Trzeba ciągle być przygotowanym na napad.

— Pójdiesz ze mną, Marto? — zapytała Liana.

— Nie, dziecko, zostanę tutaj.

— Ja tymczasem obejmę dowództwo w obozie — zawołał Dumont — panie poruczniku, czy zechcesz przekazać mi swoją władzę?

— Bardzo chętnie — odpowiedział oficer mile, zdumiony, że Dumont nie okazał chęci towarzyszenia panie Hoveling.

— Zdecydowałam się także pójść z wami — poprawiła się Marta szybko, nie chcąc pod żadnym warunkiem pozostać sama z byłym huzarem.

— Więc pójdziemy wszyscy — zadecydował Dumont.

Młoda wdowa jednakże zanadto zaufała swym siłom wyczerpanym; w kilka chwil później musiał pan Hoveling odprowadzić ją znowu; pozostał przy niej aż do chwili, w której Dumont przyszedł i powiedział:

— Panna Liana prosi pana; masz pan wraz z nią podziwiać przesiłczną okolicę, a ponieważ sumienny pan Gelson nie chciał ustąpić ze swego posterunku, przeto ja przyszedłem do pana.

— Dziękuję panu; jako nagrodę przeznaczam panu miłe zadanie czuwania nad panią Arnold — odpowiedział ojciec Liany.

— Przyjmuję zlecenie z przyjemnością.

Marta spojrzała w stronę dragonów, którzy leżeli niedaleko w okóło wielkiego ogniska i milcząc zdecydowała się znieść wstrętne towarzystwo, którego napróżno unikać chciała.

— Dla czego obawiasz się mnie, Marto? — zapytał Aleksy — czyż nie pozostałem ci wiernym przyjacielem? Wierz mi, iż gorycz dawniejszej twój zdrady już dawno ustąpiła. Czy można nie nawiązać kogoś, którego się tak szczerze kochało, jak ja ciebie, Marto? Zdaje mi się, iż okazałem ci wręcz przeciwne uczucie, gdyż dzisiaj zrozumiałaś pewno, że jeżeli narażałem się na tyle niebezpieczeństw, to stało się to tylko dla tego, aby ciebie uchronić od śmierci, i ze względu na ciebie i Piotra także, którego wołałaś odemnie.

— Kłamiesz pan! — zawołała młoda kobieta — czy pan sądzisz, że nie wiem nic o morderczym zamachu pana na mego męża? A któż inny, jeśli nie pan, wypędził go z dawniejszego jego stanowiska i z Kalkuty? O, nie wierzę w pańskie współczucie, nie proszę o jego opiekę, wołałabym umrzeć, aniżeli zawdzięczać panu cośkolwiek!

— Widzę, że nieszczęście nie złamało jeszcze



dumy pani, a jednak powiedz mi, Marto, co się z tobą stanie, samotną w tym kraju?

— Cóż to pana obchodzi? Cierpiałam już dosyć; niechaj mi Bóg tego oszczędzi, abym kiedykolwiek musiała się zwrócić do pana.

— Może pani jeszcze kiedyś podziękujesz Bogu, że ci zostawił jeszcze jakąś ucieczkę. Nie żądam, Marto, niczego; przychodzę po prostu i mówię: Jestem dawnym przyjacielem, zostałaś sama, schyłona pod ciężarem troski. Godzina trudności wybije, samotność i niedola sprowadzą szereg cierpień i rozpacz. Gdy dzień ten nadejdzie, nie spoglądaj, Marto, wstecz, pogrzeb niesprawiedliwą nienawiść i przyjdź do człowieka, który nigdy nie przestał kochać cię i przyjmij jego opiekę. Dumont nie jest pierwszym lepszym, który ci ofiaruje swój majątek i swoje znaczenie.

— Nie znam żadnego pana Dumonta — przerwała mu Marta — ale przypominam sobie dobrego Aleksego Boyera, byłego huzara, który korzystał z dobrej wiary młodego dziewczęcia i wymógł na nią przyrzeczenie, którego był niegodny, który okradł swoje ciotki, później stał się zabójcą swego wuja i uciekł do Hiszpanii, który...

— Dosyć! — zawołał Aleksy. — Nie oskarżaj mnie, nie budź tych wspomnień we mnie; przeszłość moja umarła, tak samo, jak twoja. Zresztą któżby temu uwierzył, choćbyś mnie oskarżyła?

— Nie uczynię tego — odparła Marta — staraj się pan na tém nowém stanowisku naprawić błędy przeszłego życia, jestto jedyny sposób uproszenia przebaczenia u Boga.

— Bóg — szydził Aleksy — jeśli w ogóle istnieje, troszczy się mało o ludzi! Widzisz, Piotr nie żyje a mnie się wie dzie wszystko. Jestem bogaty, szanowany, zazdroszczą mi; powiedz potem



jeszcze, że Bóg dobrych broni a karze tych, którzy nie o nim nie chcą wiedzieć.

— Drogi Boże są często niezbadane — westchnęła Marta — ale strzeż się pan, znajdzie On bezbożnika we właściwym czasie!

— Głupstwo — przerwał Dumont — będę szczęśliwy z wola Boga lub bez niej. Zresztą, Marto, nie jest m tak zły, jak sądzisz i od ciebie tylko zależy, by mnie na inną znowu naprowadzić drogę.

— Nigdy!

— Cóż tak strasznego mi zarzucasz? Sądzisz mnie zbyt surowo. Dług honorowy zmusił mnie do zabrania ciotkom sumy, która i tak była przeznaczoną dla mnie i którą zamierzałem później oddać znowu. Była to lekkomyślność młodzieńcza, ale nie zbrodnia. A potem nie jestem bynajmniej zabójcą wuja Hieronima. Chciał mi zastąpić drogę, walczyliśmy ze sobą, potknął się, wpadł do fosy i znalazł tam śmierć. Uciekłem, ponieważ pozory były przeciwko mnie i ponieważ wiedziałem, że Piotr oskarżyłby mnie.

— On tego nie uczynił. Za to jednakże usiłowałaś pan zamordować go w czasie rozbicia się okrętu.

— Nedorzecznosc! Obawa poplątała myśli biednemu Piotrowi, zawsze mu się zdawało, iż nastaje na jego życie. Wśród walki ze śmiercią myśli każdy o własnem utrzymaniu się przy życiu i broni się z powodu kawałka belki, która stać się może ocaleniem. Uratowałem cię, Marto, więcój uczyniło było mi niepodobna.

— Kłamiesz pan z wielką zręcznością, ale przez to nic pan u mnie nie uzyskasz!

— Dzisiaj nie żądam, Marto, od ciebie niczego. Później..

— Nigdy! Nigdy!

— Mam nadzieję, że rozważa uczyni cię rozsądniejszą. Jeżeli moja wytrwałość i przywiązanie okażą się bezsilne, aby pokonać twój upór, natenczas złamię go przemocą. Nie wystawiaj pani sobie, że będziesz mogła długo mi się opierać. Nie znam przeszkód i trudniejsze już rzeczy pokonałem, aniżeli twoją nienawiść. Los nas stworzył dla siebie nawzajem, człowiek, który nas dzielił i młodość moją zatruł, już nie żyje. Marto, byłaś moją narzeczoną, zostaniesz żoną moją.

— Nigdy! powtarzam to panu — odpowiedziała wzdygając się.

— Nie należy mówić „nigdy“. Wiem dobrze, iż mojej ręki nie przyjmiesz chętnie, lecz zobaczymy czy będziesz wolała opuszczenie, poniżenie i głód więcej odemnie.

— Wolę samą śmierć, niż pana!

Aleksy wstrząsnął szyderczo głową.

— Jesteś zbyt młoda i piękna, Marto, aby zgodzić się na ubóstwo i nędzę; kobieta jest zawsze gotowa zmienić twardą dolę na świetną egzystencyą.

— Kobieta może nawet znieść śmierć męczeńską, jeśli łaska Boża ją wspiera.

— Piękny frazes! — odpowiedział Dumont, śmiejąc się szyderczo. Inne, niż pani musiały dumę swą upokorzyć; może i pani pewnego pięknego poranku zapukasz, szukając pomocy, do drzwi tego, którego teraz odrzucasz.

Nigdy! — powtórzyła młoda kobieta z oburzeniem. Wolałabym raczej stać się tu w lesie pastwą tygrysów, aniżeli oddać się w ręce takiego potwora!

— W gruncie rzeczy biorąc, Marto — mówił Dumont dalej — podoba mi się twój wstręt. Łątwiej pokonać nienawiść, niż obojętność. Dla tego mam nadzieję, że zmienisz przekonanie. Jestem

z pewnością wart tyle, co Piotr, ten głupiec, który nie doprowadził do niczego.

— Ponieważ pan byłeś złym duchem, który niweczył wszystkie jego usiłowania.

— Ja, doprawdy? Zawsze ja mam być tym, który był winien za głupstwa, popełnione przez tego biednego Piotra. Może myślisz jeszcze, że to ja zabiłem go w postaci Indyanina — sztydził huzar, którego zimna krew zaczęła opuszczać.

— Gdyby to panu było możliwem, uważałabym go zdolnym i do tego.

Aleksy zerwał się na równe nogi; jego oczy ciskały błyskawice; pochwyił rękę Marty i trzymając ją jak w kleszczach, syknął wściekły:

— Słuchaj, Marto, niechaj to będzie twoją karą! Jestem dość silny, aby się ciebie nie lękać, ani twój wzgardy, ani twój zemsty. Nie pozwoliłaś się wzruszyć ani prośbą, ani groźbą, aby mi wówczas danego słowa dotrzymać, a więc przez to sama stałaś się przyczyną śmierci Piotra. Słuchaj bowiem Marto, to ja popchnąłem rękę, która go ugodziła i wrzuciła następnie w płomień!

— Podły morderco! — krzyknęła nieszczęśliwa kobieta. — O mój Boże! mój Boże! biedny Piotr! Precz odemnie kacie! Nie chcę widzieć więcej, twoje ręce są splamione krwią!

— Nie widzę nic! zaśmiał się morderca szyderczo, przypatrując się swoim rękami. W napadzie wściekłości zdradził się; szatańską sprawiało mu to radość, iż zemścił się na biednej kobiecie tak okrutnie za jej wzgardę. Zdrady z jej strony nie obawiał się, bo i do kogóż mogła się zwrócić, aby znaleźć postuch, uważał się za wyższego nad wszelkie podejrzenie, aby mu niepodobnem było miało ogłosić ją za oczerniającą szaloną, która postradała zmysły z bólu po śmierci męża.

Dumont podniósł się i zwrócił się w stronę powracającej właśnie Liany; odzyskał już spokój i był uprzejmym dla młodego dziewczęcia, więcej, niż kiedykolwiek, ku wielkiej rozpaczy biednego Gilsona, który z każdą chwilą coraz bardziej przekonywał się o przychylności Liany dla swego współzawodnika. Niezdolny walczyć przeciw losowi swemu, poddał się zupełnemu zniechęceniu.

## XI.

### *Indyjska wróżka.*

Krótko przed udaniem się na spoczynek przyprowadziły patrole do obozu starą indyjską kobietę, która błąkała się w okolicy.

— To jest szpieg, panie poruczniku, powiedzieli, co mamy z nią zrobić?

Nieszczęśliwa prosiła o litość, zapewniała, że nie miała złych zamiarów, że tylko głód ją tam sprowadził.

Liana, wzruszona nędzną powierzchownością kobiety, wstawiła się za nią.

— A jeśli nas zdradzi? — zauważył jeden z dragonów.

— Zatrzymamy ją przez noc — zdecydował Gilson — trzeba dać jej jeść, zdaje się bardzo głodna.

— Jak się żywiecie i gdzie mieszkacie? — zapytał pan Hoveling.

— Zebrzę od wsi do wsi, zbieram rośliny przeciw febrze, czytam przyszłość z dłoni i za to dostaję garść ryżu.

— Jestto wróżka, moje panie — rzekł Dumont — jeśli chcecie poznać przyszłość swoją, to macie ku temu dobrą sposobność.

— Bardzobym sobie tego życzyła! — rzekła Liana.

— Ależ, dziecko, nie wierz tym głupstwom — odpowiedział pan Hoveling, śmiejąc się.

— Nie wierzę w to, ojczulku, to tylko z żartu!

A ty Marto?

— Ja niczego już się nie spodziewam od przyszłości — brzmiała smutna odpowiedź.

— Niech pani mimo to spróbuje! — zachęcał Dumont.

Liana pochwyciła rękę swój przyjaciółki, którą ta ostatnia po pewnem wahaniu podała. Indyanka pospieszyła zadowolić ciekawość kobiet, które się nią zajęły tak szczerze. Uważnie przypatrywała się dłoni Marty i oświadczyła następnie:

— Co za życie pełne niepokoju! Hez lez tu widzę! Linia bogactwa z początku całkiem słaba, wzmacnia się daléj, linia szczęścia zerwana w kilku miejscach, lecz zrasta się znówu. Biała pani doznała wiele goryczy, albo jej dozna jeszcze, lecz musi zostać bogatą i szczęśliwą...

— Słyszałaś pani? — szepnął Dumont Marcie; — „bogata i szczęśliwa — ze mną!”

Marta drgnęła, jak gdyby wąż jej dotknął.

— Wierzę w sprawiedliwość Bożą, a nie w przepowiednie wróżki — odpowiedziała.

Tymczasem Liana odkryła swoją białą, delikatną dłoń przed oczami kobiety. Pan Hoveling spoglądał na nią z uśmiechem, Gilson przysunął się mimowolnie bliżej. Nie wierzył tym głupstwom, a jednak przypatrywał się uważnie. Serce ludzkie czuje taką potrzebę wierzenia, takie pragnienie szczęścia, tak gwałtowne pragnienie dowiedzenia się, czy jego życzenia się sprawdzą, że aż nazbyt łatwo pozwala się porywać wszystkiemu, co ma jakiś pozór nadprzyrodzony i często właśnie najsilniejsze umysły ulegają takiemu pragnieniu, mianowicie, jeśli

straciły prawdziwą wiarę i ufność w tego, który jedynie rządzi przyszłością człowieka. Dzieje ukazują nam sławnych ludzi, wodzów i polityków, którzy nie wahają się badać swój przyszłości u astrologów i wróżek, czy ich zamiary uwieńczy pomyślny skutek, podobnie jak dawni poganie, którzy nie przedsiębrali nic większego, zanim wyrocznia w dwuznacznych słowach nie orzekła swego sądu. Taka ciekawość jest niezdrową i sprzeciwia się chrześcijaństwu, często miewa także smutne następstwa, ponieważ rozpacz, obłęd i zbrodnie nieraz wypływają z wiary w złudne przypuszczenia co do przyszłości.

— Co widzicie? — zapytała Liana.

— Biała panienska jest ładna, uprzejma i dobra — odpowiedziała wróżbiarka — zasługuje na to, aby była szczęśliwą i będzie nią też; jój życie płynie spokojnie i wesoło, jak strumień, który wije się wśród krzaków różanych, jój łzy są słodkie, jak rosa poranna, słońce opromienia dni jój, jój uśmiech budzi radość w innem sercu, wielka miłość krąży nad jój życiem.

Stara kobieta przepowiadała dobrze; studyowała ona rysy młodego dziewczęcia a nieznacznie śledziła wielkie zajęcie, z jakim porucznik przypatrywał się jój klientce, z tego prędko wysnuła przepowiednię, której prawdziwość przecież dopiero później miała się okazać.

— Możesz być zadowoloną — odezwał się ojciec — stara zapowiada ci przyszłość, utkaną ze złota i blasku.

— Prawdopodobnie wszystkim młodym dziewczętom prawi ona to samo — śmiała się Liana, wewnątrz zadowolona, ponieważ upatrywała w słowach starój kobiety spełnienie swych marzeń.

— A teraz, panowie, czy nie zapytacie się także Sybilli? Panie Dumont, zrób początek!

— Nie, dziękuję ci, panie Hoveling!

— Dla czego nie? — zauważyła Liana.

— Ależ ośmieszylibyśmy się w oczach ludzi, którzy nas otaczają. Przyszłość nasza będzie tém, czém ją uczynimy, leży ona w naszym ręku, zależy całkiem od nas i widzimy lepiej, niż ktokolwiek inny, w jaki sposób się ona ułoży.

— To znaczy, że pan nie uznajesz wyższej potęgi, która kieruje naszymi losami? — zapytał pan Hoveling.

— Tak jest; naukę o wyższej potędze uważam za przeciwną moralnej wolności człowieka i jego godności. Jeżeli przypuszczam, że człowiek jest tylko narzędziem w ręku najwyższej istoty, która wedle własnego upodobania nim rządzi i kieruje, wtenczas tém samém odmawiam mu niezależności i uważam rozum jego za prosty instykt.

— Jesteś w błędzie, mój panie — przerwał Gilson; — wiara w Boga, jako istotę stwarzającą i utrzymującą wszystko, nie zmniejsza bynajmniej wielkości człowieka, nie odbiera ona nam też wcale naszej wolności. Przeciwnie, czuję się większym i szlachetniejszym, gdy sobie mówię, że wyszedłem z ręki i tchnienia Bożego, aniżeli jeślibym wierzył, iż jedynie powstałem z prochu i dopiero przebyłem takie a takie odmiany, aby z małpy przedzierzgnąć się w człowieka. Czuję się podniosłym w przekonaniu, że duch mój jest nieskończonym wraz z Bogiem, którego jest podobieństwem; martwe ciało nie stworzyło duszy, śmierć jej nie zniszczy; oto nauka, z której jedynie człowiek może czerpać siłę moralną, odróżniającą go od zwierzęcia.

-- Zdumiewa mnie to, że protestant głosi takie zapatrywania — odezwał się Dumont znowu. — Na cóż się przydała owa tak zwana reformacya, jeżeli pozostawiła błędy katolicyzmu?



— Protestantyzm nie jest wolnodumstwem, mój panie — rzekł Gilson — wierzy w Boga i modli się do niego. Zresztą jestem katolikiem, czy i pan jesteś nim także?

— Wprawdzie urodziłem się w tej religii, ale skoro tylko zacząłem myśleć samodzielnie i własne wyrabiać sobie zdanie, odrzuciłem zaraz ten niski przesąd. Nauka od dawna wzniosła się ponad owe pobożne bajki, otaczające kołyskę ludzkości i trzymające nas tak długo w spowiciu głupoty. Duch ludzki wyzwolił się i kroczy dzisiaj na drodze postępu i wolności.

— Taki rodzaj wolności nie może przyczynić się do dobra ludzkości — zaprotestował oficer. — Jeżeli rozum ludzki nie ma popaść na błędne drogi, to powinien być oświeconym jasnym światłem wiary. Porównaj pan wielkie umysły, które swym geniuszem opanowały świat i dokonały wielkich czynów, a przekonasz się, że tylko ci, których rozum był poddany wierze, stale dążyli do wytkniętego celu i zdziałali wiele prawdziwie dobrego dla ludzkości. Wiara, ten odblask boskiego światła, sama tylko może człowieka poprowadzić przez ciemności życia w sfery nieskończoności, wieczności; ona to otwiera mu prawdziwe źródło potęgi, wielkości, dobra i prawdy.

Jan Dumont nie zadawał sobie trudu, by słuchać wywodów Gilsona, nie pomyślał on nigdy o tych rzeczach poważnie. Z pomocą kilku mdłych frazesów, które usłyszał od innych, lub wyczytał w piśmie i książkach, chętnie lubił nadawać sobie pozór uczoności w obec takich ludzi, którzy stali niżej od ni-go pod względem umysłowym, ale strzegł się rozpoczynać poważną szermierkę na słowa.

Liana z widocznym natężeniem uwagi przysłuchiwała się rozmowie; pomimo swego uprzedzenia dla Dumonta, musiała przyznać, że Gilson stał umysłowo znacznie wyżej od niego. Czuliła ona także pewne

wewnętrzne przygnębienie z powodu zapatrywań, jakie zdradzał Dumont, lecz serce dziewczęce chętnie wierzy w to, czego pragnie i Liana wmówiła w siebie, że jój przysły mąż prędko nawróci się do innych przekonań.

Po tém zajściu odszukała swoją przyjaciółkę, która się usunęła i zdawała się znowu całkiem zagrożona w rozpacz.

— Dla czego płaczesz, Marto? — zapytała z współczuciem. — Jeszcze cała nadzieja nie stracona. Kiedy te doświadczenia miną, zakwitnie szczęście na nowo.

— Wróżka nie wie, co mówi. Dla mnie nie ma już szczęścia i przyszłości od czasu, jak Piotr nie żyje.

— Nie wierzę jeszcze w jego śmierć — odparła Liana.

— Nie staraj się budzić we mnie złudnych nadziei; jest to nadaremne, jestem pewną, że zginął w płomieniach.

— Nikt tego nie może twierdzić, Marto. Gilson przed naszym wymarszem zlecił dwom Indyanom, aby szukali twego męża i przyrzekł im wysoką nagrodę; dopóki nam oni nie przyniosą wiadomości o jego śmierci, możemy mieć nadzieję. Jeśli twój mąż żyje jeszcze, to ci ludzie z pewnością go znajdą.

Marta wstrząsnęła głową. Wiedziała ona więcej, aniżeli mogła Lianie powierzyć.

— Pan Gilson jest szlachetnym człowiekiem. O! dla czego nie uznajesz jego wartości, Liano? Czyż jego poświęcenie, jego troska o ciebie nie wzruszają cię? Stara Indyanka słusznie ci powiedziała, że wielka miłość strzeże dni twoich!

— Ale jój słowa nie odnosiły się przecież do Gilsona! — rzekło dziewczę zdumione. — Jesteś Marto, jedyną istotą, która nie widzi zabiegów pana Dumonta około méj osoby.

— Czy ty istotnie myślisz, Liano, że Dumont cię kocha?

— Jestem jak najsilniej przekonana o tém.

— I kochasz go nawzajem?

— Jak nikogo w świecie!

— Gdybyś jednakże pana Dumonta nie była nigdy poznała, czy byłabyś wtenczas zwróciła serce swoje ku Alfredowi?

— Być może; ale nigdy nie żywiłam dla niego tych uczuć, które żywię dla Dumonta.

Młoda kobieta milczała przez chwilę, widocznie rozważając, czy nie powinna wreszcie położyć tamy nieszczęśliwej skłonności swój przyjaciółki. Łzy jej przestały płynąć, zaczerwienione od płaczu oczy miały połysk gorączkowy, kiedy zwracając się do Liany rzekła do niej:

— Liano, mam ci coś ważnego do powiedzenia. Zgrzeszyłabym przeciw przyjaźni i wdzięczności, jaką winnam twemu ojcu, gdybym milczała teraz jeszcze. Czy chcesz mnie wysłuchać?

— Przerażasz mnie Marto! Mów!

— A czy mi uwierzysz?

— Tak, byłaś zawsze szczerą i wiem, że mnie kochasz. Mów prędko, drzę cała, gdyż domyślam się, iż chodzi o Dumonta.

— Tak jest, chodzi tu o Dumonta, albo raczej o tego, którego tak nazywają w Kalkucie. Liano, uczyniłam wszystko, aby twe serce odwrócić od tego człowieka, miałam nadzieję, że uczucie twoje dla niego nie będzie poważnem i że nie będę potrzebowała zdzierać mu maski.

— Czy jesteś zupełnie pewną siebie, aby się odważyć wyrażać się w ten sposób o człowieku, który cieszy się ogólnym szacunkiem? Pomyśl, że go kocham!

— Ale on ciebie nie kocha, Liano!

Młode dziewczę poruszyło się.

— Mylisz się, mam na to dowody a jeśli twoje dalsze zapewnienia nie są wiarogodniejszymi..

— Gdybyś go była słyszała mówiącego przed godziną, wyrażałabyś się teraz zupełnie inaczej o niegodziwym awanturniku, który jest złodziejem, mordercą i zdrajcą w jednej osobie i który czyni sobie igraszkę z ciebie!

— Marto! nie jesteś zdolną okłamywać mnie, ale cię źle poinformowano.

— Uspokój się, Liano, i słuchaj. Jedno słówko lepiej cię przekona, aniżeli długie opowiadanie. Dumont, który przybył z Hiszpanii z ukradzionym w każdym razie majątkiem i drwi sobie z wielkiego świata Kalkuty, wyzyskując go, nie jest nikim innym, jak..

Liana zbladła straszliwie na ten wstęp złowrogi.

— Kimże więc jest? — nalegała trwożliwie, widząc, iż Marta waha się odkryć okropną tajemnicę.

— Aleksym Boyerem!

— Niepodobna! — szepnęło dziewczę — opadając na wpół bezwładnie.

— Tak — mówiła Marta dalej — to jest Aleksy Boyer, który tu w Indyach dokonywa niezapomnianej swój zemsty, który zgubił Piotra i wreszcie go zamordować kazał.

— Ale to nieprawda, Marto, boleś cię złudziła, pan Arnold przecież poległ wśród walki!

— A jednak to prawda! Dumont podburzył dzikich na waszą osadę, aby mego męża zgubić, na jego to rozkaz został zamordowany.

— O! temu nie mogę uwierzyć! — zawołała panna Hoveling — wybuchając płaczem. Zaczęła się obawiać, iż Marta nagle straciła rozum. — Przeciwnie — mówiła dalej — Dumont przybiegł nam na pomoc i naraził własne swoje życie. Nie, to nie może

być prawdą, co mówisz, może cię łądzi tylko podobieństwo!

— Przebacz mi, Liano, że ci takie zadaję męki, ale powinnaś wiedzieć wszystko. Chciałem oszczędzić twemu dziecięcemu umysłowi wstrętnego obrazu zepsucia moralnego, ale mię zmuszasz do zerwania zasłony, pod którą obłudnie kryje się ten niegodziwiec.

Marta opowiedziała następnie słuchającemu zezamarłym w piersiach oddechem dziewczęciu wszystko, co zaszło przed godziną między nią a Boyerem; jego prośby, groźby, przyznanie zbrodni, jego zamiary. Liana była wzruszona do głębi, łzy jej przestały płynąć, patrzała z drżeniem w przepaść, w którą byłaby się pogrążyła; gniew, wstyd, że uczucie swoje zwróciła ku takiemu potworowi, pokonały smutek, że porzucić musiała miłość, która w istocie istniała raczej w jej wyobraźni, aniżeli w rzeczywistości.

— Czy mi wierzysz teraz, Liano? — zapytała Marta, skończywszy opowiadanie. — Jeżelibyś jeszcze powątpiewała, to powtórzę ci to samo w obec Dumonta.

— O nie, nie! Umarłabym ze wstydu!

Po pierwszym uczuciu oburzenia znowu boleść wzięła w górę.

— O Marto — mówiła płacząc — tego nie zniosę! Moje serce krwawi się na myśl o takim zawodzie.

Młoda kobieta czule uścisnęła zrozpaczone dziecko, przemawiając w sposób łagodny i przekonujący.

— Liano, to wrażenie zatrze się znowu, rana nie jest tak głęboką, jak ci się zdaje. Bóg ci wróci zakłócony spokój i pozwoli ci o wszystkim zapomnieć; daje ci on jako pociechę szczerą i prawdziwą miłość szlachetnego człowieka, nauczysz się cenić

Bohaterskie poświęcenie przyjaciela lat dziecińczych, który cię wyrwał ze szponów śmierci. Alfred jest dla ciebie tém, czém był Piotr dla mnie, kocha cię, jak on mię kochał i mam nadzieję, że niedługo połączycie się nie tylko w miłości, ale i we wierze. Oto szczęście, które cię czeka.

Marta długo mówiła w tym tonie, słowa jęj płynęły z serca i trafiły do serca ciężko przygnębionęj Liany. Ta ostatnia, oparłszy głowę na ramieniu przyjaciółki, płakała cicho. Czula ona potrzebę pozostania samą i wyplakania się dowoli; chciała odzyskać znowu siłę do utajenia swego smutku. Nikt nie powinien był przeczuć jęj rozczarowania, chciała wystąpić w obec Dumonta chłodną i spokojną.

Opuściła Martę i usiadła pod osłoną ciemności pod drzewem palmowém. Wsparta na pokrytym mchem pniu drzewa, ukrywszy twarzyczkę w dłoniach, dała folgę swym łzom. Jak długo pozostała, oddana sama sobie, nie wiedziała, dopiero szmer jakiś w pobliżu obudził ją.

— A! nareszcie znajduję panią — zawołał Gilson uradowany — byliśmy niespokojni. Ojciec panią szuka. Ale cóż się pani stało? Płaczesz? Czy pani chora?

— To nic — odpowiedziało dziewczę zmieszane — nie pytaj mnie pan, to znużenie, trochę febrę, zresztą nie wiem co....

— Chodź, Liano, chłód nocny mógłby ci zaszkodzić. Jeśli mi nie chcesz wyjawić przyczyny łez swoich, to wiedz przynajmniej o tém, iż w każdej chwili możesz liczyć na moją wierność.

— Alfredzie — odpowiedziało dziewczę tonem błagalnym, byłam tak niesprawiedliwą w obec pana, czy możesz mi to wybaczyć?

Gilson jakby spadł z obłoków, widząc tę niespodziewaną zmianę, której przyczyna wydawała mu



się niewytłomaczoną. Ale teraz nie była pora pomyśleć, aby nalegać na Lianę więcej; udali się razem do obozu, gdzie ojciec oczekiwał Liany. Gilson uściskał dziewczęciu rękę serdecznie i dołączył cicho:

— Liano, rozporządzaj mną, życie moje należy do ciebie!

Trzy osoby nie zmrzyły oka téj nocy. Marta wzruszona tak potężnymi, głęboko w jéj życie wnioskującymi wypadkami, nie mogła znaleźć spokoju. Pewność co do śmierci Piotra, niebezpieczeństwa, które ich otaczały, ból, jaki sprawiła swéj ukochanej Lianie, wszystko to dręczyło jéj serce i łączyły się często ze łzami sąsiadki, którą również odstępiał pocieszyciel: sen.

Gilson doznawał wzruszenia innego rodzaju. Ostatnie wyrazy Liany rozbudziły w nim na nowo zagasłą już nadzieję; napróżno rozważał, co się Lianie stało, dla czego płakała i dla czego tak niezwykle serdecznie przemawiała do niego. Czując nad bezpieczeństwem obozu, bezustannie obchodził posterunki, starał się o utrzymywanie ognia i po każdéj takiéj przechadzce kładł się o kilka kroków od namiotu Liany.

Już minęła północ, Gilson zbliżył się właśnie do najskrajniejszój linii, gdy wtem przywykłe do ciemności oczy jego rozróżniły kilka postaci, wyłaniających się z gęstwiny. Nie uważał jeszcze za potrzebne uderzać na alarm, tylko z nabitym rewolwerem w rękę postąpił ku zbliżającemu się.

— Kto tam? — zawołał.

— Niech pan porucznik nie strzela, to są przyjaciele, których uważano za straconych, a którzy powracają znowu.

Młodzieniec nie spuszczaając broni postąpił kilka kroków i poznał Yauka, zaufanego sługę Dumonta.



— A! to ty jesteś! twój pan sądził, iż poległeś; ucieszysz się, że zdołałeś ująć nieprzyjacielowi.

— Tego nie jestem zupełnie pewny, ale nie miałem ochoty umierać, aby zrobić przyjemność mojemu panu. Pan porucznik jest odważnym i uczciwym człowiekiem. Krogulec schwycił gołąbka, ale kula myśliwego położy drapieżnego ptaka trupem.

— Co to ma znaczyć? — zapytał Gilson, który nie mógł zrozumieć tajemniczej mowy Indyanina.

— Francuz nie umarł.

— Kto? pan Arnold?

— Jest tylko ranny. Uratował go pewien Indyanin, któremu niedawno wyświadczył dobrodziejstwo. Zobaczycie go niedługo.

— Jesteś tego pewnym, Yanko?

— Ręczę za to głową.

— Zostajesz z nami?

— Powrócę; poprzednio muszę jeszcze iść tutaj w okolicę.

Gilson nie starał się zatrzymać go; był on radośnie zdziwiony opowiedzianą mu wiadomością, że nawet się nie pytał, kto to byli owi towarzysze jego, którzy zniknęli. Gdyby tak był mógł Marcie i Lianie wiadomości téj udzielić natychmiast!

W ich namiocie jednakże nikt się nie poruszył, Gilson nie chciał przerywać snu ukochanej i czekał cierpliwie brzasku dnia, który miał Marcie przywrócić życie i szczęście. Niecierpliwie liczył godziny nocy i nigdy pewno nie witał z taką radością pierwszych promieni jutrzeńki.

## XII.

### *K a r a.*

Panie zdziwiły się niemało, gdy usłyszały głos trąbki sygnałowej, podczas kiedy w namiotach było

jeszcze zupełnie ciemno. Gilson nie chciał dłużej czekać, wiedział bowiem z góry, że chętnie mu wybaczą to skrócenie spoczynku nocnego.

— Oj! panie Gilsonie, — groziła Liana, uśmiechając się — jakże można być tak niegrzecznym i budzić nas wśród nocy?

— Dzień się zbliża i chcemy korzystać z chłodu porannego. Czy pani myślałaś może, że znowu nadużywam méj władzy?

Liana zarumieniła się, lecz nie była usposobiona do udawania obrażonej.

— Liano — mówił porucznik dalej — mam dobre wiadomości, czy zechcesz przejść się ze mną, abym ci mógł ich udzielić?

— Z przyjemnością, jestem do usług pańskich.

Szybko cofnęła się do namiotu, aby za kilka chwil ukazać się znowu, otulona w ciepły szal. Milcząc podał jój Gilson ramię, które przyjęła jak dawniej, jak gdyby żadne nieporozumienie nie było zaszło między nimi.

Gilson opowiedział jój w kilku słowach, co się dowiedział od Yanka o Arnoldzie. Liana byłaby mu z radości skoczyła na szyję. Wśród radości zawołała:

— A więc się nie omyliłam, Matka Boża wysłuchiwała méj modlitwy, chce, abym została jój dzieckiem!

Alfred patrzył na nią zdziwiony.

Młode dziewczę spostrzegło, że się zdradziło. Była jednakże zbyt szczęśliwa, aby się nie podzielić swą radością z przyjacielem, był nim bowiem na nowo. Pospiesznie opowiedziała mu, jak Marta w dniu napadu włożyła jój na szyję medalionik z obrazem Najświętszjéj Panny i jak wśród walki wezwała pomocy Matki Bożjéj, przyrzekając jój, iż zostanie katoliczką, jeśli wszyscy sercu jój drodzy zostaną ocaleni.

— Dla tego nie mogłam uwierzyć, aby pan Arnold miał zginąć — dodała — teraz modlitwa moja została wysłuchana, a ja dotrzymam słowa!

— Jakżeby mię to uszczęśliwiło! — zawołał Alfred ze łzami w oczach. — Ale teraz, Liano, pospiesz do Marty i nie oddawaj już dłużej biednej kobiety na łup smutkowi. Pozostawiłem tobie to radosne posłannictwo, ponieważ wiedziałem, iż to ci sprawi największą radość.

— O! jak dobrym jesteś, Alfredzie! — zawołała i odbiegła, uściskawszy dłoń jego.

Gilson patrzył zamyślony przed siebie.

— Jakie dobre dziecko! Bóg zdziałał cud w jej sercu, może dokona jeszcze jednego na moją korzyść. Liana katoliczką jak ja! Teraz podwójnie trudno byłoby mi, gdybym musiał jej odstąpić innemu!

Czyż potrzeba opisywać scenę, która się odegrała między obydwoma kobietami, kiedy Liana po kilku wyrazach przygotowawczych mogła powiedzieć Marcie:

— Twój mąż żyje, wyzdrowieje niedługo!

Długo spoczywała wielce doświadczana: przeciwnościami kobieta w objęciach wzruszonej głęboko przyjaciółki, wylewając łzy radości, niezdolna wymówić słowa. Wreszcie, kiedy się nieco uspokoiła, uknęła wraz z Lianą i obie modliły się długo i gorąco.

— Teraz dotrzymam słowa, Marto, zostanę katoliczką, tak jak ty i Piotr.

— I jak Alfred — dorzuciła Marta.

— Tak jest, jak Alfred, filutko, zaśmiała się Liana.

Obiedwie pobiegły do pana Hovelinga, aby i jemu radosną zanieść wiadomość.

Kiedy nadeszła chwila wymarszu, nagle powstało wielkie poruszenie w obozie. Pan Dumont, o którym z powodu wesołej wiadomości która za-

jęła wszystkich, nikt nie myślał, zniknął, jego namiot był próżny.

— Gdzież on może być? — pytał pan Hoveling. — Czyżby wyszedł na dalszą przechadzkę? To byłoby nieostrożnem.

— Nic z tego nie pojmuję — odpowiedział Gilson — ale wyślę ludzi w okolicę, aby go odszukali.

Niebawem dowiedziano się od przednich straży, że Dumont w nocy przeszedł przez szereg posturków i udał się do pobliskiego strumienia, ponieważ nie mógł spać, jak mówił. Niepokój stał się tym większy, że nikt nie umiał powiedzieć, czy powrócił. Wysłano patrol we wskazanym kierunku, lecz tenże powrócił z kapeluszem i rewolwerem Dumonta, które znaleziono, lecz śladu właściciela tych przedmiotów nie było nigdzie. Widocznie błąkający się tu i owdzie Indianie pochwycili go i zabrali. Gilson przypominał sobie dziwne opowiadanie Yanka, ale nie było czasu do tracenia a szukanie było niemożliwem; trzeba było wyruszyć w drogę i pozostawić Dumonta własnemu losowi. Mantę i Lianę wzruszyło to odkrycie, one same znały istotny charakter Dumonta i jego winę. Czyżby ręka Boża dosięgnęła go tak prędko?

Co się stało z Dumontem? Można się domyślić. Yanko, którego uważał za zabitego od kuli, która padła podstępnie z jego ręki, był tylko lekko ranny, ale skoro się przekonał, że pan jego chciał go się pozbyć, wtenczas z indyjską przebiegłością padł na ziemię, udając umarłego, aby później uciec i postarać się o sposoby zemsty. Nie trudno mu było znaleźć kilku ludzi swjej rasy, gotowych do pomżenia mu, chcieli zakraść się do obozu i pochwycić Dumonta. Wyszedł on im już sam na połowę drogi naprzeciw. Leżąc na ziemi, ujrzeni go nadchodzącego, rzucili się na niego, nie zostawiając

mu czasu do pochwycenia za broń. — Aby nie mógł krzyczeć, zapchano mu usta, nałożono przepaskę na oczy i związawszy ręce w tył, zmuszono go do postępowania naprzód.

O świcie, kiedy wreszcie przepaska spadła z oczu, znalazł się w gęstym lesie; wśród rabusiów poznał swego dawniejszego pomocnika. Teraz wyjaśniło mu się całe położenie — był zgubiony.

— Czego chcesz Yanko? Wziąłem cię do mego domu, żywiłem cię i obsypywałem dobrodziejstwami, dla czego pozwalasz teraz na to, aby mnie zabijano?

— Panie — odpowiedział Indyanin — służyłem ci wiernie, zemstę twoją uczyniłem swoją własną; aby ci się przypodobać, wywołałem rozruch, który stłumiono krwią, zburzyłem posiadłość ludzi, którzy nie uczynili mi nic złego.

— Czy zabiłeś mego nieprzyjaciela?

— Sądziłem, iż tak uczyniłem, lecz on żyje jeszcze; mój sztylet byłby go dosięgnął ióżniej, ale teraz on musi żyć.

— Yanko, oddaj mi wolność, dam ci połowę mego majątku!

— Albo stryczek! — szydził Indyanin. — Nie, wolę nasycić moją żądzą zemsty. Istnienie twego współnika było ci uciążliwem, lękałeś się jakiego słówka z ust moich, jakkolwiek przysiągłem milczenie. Chciałeś zdradliwie zabić swego sługę.

— Mylisz się, Yanko, jeden z dragonów uderzył cię przez pomyłkę, ja nie chciałem nigdy uczynić ci nic złego.

— Mój pan jest kłamcą i podłym mordercą; widziałem, jak do mnie strzelał; zostałem przy życiu, aby się zemścić; Indyanin nie zna litości.

Dzicy przywiązali swego jeńca do drzewa palmowego a Yanko zapytał się szyderczo:

— Czy chcesz zostać spalony żywcem, umrzeć z głodu, lub stać się pastwą dzikich zwierząt?

Dreszcz przeszedł skazanego.

— Zabij mnie na miejscu! — zawołał.

— O nie, mój panie, toby było zbyt ła-  
skawie!

Dumont wiedział, że nie ujdzie swym oprawcom i że nikt mu nie pospieszy z pomocą.

Indyane tymczasem zapalili pochodnie, myślał więc, iż oddadzą go na pastwę płomieniom. Tak się atoli nie stało. Czarni szatani utworzyli koło w około niego i rozpoczęli wśród piekielnego krzyku swe tańce. Skakali przed jego oczami, dotykali prawie pochodniami ciała jego, ale strzegli się zapalić je. Krzyk stawał się coraz straszliwszy, rzucał się, jak opętani. Nieszczęśliwy zamknął oczy, aby nie patrzeć na to wstrętne widowisko. Wreszcie Indyane zmęczeni się, pochodnie zagasty i skazaniec znalazł się sam w téj okropnej samotności. Ale to był początek dopiero.

Aleksy odczyskał znowu do pewnego stopnia zimną krew i obejrzał się dokoła. Znajdował się na szerokiej polanie, ale w całkiem nieznanéj sobie okolicy. Niedaleko niego szumiał potok i zdawało mu się, że Indyane umyślnie to miejsce wybrali, ponieważ nocną porą musiały tu przychodzić dzikie zwierzęta, by się napić. Zaczął szamotać się, usiłował zerwać pęta, ale nadaremnie, Yanko przywiązał go mocno. Od czasu do czasu powtarzał rozpaczliwe usiłowania, lecz wyczerpywał swe siły na próżno.

Stońce posuwało się coraz wyżej. Głód i pragnienie pomnażały jego męczarnie. Drzewa bananowe wabiły go soczystymi swemi owocami, lecz nie mógł ich dosięgnąć, spieczony język łaknął trochę wody i jakby na urągowisko szumiał w pobliżu strumień. Do tych straszliwych męczarni fizycznych łączyły



się wewnętrzne wyrzuty, a gdy je chciał rozpędzić, otaczały go myśli o przeszłości, o zbrodniach, jak niezliczone mnóstwo much natrętnych, przed których ukluciem nie zdołał się obronić.

Okropnem było położenie człowieka, który przed kilku zaledwie godzinami uważał się za pana i władzcę swego losu, który przechwalał się, iż dość jest silnym, aby usunąć wszelkie przeszkody z swęj drogi. Wyparł się Boga, urągał Mu, a teraz musiał, bezsilny i skazany, przyznać mimo woli, że wszelka moc ludzka jest niczem. Cóż mu pomogło, że w Kalkucie nosił imię poważane? Cały jego ukradziony majątek nie zdołał go ochronić przed żarem słońca ani na minutę, chciwy bogactwa, honorów i wszelkięj rozkoszy Aleksy Boyer musiał teraz cierpieć męczarnie głodu i pragnienia.

Czy to było dziełem przypadku, iż wpadł w ręce nieprzyjaciela swego, albo téż, jak mu to przepowiedziała Marta, dosięgnęła go karząca prawica Boga?

Z przerażającą jasnością przedstawiło mu się całe jego minione życie i przed oczami jego stawały obrazy, które sprawiały mu dreszcze. Jakże spokojnie żył on niegdyś w owęj cichęj dolinie w Pyrenejach, gdzie spędził lata dziecinne, jedyny czas, na który mógł teraz spoglądać bez przerażenia. Gdyby nigdy nie był poznał świata i jego walk, w których jego gorąca a słaba natura zawiodła go na błędne drogi! Przeklinał dzień, w którym rzucił się w wir życia garnizonowego, które stało się dla niego początkiem złego i popchnęło w objęcia występku! W miejsce dziecięcęj wiary wstąpiła bezbożność i żądza rozkoszy, dla zadowolenia któręj, został graczem, złodziejem i mordercą! Inne jeszcze myśli, nie mniej gorzkie, pomnażały jego męczarnie. Musiał umierać a ten, którego zgubić było celem jego życia, miał żyć. Marta i Piotr byli na zawsze



uwolnieni od jego prześladowania, jego śmierć zapewniła im szczęście! Dzika wściekłość ogarnęła go na tę myśl. Ta grzeszna namiętność przywiodła go tutaj, ona to winną była jego śmierci!

Umrzeć! Czy to podobna! Umrzeć jak skazaniec, z pianą na ustach, z przekleństwem w sercu!

Kto o nim pomyśli, kto zapłacze nad jego zgonem tragicznym? Tysiąckroć przeklęty, zniknie jak zła istota, grób nie pokryje szczątków jego, nieużyteczne życie jego przyniosło tylko owoce nienawiści i bezbożności, jego pamięć będzie na zawsze przeklętą.

Jakaż drogę przeszedł od owego dnia, w którym po raz pierwszy usłuchał zwodniczego głosu namiętności? Nie powstrzymywany żadnemi skrupułami religijnemi, wstąpił na pochyłą ścieżkę występku i upadał coraz niżej, aż wreszcie wyższa potęga zamknęła występną drogę, w chwili, kiedy zamierzał używać owoców swych zbrodni.

Wolno, straszliwie wolno mijały godziny, wzmagając z każdą chwilą jego męczarnią. Pomimo pełnych mściwości słów Yanka, miał on zawsze jeszcze nadzieję, że chciwość Indyanina będzie silniejszą od okrucieństwa i że udrczywszy go dość długo, powróci i odda mu wolność za ciężkie pieniądze. Napróżno! Już noc nadchodziła, a Yanka nie było widać.

Teraz zniknęła wszelka nadzieja, nieszczęśliwy przypomniał sobie groźbę Yanka, że zostanie pożarty przez dzikie zwierzęta. Gdyby był wybrał śmierć w płomieniach, jużby oddawna było po wszystkim! Niebawem złowrogie cienie zaczęły ogarniać las cały, ptaki umilkły, zdaleka słychać było grozę budzące odgłosy dzikich zwierząt, które rozpoczynały swą pracę.

Wtem rozległ się niedaleko w gęstwinie ryk potężny, tak, iż Dumonta dreszcz przebiegł od stóp

do głowy. W następnej chwili przebiegać zaczęły kozice, antylopy, szakale przez polankę, tuż obok skazańca. Instykt zachowawczy pędził je w dal, gdyż król zwierząt zapowiedział swoje poblize. Ryk zbliżał się, krzaki szeleściły i na skraju polanki ukazał się lew z grzywą podniesioną, w dumnej postawie. Jak gdyby wietrząc zdobycz, przystanął, zwracając swe nozdrza w stronę Dumonta. Ten ostatni chciał wydać okrzyk grozy, lecz głos zamarł mu na ustach, widział jak płonący wzrok zwierza skierował się ku niemu właśnie.

W obec swój ofiary lew zawahał się, spojrzał z lekceważeniem na tę zbyt łatwą zdobycz, jaka mu się nasuwała bez sposobności do okazania waleczności z swój strony. Wtém nastrzepił grzywę, otworzył szeroko okropną paszczę i nowy, straszliwy wydał ryk, przyczem uderzył ogonem o boki, jak gdyby chciał dać wyraz swój żądzy do boju. Od strony rzeki odpowiedziano na to wyzwanie i wystąpił wspaniały tygrys. I on poczuł świeże mięso i pospieszył odebrać zdobycz, tak, iż obydwaj rywale prawie równocześnie zbliżyli się do swój ofiary. Straszliwy kot ukazał lwu mruczając ostre zęby i uniknąwszy kilkakrotnie pazurów lwa, rzucił się niespodzianie na skrępowanego, rozdzierając kawał jego ubrania.

Lew widocznie bardzo źle przyjął ten objaw śmiałości, napadł tygrysa i powalił go żelazną siłą o ziemię, gdy tymczasem ten ostatni zatopił kły w boki lwa. Rozpoczęła się zajadła walka, która mogła się skończyć jedynie śmiercią jednego ze zwierząt.

Zwabione głośnym rykiem walczących zwierząt, nadbiegły dwa inne tygrysy, których oczy płonęły żądzą krwi. Ten skrępowany człowiek zdawał się być nagrodą, przyrzeczoną zwycięzcy.

Dumont na wpół umarły z przerażenia, patrzył jakby bez zmysłów na wrzącą walkę, która dla niego

mogła tylko się stać zgubną; twarz jego była zmieniona nie do poznania, oczy wyszły z jam swoich, włosy posiwiałe przez kilka godzin, stanęły mu na głowie, ściśnięte gardło nie było zdolnem wydać głosu; była to straszliwa walka śmierci.

Czy w téj chwili ujrzał swoją całą niemoc, jako też dawniejszą swą zarozumiałość? Czy Bóg w Swem nieskończonem miłosierdziu obudził w sercu jego uczucie żalu? Należy mieć nadzieję, gdyż stłumionym głosem szeptał nieszczęśliwy:

— Litości, Boże, łaski, łaski!

Lew, ulegając liczbie, przepłacił swą pychę, podobnie jak Dumont, życiem. Pierwszy jego przeciwnik poił się gorącą jeszcze krwią jego. Dwa inne tygrysy rzuciły się na pół nieżywego Dumonta, rozrywając go w kawały i walcząc o swoją część. Okrzyki bólesci ofiary zamilkły niebawem, dramat zakończył się.

### XIII.

#### *Po łzach — wesele.*

Ubiegło pół roku od czasu, jak opuściliśmy naszych przyjaciół. Blizko Kalkuty w skromnym, lecz obszernym domu, otoczonym świeżo założonemi ogrodami, spotykamy pana Hovelinga znowu. Zamierza on właśnie przy pomocy Arnolda nową stworzyć sobie egzystencją. Gęsty dym wychodzi już z wysokiego komina fabrycznego, gdyż jestto czas, w którym robotnicy rozpoczynają pracę dzienną. Tymczasem pan Hoveling z Lianą i Gilsonem odbywają przechadzkę. Liana się zmieniła nieco. Swawolna wesołość ustąpiła miejsca powadze a czasami nawet smętnemu usposobieniu, które ją opanowuje, ilekroć przypomina sobie wypadki ostatniego roku. Niebezpieczna skłonność, która ją trzymała na-

uwięzi przez pewien czas i zaćmiewała zwierciadło jój czystej duszyczki, zniknęła jak przykry sen, przychylność zaś dla Gilsona zamieniła się zwolna w gorętsze uczucie.

Marta miała słuszość, kiedy pocieszała zrozczone dziecko tem, że w miłości Gilsona znajdzie obfite wynagrodzenie. Młody oficer nie powtórzył dotychczas swój propozycyi, chciał on, jako delikatnych uczuć człowiek, zostawić Lianie czas do zapomnienia o pierwszym zawodzie, lecz jój zrąnionie i tak gorzko dotknięte serce uleczyła jego ciągła i serdeczna troskliwość, smutek musiał ustąpić miejsca wesołości i ufności w szczęśliwą przyszłość.

Gilson zresztą nie cieszył się długo towarzystwem Liany. Kiedy szczęśliwie doprowadził uciekających do Kalkuty, powołał go obowiązek na plac boju, gdyż dopiero w kilku obwodach spokój był przywrócony. Wtenczas dopiero Liana poznała, że jój czegoś braknie; dni wydawały jój się długie, życie monotonnem, nawet ruchliwe życie w Kalkucie nie przedstawiało żadnego uroku dla niój. Sto razy odczytywała list, który jój przysłał w dniu napadu. List ten był niejako rodzajem testamentu człowieka kochającego bez nadziei, który spogląda w oczy niechybnój niemal śmierci. Dzisiaj położenie Gilsona było bardzo podobnem. To prawda, że powróciła mu nadzieja, ale nieublagana śmierć mogła zniszczyć wszystko. Byłoby to dla Liany najdotkliwszym ciosem, niczego bowiem nie pragnęła goręcej, jak znaleźć sposobność do odwdzięczenia mu się za jego poświęcenie i wymazać z jego pamięci dawniejszą swą niewdzięczność w obec niego.

Pewnego dnia otrzymał ojciec Liany wiadomości, że młody oficer jest ciężko ranny. Liana na tę wiadomość uczuła, iż zbudził się w niój duch ofiary i poświęcenia, do jakiego jest zdolną chrześcianką.

— Ojcie — rzekła — Alfred nie ma innéj rodziny prócz nas, czyż mamy mu pozwolić umrzeć opuszczonemu w szpitalu wojskowym?

— Masz słuszność, moje dziecko, pojedziemy do niego, zasłużył na to a twoja obecność będzie silną podporą dla sztuki lekarskiej.

Liany nie odstraszyły niebezpieczeństwa podróży przez zaniepokojone okolice, ani trudy drogi. Podróżowano bez wytchnienia i w dwa dni później siedziała Liana u łóża boleści Gilsona.

Na jéj widok niewymowna radość rozpromieniła twarz rannego i chirurg, pielęgnujący go, zapewnił, że teraz, kiedy anioł czuwa nad nim, może ręczyć za jego wyzdrowienie.

— Ocaliłeś, panie Alfredzie, nam wszystkim życie, zagadnęła Liana chorego, pozwól, abym ci okazała wdzięczność moją.

— Czy sama tylko wdzięczność panią tu sprowadza? — zapytał Gilson.

— Cicho, Alfredzie, nie wolno panu mówić tyle, później pomówimy więcej — odparła, rumieniając się.

Gilson zrozumiał znaczenie tego rumieńca. Czula troskliwość, jaką okazywało mu dziewczę, gorący wyraz jéj oczu mówiły mu, że jest blizkim tak upragnionego celu. Ta świadomość działała cuda; to téż po upływie miesiąca był już zdrowym o tyle, że mógł opuścić lazaret. Pan Hoveling wyrobił mu tymczasem dłuższy urlop i zabrał go ze sobą do Kalkuty, gdzie miało się dokonać całkowite wyzdrowienie.

Tam znajdujemy go na początku niniejszego rozdziału. Było to właśnie w dniu, w którym zdecydował się powrócić znowu do swego pułku.

— Myślisz więc już o tem, by nas opuścić? — zapytał p. Hoveling, któremu poracznik co dopiero zakomunikował swój zamiar.

— Jakto! już pan jedzie? — wtrąciła Liana.  
— Jeszcześ pan przecież nie zupełnie zdrowy.

— Owszem, jestem zdrowy i obowiązek powołuje mię na moje stanowisko.

— Jesteś pan niewdzięczny! — odparła Liana, usiłując żartować. — Zaledwie odzyskałeś trochę sił, a już nie masz nic spieszniejszego do czynienia, jak nas opuścić.

Młodzieniec uśmiechnął się.

— Nie, zaprotestował pan Hoveling — nie opuścisz Kalkuty. Wedle ostatnich wiadomości panuje wszędzie spokój, a tutaj — dodał, wyjmując list z wielką pieczęcią urzędową — jest twój awans na rotmistrza w 10 pułku dragonów, który, jak ci wiadomo, tutaj się znajduje.

— Czy to prawda! — zawołała Liana z radością.

Gilson patrzył na nią głęboko wzruszony, następnie ujął jej rękę i rzekł:

— Liano, pozostanę, ponieważ sobie tego życzysz, ale niepodobna mi tego uczynić w dotychczasowych warunkach. Twoja przyjaźń nie wystarcza mi, żądam wiele więcej, żądam twego serca i prawa oddania ci swego życia. Czy odwołasz, Liano, dawniejsze *nigdy*? Tylko pod tym warunkiem mogę tu pozostać.

Dziewczę, spojrzało na niego łzawem okiem.

— Biedny Alfredzie! jakże musiałam pana dotknąć wówczas nierozsądną moją odpowiedzią i moją niewdzięcznością. A jakże sama cierpiałam z tego powodu! Lecz teraz nie odjedziesz, nie mogłabym sobie wyobrazić życia bez ciebie.

— Wreszcie spełniło się moje marzenie — odezwał się pan Hoveling. łącząc ręce swych dzieci.  
— Przynależem to twemu ojcu, Alfredzie, i Bogu wiadomo, że nikomu spokojniiej nie powierzam przyszłości mego dziecka, jak tobie! Doskonale! —



dodał wesoło — teraz znowu odmłodnieję wśród młodych!

Gdy to mówił, zwrócił spojrzenie ku Piotrowi i Marcie, którzy właśnie weszli na werandę.

I dla tych ostatnich nadeszły wreszcie dni pokoju i cichego szczęścia. Widnokrąg ich życia, otoczony dotychczas ponurą mgłą, zdawał się pogodniejszy i wolny od burzliwych chmur. Ręka Boża usunęła człowieka, który niweczył ich szczęście i zatruchiwał radość, spokojna przyszłość rozwinęła się przed nimi. Pierwszy raz używali szczęścia małżeńskiego, nie potrzebując pytać się, jak szybko ono zostanie zburzonym.

Piotr i Marta zeszli do ogrodu, aby powitać tamże obecnych. Zaledwie Liana spostrzegła młodą kobietę, pobiegła ku niej i wyciągała obie ręce do niej. Wewnętrzna radość rozjaśniała jej rysy, jakkolwiek w jej oczach lży jeszcze błyszczały.

— O Marto! — zawołała, rzucając jej się na szyję. — Jakże jestem szczęśliwa!

— I to dzięki pani — dodał pan Hoveling — gdyż wpływowi pani przypisać należy, że mój mały trzpiotek przyszedł trochę do rozumu.

— Więcej mi pan przypisujesz zasługi, aniżeli się do tego w istocie mogę przyznać — odpowiedziała Marta; tak szczerą miłość jak pana Gilsona, musiała zdobyć choćby tak uparte serce, jak mojej kochanej Liany. Zresztą cieszę się, że się przyczyniłam choć trochę do waszego szczęścia, gdyż pomimo woli stałam się przyczyną waszego nieszczęścia.

— Nie mówmy o tém — zawołał Gilson — za czyny tego potwora, któremu niech Bóg przebaczy, nie ponosisz pani żadnej odpowiedzialności, a potem, gdyby się to wszystko nie było stało, czyżbyśmy byli tak szczęśliwi dzisiaj?



— Tak jest! — potwierdził pan Hoveling — a zatem zapomnijmy o przeszłości. Pani i panie Arnoldzie, przedstawiam wam mego zięcia, pana Alfreda Gilsona, rotmistrza 10 pułku dragonów. Za miesiąc odbędzie się ślub.

\* \* \*

Nie wiele mamy już do dodania. Węzeł, który łączył kochającą parę, został uświęcony przez Kościół, lecz poprzednio odbył się akt, mogący dać młodej parze rękojmią szczęśliwego pożycia. Liana dotrzymała przyrzeczenia powrócenia na łono Kościoła katolickiego i pozostania dzieckiem Maryi; życzenie zostania żoną Gilsona zespoliło się z pragnieniem połączenia się z nim nie tylko w miłości, ale i we wierze. Poznała ona, że bogatszego wiana nie mogła przynieść mężowi w darze. Bezwarunkowe panowanie nad ojcem ułatwiło jej powierzenie mu tajemnicy, iż Marta zapoznała ją wedle sił z prawdami katolickiej religii. Ojciec, zdziwiony z początku, był zbyt rozsądnym, aby stawiać córce przeszkody, uważał za rzecz słuszną, że córka jego chce dzielić wyznanie swego męża i sam nawet poszedł do zwierzchnika kościelnego w Kalkucie prosić, aby zlecił jednemu z kapłanów przygotowanie Liany. Liana okazała się tak pojętną i gorliwą, że Gilson miał szczęście słyszeć w dniu ślubu, jak jego narzeczona składała wyznanie katolickiej wiary w ręce kapłana i poprowadzić podwójnie odzyskaną ukochaną istotę do stopni ołtarza.

Dla Piotra i Marty dzień ten był niezmierną pociechą po tylu smutkach i cierpieniach.

K O N I E C .









200

\*KSIĘGARNIA\*

ANTYKWARIAT



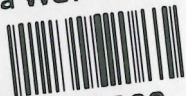
# 501123 F

XXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXX

WYŻSZA SZKOŁA  
PEDAGOGICZNA W KIELCACH  
BIBLIOTEKA

101402

Biblioteka WSP Kielce



0161222